



POLSKA PIEŚŃ MIŁOSNA

'

ARTHUR GROTTGEN ΡΟΖΟΦΥΛΙΟ



POLSKA PIEŚŃ MIŁOSNA

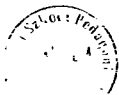
ANTOLOGIA

WYBRAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ
JAN LORENTOWICZ

Z 12 REPRODUKCJAMI OBRAZÓW ARTYSTÓW POLSKICH



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW ——— G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.



WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

SŁOWO WSTĘPNE

SŁOWO WSTĘPNE.

Pieśń miłosna rozbrzmiewa w poezji polskiej melodyą bogatą i różnorodną. Bywały epoki, gdy wyrażała w sobie zasadniczy ton całej liryki, a po wszystkie czasy płynęła z niezawodnego źródła natchnienia. Najbliższa twórcy w jego młodości, stanowi to nieskazitelne świadectwo jego duszy, które najmniej ulega fałszom chwili, więc najwymowniej odstawia tajnię charakterów, nastrojów i smaku.

Zbioru przednich pieśni tej klejnotów nie próbowano dotychczas. Pragnąc dać wyrazisty jej obraz, usiłowaliśmy uwzględnić przy wyborze, obok wymagań samej antologii, dwa postulaty: różnorodność motywów i obfitość form.

Poezja miłosna zjawia się w Polsce odrazu w kształtach doskonałych, bo ją wnosi do piśmiennictwa bujna kultura humanistyczna. O tem, jak brzmiała poprzednio w duszach prostych, nie wiemy. Olbrzymie zasoby pieśni ludowych są dowodem, iż geniusz rasy wypowiedział się w niej zawsze bardzo dobitnie. Wydawało nam się potrzebnem dla pełności

IV

akordów podać z kilkudziesięciu tomów »Ludu« Oskara Kolberga garść piosenek, najczęściej i najpowszechniej po całym kraju powtarzanych. W motywach tych szczupłą część stanowią uczucia idealne. Miłosna pieśń ludowa krąży zazwyczaj około realnych objawów życia. Wylicza różne troski niewieście, ostrzega, poucza, przypomina. Najwięcej skarg i żalów. Najwięcej barwy i melodyi zawiera wówczas, gdy oplakuje utratę wianka, rozłączając całą skalę uczuć, od lekkiej wymówki do lekceważenia, wzgardy i przekleństwa. Czasem ta pieśń opowiada o prostym targu pieniężnym, albo o posłuszeństwie woli rodziców; często opiewa boleść rozstania się; czasem szydzi i drwi, a niekiedy wpada w żalсны ton dumy lub ballady, głoszącej dzieje miłości występnej.

Niestety, cała ta ustna, anonimowa poezja nie może nam nic pewnego wyjawić ani o chwili swych narodzin, ani o swych kolejnych nawarstwieniach.

W literaturze polskiej rozwój poezji miłosnej miał kilka faz, które dość łatwo wyodrębnić. Przez trzysta z górą lat panowały tu naśladownictwa wzorów obcych. Oto najpierw wpływy włoskie, trwające przez wiek szesnasty i siedemnasty. Zrazu uczucie poetów szuka kształtów dosłownie klasycznych, bo wypowiada się w łacinie. Tak śpiewa swym kochankom, Izabelli hiszpańskiej i Grinei

niemieckiej Jan Dantyszek, tak również wystawia swe miłośnice padewskie i paryską Lydyę — Jan Kochanowski w swych pięknych »Elegiach«. Łacińskim owym pieśniom Kochanowskiego stawiano częste zarzuty, że posiadają zbyt mało wyrazu indywidualnego, że są, jak u wszystkich poetów łacińskich tego czasu, konwencjonalne, przetadowane cudzemi metaforami, pełne pożyczek od Tibulla i innych pisarzy staro-rzymskich. A przecież, pomimo słuszności tych uwag, nie brak w »Elegiach« miejsc silnych, świadczących o nieklamany m żalu i szczerzej goryczy. Bywają w nich inwektywy tak śmiałe, że nie chciał ich tłómaczyć skromny Brodziński. Wielka to jednak strata dla literatury, że Kochanowski właśnie w tych pierwszych latach młodości, kiedy kochał bez zastrzeżeń, nie poczuł jeszcze natchnienia do tworzenia pieśni miłosnych po polsku. Stanie się to dopiero po powrocie do Polski: otrzymamy znaczny poczet cokolwiek chłodnych i rozważnych, ale ślicznych, pierwszych naszych pieśni miłosnych, obejmujących szeroką skalę uczuć, od cichej tęsknoty do swawolnej fraszki. W skali tej braknie może żaru bezpośredniego uczucia, ale to już wynikało raczej z wymagań epoki. I tak pieśni Kochanowskiego były dość odważną nowością, z którą nie umiano oswoić się przez długi czas. Echa tego stosunku niektórych ludzi współczesnych do liryki erotycznej Kocha-

VI

nowskiego znajdujemy jeszcze u Wacława Potockiego, który wieszczowi z Czarnolasu taką poświęca fraszkę:

*Jana Kochanowskiego, choć dobre i krzeczne
Fraszki, ktoś cenzornijąc, twierdzi, że wszteteczne,
Że tylko o miłości; choćby i tak, panie,
Nie wiecież, że to jedno miłość a kochanie?
Przewisko temu winno, bo się tymże woskiem
Pieczętuje Miłkowski w Polsce z Kochanowskim.*

Bądź co bądź po Kochanowskim pieśń miłosna zyska szerokie prawa w literaturze. Poeeci tworzą, zapatrzeni we wzory Owidyusza, Tybulla, Propertycyusa, a przede wszystkim wsłuchani w rytm pieśni Petrarcki, Tassa, Guarina, Argosta oraz Marina i »koncettystów« włoskich. W pięknych rymach odezwie się Mikołaj Sęp Szarzyński, pierwszy sonetysta polski, a obok niego i po nim prześcigać się będą w twórczości miłosnej: Daniel Naborowski, Szlichtyng, Gawiński, a zwłaszcza świetny mistrz słowa polskiego, Andrzej Morsztyn. Miłość »dworska« staje się obowiązującą formą wylewu uczuć. Morsztyn poznaje sztukę poetyckiego kochania u najpierwszych mistrzów w Europie. Zna wszystkie miłosne metafory, porównania, fortele: zna przepisy dla oczu, uśmiechu, chodu, stroju; wie, kiedy wolno się śmiać, a kiedy należy melankolią się okrywać. Zmysłowy w każdym calu, zapewnia, że

i »wiesz niedobry, kiedy nie swywołny«. Choć pożywa całemi garściami = Marina, przewyższa zazwyczaj wzory oryginalne, zarówno w doborze słów, jak w konstrukcyi i rytmice wiersza. Poezycje jego należą do najwytworniejszych kwiatów dawnej liryki polskiej. Epoka pełna była obłudy i władzy jezuickiej, to też najlepsze te pieśni siedemnastego wieku spoczywać musiały przez dwieście lat w manuskryptach.

Z pod panujących wpływów wydobywa się szczęśliwie Szymon Zimorowicz, tworząc w niektórych swych sielankach arcydzieła tkliwości i prostoty uczuciowej.

Najbardziej jednak swojską formą będzie *fraszka*, utrwalona przez pierwszego jej mistrza. Celuje w niej W. Kochowski, a gdy Gawiński pragnie ją przekształcić na nieco delikatniejszą »dworzankę«, otrzymuje napomnienie w takim epigramacie:

*I ty Janie za Janem pięknie szedles w szranki,
Polskim rymem wydawszy za fraszki dworzanki.
Aleć widzę dworzanki twe cerę zmieniły,
Gdy od pióra do Krety ciebie przeciagnęły¹⁾.*

Wyobrazicielem rodzimego na miłość poglądu jest w tych czasach Wacław Polocki w swym nie-

¹⁾ W. Kochowski.

VIII

ocenionym »Ogrodzie fraszek«. Kobiętę traktuje on jeszcze w sposób zgoła średniowieczny: jest to dla niego dziecko, z którym należy postępować odpowiednio, to znaczy uczynić je zależnem wyłącznie od woli rodziców w sprawach »serca«. Wychowany w aryaństwie, Potocki jest wrogiem zmysłów. Kobieta jest, podług niego, tylko kandydatką na żonę, która winna mieć takie zalety: równość stanu z mężem, równość wieku i równość majątku. Z miłości Potocki drwi lub maluje ją w żartach grubyb. pozbawionych nawet zmysłowości.

Krótką przerwą w wieku osiemnastym ustala wpływy francuskie. Na długi szereg lat władzę w poezji miłosnej zyskują pasterki rokokowe. Usunięto dawne Kachny, Jagi, Zosie i Marynie Kochanowskich i Morsztynów, a kochanki występują w maskach sztucznych Doryd, Palmir, Rozyn, Laur, Lindor i Klorynd, którym towarzyszą w słodkich dyalogach różne: Korydony, Akasty, Medony, Dorysy i Filony. Najpospolitszym kształtem liryki erotycznej staje się sielanka, ale sielanka również zamaskowana: pod osłoną arkadyjsko-pasterskiej prostoty ukrywa się wyrafinowana zmysłowość i lubieżność. Strojne, w atłasy ubrane damy chodzą wśród »słodkich« wieczorów pod »umówione jawory«, noszą na schadzce koszyki z malinami i, wśród konwencyjonalnego krajobrazu, toczą z kochankami te same »czule« rozmowy, pod-

niecają ich zapachem perfum, słuchają ich nieskończonych, płaczących żalów i skarg. Po parkach wielkopańskich budują się »świętynie dumień«, w których kwili nieustannie rozżawiona pozornie miłość.

We Francji, od czasów La Chaussée, a zwłaszcza Diderota i Rousseau, dawne świadome i rezonujące typy literackie zamieniły się na sentymentalne, eutuzystyczne, melancholijne. U nas wpływy francuskie rozszczepiły się na dwa prądy: jedni poeci traktowali pasterską sielankę na zimno, biorąc z niej tylko wyrefinowaną zmysłowość (Trembecki, Węgierski), lub podnieętą do uśmiechu satyrycznego (Bohomolec); inni — i ci właśnie zyskali największą popularność — wprowadzili do pasterstwa Filonów i Klorynd płaczący sentymentalizm. Wyrazy »tkliwy« i »czuły« powtarzane są nieustannie. Książnin, bardzo rytmiczny w swych monotonnych »odach«, nawet swej głębokiej, obłądem zakończonęj miłości dla Maryi Czartoryskiej nie może wyrzucić szczerze, odziewa ją w kształty mdłej rzewności i łzawości. Karpiński, pasowany na wieszczę narodowego »poeta serca«, głośny na cały kraj »śpiewak Justyny«, opiewa w swej wsi urojonej tkliwe uczucia pasterek, płaczących przy najdrobniejszej okazji. Te sztuczne omadlenia i żale brano za wzór prostoty. »Laura i Filon« przez

całe dziesiątki lat krążą po dworach wiejskich i zachwycają jeszcze Mickiewicza.

Nadchodzi wreszcie epoka zupełnej prawdy uczuciowej. Czekaliśmy na nią przez całe trzy wieki. Po jałowych w liryce, chociaż niedocenionych czasach pseudoklasycyzmu, zjawiają się sonety i pieśni Mickiewicza, pełne szczerości i wyrazu, a po nich kolosalny »manifest uczucia« w »Dziadach«. Utwory te odrywają na zawsze miłosną pieśń polską od sztuczności i stają się rzeczywistą szkołą uczucia. Słowacki w przepyszszej formie spowiada się ze swych afektów i daje narodowi arcydzieła liryki w »W Szwajcaryi«, w »Beniowskim«, w drobnych pieśniach. Krasieńskiemu do każdego słowa miłości miesza się bolesna myśl, ale przynosi on głębokie, nieznanne dotychczas akcenty.

Romantyzm wywala miłość z konwencyonalizmu, pomimo jednak wielu prób oddzielnych, usłata na długie lata w poezyi polskiej ideał wzniosłego jedynie uczucia, który nazwano żartobliwie »celibatem literackim«. Całe zastępy liryków tworzą w myśl tradycyi romantycznej. Asnyk wnosi w pieśń miłosną nutę smętnej, melancholijnej ironii; Konopnicka w »Romansie miłosnym«, naśladuje Słowackiego, a jednocześnie w sławnym wierszu: »Czy wiesz ty piękna i ty uśmiechniona« wykląda retorycznie, na wzór Gabryeli, »co znaczy kocham, to najświętsze słowo«. Tworzy się bogata, nowa

liryka, w której podziwiamy już to przedziwny kunszt Miriama, już to głębię nastrojów Kasprowicza, już to skomplikowaną różnorodność motywów Langego, już to szczerść i prawdę Tetmajera, który wraca w treści do tradycji wieku siedemnastego, ale ma własną, pełną prostoty formę, gdy opiewa miłość codzienną, połączoną z żądzą lub zmysłami.

Świeża fala młodej, nowej poezji z ostatnich lat przynosi nie tylko pełnię motywów, ale i ogromną różnorodność rytmiki. Wracają kształty dawne, zapomniane i wyszukane; pieśń ludowa znajduje licznych i uzdolnionych stylizatorów; liryk opowiada z całą swobodą głód ciała i skargi duszy, wyczerpuje wszystkie tony i akcenty.

Zestawienie typów tej całej nowej poezji miłosnej w porządku chronologicznym daje nie tylko wzory najtrwalszego piękna, ale przynosi żywe, barwne, wymowne świadectwo rozwoju kultury naszych uczuć w ciągu czterech wieków.

JAN LORENTOWICZ.

HYMNY DO MIŁOŚCI

JAN KOCHANOWSKI.

DO MIŁOŚCI.

Matko skrzydlatych miłości,
Szafarko trosk i radości:
Wsiądź na swój wóz uzłocony,
Białym łabędziom zwierzony.
Puść się z nieba w snadnym biegu,
A staw się na Wiślnym brzegu,
Gdzie ku twej czei oltarz nowy
Stawię swą ręką dar nowy.
Nie dam ci krwawej ofiary:
Bo co mają srogie dary
U boginiej dobrotliwej
Czynić, i światu życzliwej?
Ale dam kadzidło wonne,
Które nam kraje postronne
Posyłają, dam i śliczne
Zioła w swych barwach rozliczne.
Masz fijołki, masz leliją,
Masz majeran, i szałwija.
Masz wdzięczny swój kwiat różany,
To biały, a to rumiany.
Tem się błagam, o królowa
Bogatego cypru! owa¹⁾

¹⁾ Azali.

Abo różne serca zgodzisz,
Abo i mnie wyswobodzisz?
Abo raczej nas oboje
Wzow¹⁾ pod złote jarzmo swoje,
W którym niechaj ci służywa²⁾,
Póki ja, i ona żywa.
Przyzwól, o matko miłości,
Szafarko trosk i radości:
Tak po świecie niechaj wszędzie
Twoja władza wieczna będzie.

KAZIMIERZ TETMAJER.

HYMN DO MIŁOŚCI.

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie
miłości.

Życie jest żądzą, o tyś z żądz największą,
prócz samej żądz życia; duszą duszy
i sercem serca życia tyś jest
miłości.

Jeśli najwyższem szczęściem zapomnienie,
bezwiedza i niepamięć własnego istnienia:
toś ty jest szczęściem szczęścia, ty, co dajesz
omdlenie duszy i omdlenie zmysłom
i myśli kładzisz kres upajający
miłości.

Jeśli złudzenia są jedynem dobrem:
toś ty największem dobrem, najsilniejsze

¹⁾ Wezwij, weź,

²⁾ Służy.

ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,
pierwotna, dzika, nieznająca kielchań,
święta potęgo
miłości.

Jeśli pragnienia są jedyną ową
poręczą, która chroni
od upadnięcia w przepaść rozpacz i wstrętu;
jeśli są jedynym
mostem, po którym można iść nad odmet nudy;
jeśli jedynem są lekarstwem, które
broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,
pogardy świata i od samowzgardy:
to ty, o matko pragnień, jesteś ową
poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
zbawczynią ludzi,
miłości.

Czas idzie i zmieniają się wiary,
bóstwa w proch upadają jedne po drugich,
dzisiaj czczone, jutro deptane
przechodzą przed oczyma ludzkości,
by więcej nie powrócić:
ty trwasz wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
pierwotna, tak jak one,
jak one tryumfalna,
nad wszystko wyniesiona, niepokonana
niczem i nigdy, tak, jak one,
pierwotna, dzika potęgo
miłości.

Wdzięku, piękności natury,
kiedyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
jesteś, jak rama
do obrazu, jak otęcz promieni



skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
wobec ust ukochanej?
Kędyś szafirze niebios, morza błękiecie
wobec ocz ukochanej?
Kędyś szumie jaworów i śpiewie ptaków
w wiosenne rano,
wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci,
pod gęstemi zaplotami bluszczów,
wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blade
od blasku słońca,
wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
smukłe narcysy, palmy wybijające,
kędy obłoki lotne i powiewne,
wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś mchu miękki, liściu aksamitny,
wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,
wobec jej białych bioder, spływających
cudowną linią
w odurzający wzrok, dech wstrzymujący
kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
z za gór dalekich;
uroku jezior, co się nagle jawia
pośród skał, senne,
i tej zieleni złocistej, ze szczytów
widzianej w dali,

wobec czaru ukochanej?

Kędyś jest melancholio wieczorów jesiennych
wobec jej smutku?

Kędyś wesele letniego południa
przy jej radości?

Kędy o sławie sny, sny o potędze,
zwycięztwach dumy, odplaceniu krzywdy,
o nieznoszeniu niesprawiedliwości,
wobec snów o ukochanej?

Kędyś pragnienie posiadania złota
przy posiadania jej ciała pragnieniu?

Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego
co jest poznanem, albo niem być może,
wobec pragnienia poznania wskrós duszy
ukochanej kobiety?

Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia
miłości.

Najsłodszą rozkosz i najsroźszą boleść
ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć, królową
wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo
miłości.

PIEŚNI LUDOWE

U MEJ MATKI RODZONY...

U mej matki rodzony.
Stoi jawor zielony,
Zielony, Kasiulu, zielony.
Pod jaworem łózecko,
Lezy na nim Jasiocko:
Zraniony, Kasiulu,
Zraniony!

Idź-ze, Kasiu, do gaju,
Przynieś różską rozmaju,
Rozmaju, Kasiulu,
Rozmaju!

Jesce Kasia nie dosła,
Juz-ci za nią trzech posło:
Juz po nim, Kasiulu,
Juz po nim!

Wróc się, Kasiu, do domu:
Wieżę Jasia do grobu,
A Jasinku klejnocie
Chodziła ja we złocie
Za tobą, Jasieniu,
Za tobą.

A ja teraz w załobie
Jasiniecku po tobie...
Ja załobę o ziemię,
A z innym się ozenie,
Bo on zdrów, Jasieniu,
Bo on zdrów.

(Kolberg, »Lud«, Łęczyckie).

LEĆ GŁOSIE PO ROSIE.

Leć głosie po rosie,
Ku zieleskim łąkom,
Powiedz kochankowi,
Ze ja się tu błąkom.

Błąkom się tu, błąkom,
Jako błędno owca;
Ani ja mam matki,
Da ani mam ojca.

Ni ja ojca, matki,
Ni zadnej rodziny;
Zapłacę ja sobie
Kazdziuchnej godziny.

Leć głosie po rosie
Do Jasia mojego,
Powiedz mu ode mnie,
Ze tęsknię bez niego.

Seroko, daleko,
Słonecko na niebie,

A ja jesce dalej
Jasićńku od ciebie.

Wsystko mi się widzi,
Wsystko mi się zdaje,
Ze moje kochanie
We świecie zostaje.

Kochanie, kochanie,
Dalkośwa siebie!
Nie przyjedzies do mnie,
Ani ja do ciebie.

Leć głosie po rosie,
Daj dziewczynie wiadę,
Niech się nie frasuje,
Bo ja do niej jadę.
(Kolberg, »Lud«, Mazowsze stare).

AZEBY JA MIAŁA.

Azeby ja miała
Sokołowe ocy,
Toby ja leciała
Do Jasińka w nocy.

Siadłaby ja, siadła,
W Krakowie na płocie,
Przypatrzyłabym się
Jasiowej robocie.

Azeby ja miała
Skrzydółka jak gaska,

Toby ja leciała.
Do Jasia, do Śląska.

Siadłaby ja, siadła,
Na ślązkowym stawie.
Przypatrzyłabym się
Jasinkowej sprawie.

(Kolberg, »Luć«, krakowskie).

POD ZIELONYM DĘBEM.

Pod zielonym dębem
Stoi koń kowany,
A na tym koniku
Siedzi Jaś kochany.

Zostawił konika
Na szerokiej drodze
I narobił płaczu
Marysi niebodze.

Jak się nie powrócę
Będę listy pisał,
Ty będziesz płakała,
Ja nie będę słyszał.

Siedzi bo on siedzi,
Białe listy pisze,
A jego Marysia
Dzieciatko kołysze.

Kołysze, kołysze,
I poczęła płakać:
Albo mi wianek wróć,
Albo mi go zapłać.

Albo mi wianek wróć,
Albo mi go zapłać,
Bo jak przyjdą bracia,
To cię będą szarpać.

Ja ci go nie wrócę,
Płacić go nie myślę.
Siedzę na koniku,
Pojadę za Wisłę.

Pojedziesz? — Pojadę.
Nie jedźże mi tędy,
Bo mi potratujesz
Tej lawendy grzędę.

Grzędę mi stratujesz,
Rozmaryją zdepcesz;
Pierwej-eś mnie zdradził,
A teraz mnie nie chcesz.

Nie ja ciebie zdradził,
Samaś się zdradziła,
I ta ciemna nocka,
Coś po niej chodziła.

Nie tak ciemna nocka,
Jako gorzałeczka,
Coś ci ją pijała,
Jako nie dzieweczka.

Szalałaś, pijałaś,
Nie było ci nocy,
Teraz za mną łazisz,
Zapłakałaś ocy.

Zapłakałaś ocy,
Załamalaś ręce;
Bodaj ten kochanek
Zginął na wojence!

(Kolberg, »Lude, Mazowsze polne«).

JEDZIE, JEDZIE NADOBNY JASIENIK.

Jedzie, jedzie, nadobny Jasieniek,
Jedzie od góry,
Skace pod nim ten siwy konicek,
Wszystko do góry.

Kaz otworzyć, moja matuleńka,
Séroko wrota,
Niech nie stoi mojego Jasieńka
Konik u płota.

Dla Jasieńka, moja matuleńku,
Wina śklanica,
Dla konika, moja matuleńku,
Obrok, pszenica.

Kaz położyć, moja matuleńku,
Dywanik pod próg,
Stąpaj śmiało nadobny Jasieńku,
Nie uwalas nóg.

Kaz wystawić, moja matuleńku,
Stół malmurowy,
Na tym stole, moja matuleńku,
Obrus bielony.

Na ten obrus, moja matuleńku,
Talerz tocony,
Na ten talerz, moja matuleńku,
Kapłon piecony.

A prosę cię, prosę, mój Jasińku,
Za stół, oj za stół,
A jeżeli nimos swego noza,
A to jest wej mój.

(Kolberg, »Lud«, Mazowszc stare).

Z TEJ TA STRONY JEZIORA.

Z tej ta strony jeziora,
Z tej ta strony wody,
Rwała dziewczyna,
Rwała jedyna
Czarne jagody,

Oj rwała, rwała,
Oj rwała, rwała,
Bo się nikogo,
Bo się nikogo
Nie spodziewała.

Przyjechał do ni
Kawaler młody:

Pódzma dziewczyno,
Pódzma jedyno,
W dalszc jagody.

Ona się prosi:
Puść mnie Ia Boga!
Dzień się uniża,
Noc się przybliża,
Daleka droga.

Wy bory, lasy,
Stańcie przed nami;
Młode ptaszęta,
Leśne zwierzęta,
Wędrujcie z nami.

Drobne kamyczki,
W morze wpadajcie;
Moji dziewczynie,
Moji jedynie
Płacz rozrywajcie!

Gdybym się dotknął
Twoi koszuli,
Pewno by ci się,
Pewno by ci się
Perły rozsuły.

Gdybym się dotknął
Twojego ciała,
Pewno by dusza,
Pewno by dusza
Do nieba chciała.

A gdybym zaszed
Pod twe okieneczko,
Pewnobył widział,
Pewnobył widział
Twoje łóżeczko

Ani poduszek,
Ani pierzyny:
Pójdzie Jasio spać,
Pójdzie Jasio spać
Na grochowiny.

(Kolberg, »Lude«, Poznańskie).

PRZYSZEDŁ JASIO DO KASIUNI

Przyszedł Jasio do Kasiuni
Dobłą noc powieźć.
Ona ei go pięknie prosi,
Na łóżeczku siedzieć.

Zawołała na służącą:
Podaj mi pończoszki,
A ty, Jasiu, serce moje,
Zatrzymaj się troszki.

Moja Kasiu, nie mam czasu,
Muszę w podróż spieszyć,
Pozwól że mi, serce moje,
Z tobą się ucieszyć.

A jakiej-że ty, Jasiuniu,
Chcesz ze mnie ucieshy,

Mam ci ja tu dla zabawy
Tureckie orzechy.

Nie chcę ci ja, moja Kasiu,
Podarunku twego,
Schowaj że se, moje serce,
Dla kogo inszego.

Domyślam się czego żądasz .
Jest szpetna nowina —
Bym się w panią przemieniła
Ja grzeczna dziewczyna.

W lesie sosna pięknie rosła,
Gdy ją podkrzesują;
Śliczne włosy, gdyby kosy,
Gdy ich podczesują.

Pacholiku, na koniku,
Podaj mi zwierciadło.
Będę ja się przyglądała,
Czy mi liczko zbladło.

Chociażbyś się przyglądała
Z rana do wieczora,
Już nie będziesz taką panną,
Jakaś była wczōra.

Kupię ja se sznuróweczkę
I jedwabną wstęgę,
Będę ja się sznurowała,
Jeszcze panną będę.

Chociażbyś się sznurowała
Samemi perłami,
Już nie będziesz miejsca miała
Między panienkami.

(Kolberg, »Lud«, Krakowskie).

W ZIELONYM, GAIKU..

W zielonym gaidu
Ptaskowie śpiewają;
Już moje kochanie
Na wojnę wołają.

A siodłaj ze siodłaj!
Konik usiodłany:
Komu mię ostawis,
Jasiu mój kochany?

Ostawię cię Bogu
Wysoko na niebie,
Już ja nie przyjadę,
Dziewcyno, do ciebie.

Jak ja nie przyjadę,
Będę listy pisał,
Ty będziesz płakała,
Ja nie będę słysał.

Już ci też siedem lat
Jak się wojna tocy —
Mojemu kochaniu
Nie obeszna ocy.

Wynijdź-ze dziewczyna,
Cłani ta jada,
Twojego Jasińka
Konika ta wieda.

Juz ci ten konicek
Na boku przebity,
A jużeś, mój Jasiu,
Na wojnie zabity!

Jesce nie zabity,
A Sasi go wzieni,
Wymalowali go
U dziewczyny w sieni

Nie chodź wedle niego,
Nie płac, nie załuj go,
Jest ci nas tu tysiąc,
Wybierz se jakiego.

Choćby was tu było
Jak w Wieliczce soli
Nie ma i nie będzie
Podług mojej woli.

Choćby was tu było,
Jak w morzu kamienia —
To juz nie będę mieć
Jasińka imienia.

Choćby was tu było
Wszystko, co żywego,
Wolałabym przecie
Jasia zabitego!

(Kolberg, »Lud«, Sandomierskie).

PADA ROSA — PADA ROSA.

Pada rosa — pada rosa
W zielonej dębini,
Kochaj-że mnie, mój Jasińku,
Szczerze nie zdradliwie.

Jabym kochał, jabym kochał,
Widzi Bóg na niebie,
Niech ja sobie karczek złamię,
Jadący do ciebie.

Nie wyjechał, mój Jasińko,
Na krzyżowe drogi,
A już złamał Jasio karczek,
Pod nim konik nogi.

O! tak tobie, moja Kasiu,
To wyznanie dając,
Żadnemu mężczyźnie nie wierz,
Choć jamiółem ¹⁾ staje.

(Kolberg, »Lude«, Lubelskie).

Z TAMTEJ STRONY MŁYNA.

Z tamtej strony młyna
Wysoka lescyna —
Trzebaby ją wycinać.
Jest tam młynarecka

¹⁾ aniołem.

Kieby wiewióreczka —
 Zeby mi ją chcieli dać.
 Dadzą-ć, Jasiu, dadzą,
 Sami odprowadzą, —
 Tylko trzeba częstować.
 Na pirsie zaloty
 Straciłem już złoty —
 I tak mi jej nie chcą dać
 Straciłem i drugi,
 To niewielkie długi —
 I tak mi jej nie chcą dać.
 Dadzą-ć, Jasiu, dadzą,
 Sami odprowadzą, —
 Tylko trzeba częstować.
 Straciłem i trzeci,
 To niewielkie rzeczy —
 i tak mi jej nie chcą dać.
 Straciłem i plugi
 I zabrąłem w długi —
 I tak mi jej nie chcą dać.
 Dadzą-ć, Jasiu, dadzą,
 Sami odprowadzą, —
 Tylko trzeba częstować.
 Straciłem i woły
 I zostałem goły,
 I tak mi jej nie chcą dać.
 Straciłem i trzodę,
 A za jej urodę —
 I tak mi jej nie chcą dać.
 Dadzą-ć, Jasiu, dadzą,
 Sami odprowadzą, —
 Tylko trzeba częstować.
 Podarłem i buty,
 Podarłem kmanę —

I tak mi jej nie chcą dać.
Ja sobie myślałem,
Ze już ją dostanę —
A oni jej nie chcą dać.
Dadzą-ć, Jasiu, dadzą,
Sami odprowadzą, —
Tylko trzeba cestować.
A na święty Jacek
W Jedlińsku jarmareck —
Prowadzi ją ojciec, mać.
A ja jej też nie chcę
Koło innej depcę —
Było mi ją dawniej dać.

(Kolberg, »Lud«, Radomskie).

ZŁĘKŁA SIĘ MATKI.

Złękła się matki,
Posła na kwiatki
Do ogródecka swego;

Opad jej listek,
Opad jej wsystek
Z ziólecka, z Kasincgo.

Ozpuść-ze mi się
Rozmaryjonie,
Kochała ja się w tobie.

Juz ja się teraz
Kochać nie będę,
Bo juz mi nic po tobie.

Ozpuść-ze listki
I ty stokrotko,
 Com cię codzieln rosila.

A nie ozpuszę,
Moja ty Kasiu,
 Boś o mnie zabacyła.

A powstań-ze mi
Biała lilija,
 Coś mi się tak pokładła.

I tyś-ci Kasiu
Była runiana,
 A teraz już pobladła.

Ściśnij kielichy
Czerwona rózo,
 Coś ich dla bąków ozwarła.

I tyś-ci Kasiu
Miłego Jasia
 W swoje objęcia przygarła ¹⁾.

Otwórz mi listki
I ty powoju,
 I (r)ostoc zmięte kwiatki.

I tyś-ci Kasiu
Przyjena Jasia,
 Nie pytałaś się matki.

¹⁾ przygarnęła.

Jesce nie świta,
Matka się pyta,
Gdzieś Kasiu wianek działa?

Moja matulu,
Moja kochana,
Jasieńkowi'm go dała.

(Kolberg, »Lud«, Radomskie).

NIE CHODZIĆ TO BYŁO.

Nie chodzić to było
Przez las do kościoła,
Nie byłabyś miała
Na ręku sokoła.
Jeno było chodzić
Drobną lescynecką,
Byłabyś ci jesce
Nadobną dziewecką.
A czy ja sokoła
W kościele dostała?
Pod zieloną wierzba,
Gdziem woły pasala.
Nikt ci mi nie winien,
Jéno bracia moi,
Kazali mi pasać
Z Jasineckjem woły.
A pasać to było,
Ale wiedzieć jako;
Odganiać od Jasia,
Odganiać daleko.
Odganiała ci ja

O półtory pędzi;
Co ja się obejrzę,
To on za mną pędzi.
Odganiała-ci ja
O stopę, o dwoje;
On kiwał chustecką:
Ej bo Maryś moja!
Odganiała ci ja
O staję, o więcy;
A on przecie wołał:
Moje sto tysięcy!
Odganiała ci ja
I na trzecią miedzą,
A on wołał na mnie:
Tam cię wilcy zjedzą.
Nie słuchać to było
Gadania cyjego,
Trzymać się to było
Rozumu swojego.
Miałam ci ja rozum,
Miałam go nie mało,
Przysło co do cego,
To mi go nie stało.

Odlicył jej tysiąc
Na cisowym stole:
Wyjrzyj moja Maryś
Cy stanie za twoje?
Nie stanie, nie stanie,
Choćby drugi tysiąc:
Miałeś psie hullaju
Przy ołtarzu przysiędz.
Przysięgę, przysięgę,
Ale już nie tobie;

Mojej kochancece,
Com ulubił sobie.
Nie wierz chłopu, nie wierz,
Bo on wielki szalbierz,
Bo on cie uwiedzie
Jak rybkę na wodzie.
Bo u chłopu wiara,
Jako u psa para;
U dziewczyny prawda,
Jak na niebie gwiazda.

(Kolberg, »Lud«, Łęczyskie).

SIĄDŹMY SOBIE STASIU.

Siądźmy sobie Stasiu przy tej dolinie.
Niechaj nas gorące słońce ominie.
Powiem ja ci coś nowego,
Będzies Stasiu kontent z tego
Słówecka mego.

A była-ć ja Stasiu wcoraj we dwoze,
Gadają tam o nas ludzie niedobze
Zem po kącikach siadała,
Tobie Stasiu gęby dała
Tobie nieboze

Ty-byś tam Juliniu na to nie dbała,
Tylko mi w kąciku buziuni dała.
Synatorskie córki dają,
Chociaz na nich matki łaja,
Na to nie dbają.

Toć-to we dnie wiązać pójdziemy snopy,
 Albo układać w polu w pół kopy.
 A jak mi się kwiat nawinie,
 To go poniosę dziewczynie
 Moji Julisi.

A kryła-ć ja się pod strych przed tobą,
 Brałam na górę drabinkę z sobą.
 A tyś-ci do mnie przyłaził,
 I nieraz Boga-ś obraził
 I mnie naraził.

Pamiętaj-ze Stasiu, co tobie będzie,
 Będzie na ciebie narzekać wszędzie.
 Za to ludzkie zalcanie,
 Będzie i boskie skaranie,
 Boga uproszę.

Moja ty dziewczyno, nie żądaj kary,
 Pójdziemy do Mińska na ślub do fary.
 Toć to będzie weselisko
 A po świątkach w niedzielisko
 Zaraz i chrzciny.

(Kolberg, »Lude«, Mazowsze leśne).

**ANTOLOGIA
POLSKIEJ POEZJI MIŁOSNEJ**

JAN KOCHANOWSKI

1530—1584.

SŁODKIE WIĘZY MIŁOŚCI.

Srogie łańcuchy na swem sercu czuję:
Lecz to szczęściem szacuję,
Żem jest tak pięknem sidłem ułwiony:
Wesoło żywię w trosce położony.
A w tem swoim wzdychaniu
Mam rozkosz przeciw ludzkiemu mniemaniu.
Oczy dziwnej piękności,
W których się wszystkie znajdują wdzięczności!
Dzień to błogosławiony,
Kiedym ja waszem sidłem upleciony.

PIEŚŃ ŚWIĘTOJAŃSKA O SOBÓTCE.

Skrzypku, by w tej pięknej rocie,
Usłyszeć co o Dorocie:
Weźmi gęśle, jakoć miła,
A zagraj, nie myśląc siła.

Nieprzepełacona Doroto:
Co między pieniądźmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami,
Toś ty jest między dziewczkami.

Twoja kosa rozczesana,
Jako brzoza przyodziana;
Twarz, jako kwiatki mieszane,
Leliwne i różane.

Nos, jako sznur upleciony,
Czoło, jak marmur gładzony,
Brwi wyniosłe i czarniawe,
A oczy dwa węgle prawe¹⁾.

Usta twoje koralowe.
A zęby szczere perłowe;
Szyja pełna, okazała,
Piersi jawne, ręka biała.

Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemnej rozprawie;
A kiedy cię pocałuje,
Trzy dni w gębie cukier czuje.

W tańcuś, jak jedna bogini,
A co cię skutniejszą²⁾ czyni:
Nie masz w tobie ni hardości,
Co więc rzadko przy gładkości.

Tymeś ludziom wicznie miła,
I mnie wicznie zniewoliła;
Przeto cię me głośnie strony
Będą słać na wsze strony.

¹⁾ Węgle prawdziwe.

²⁾ Przyjemniejszą.

PROSI KOCHANKI, ABY MU DRZWI OTWORZYŁA.

Ty śpisz, a ja sam na dworze,
Jeszcze od wieczornej zorze,
Cierpię nocne niepogody,
Użałuj się mojej szkody.

Słuchaj, jako bije w ściany
Z gwałtownym dżdżem grad wiązany:
Ocknij się a przemów słowo,
Nieużyta białągłowo.

Nie na żadną kradzież godzę,
Chocia tak po nocy chodzę:
Wziąłbych przed się, by co dano,
Łupiestwo czartu porwano.

Nigdziej miejsca mniej hardości
Nie najdziesz, jako w miłości:
Gładkość w prawdzie sługi daje,
Ale dzierzgą obyczaje.

Słuchasz? czy mój głos nie może
Dolecieć na twoje łożę?
Słuchajcie wy nocne cienie,
I nieumowne kamienie.

Do Amphionowej lutnie,
Spieszyły się lasy chutnie,
A niezwyčajne opoki,
Ścisnęły się w mur szeroki.

Orpheowych stron słuchały
Srogie jędze, i płakały,
Gdy miłością utrapiony
I pod ziemią szukał żony.

Jego pieśni żałościwe
Zjęły bogi nieżyczliwe:
I miał w ręku, co miłował,
By był nędznik lepiej chował.

Ale nie strzymał umowy,
Więc przyszedł o smutek nowy:
Bo źle się obejrzał, ali
Czarci panią zaś porwali.

Czekać już, nieboże, było:
Ale gdy co komu miło,
Trudno wyrwać i czas mały:
Godzina tam, jak rok cały.

A ja długo mam bić w strony?
Już u mnichów słyszę dzwony:
Dziwnośmy się pomieszali,
Jam nie spał, a ci już wstali.

Dobra noc, jeśli kto słyszy:
A mój wieniec w tej złej ciszy,
Niechaj wisi do świtania,
Świadek mego niewyspania.



JAN MATEJKO — ZYGMUNT I BARBARA

PRÓŻNA TWA CHLUBA...

Próżna twa chluba, nie kochaj się w sobie,
Nic wszystkoć prawda, com pisał o tobie.
Miłość mnie zwiiodła, i przez mię mówiła,
Że nad cię nigdy wdzięczniejsza nie była!

Jako lilija różą przeplatana,
Zdała mi się twarz twoja malowana:
Oczy twe, jako gwiazdy się błyskały:
Piersi twe śniegu sromotę działały.

Gniewliweś morze śmiechem uśmierzała,
Kamienneś serce słowy przcnikała.
Teraz w mych oczach wszystko się zmieniło,
Obłudne serce wszystko pokazało.

I twa niewdzięczność, którą pokazujesz
Tam, gdzie powolność i chuć prawą czujesz,
Czego mi tedy stateczne namowy,
Nie mogły wybić żadną miarą z głowy.

Czegom zbyć nie mógł, przez ziola, przez czary,
To sam dziś wyznam na się z prawej wiary:
Żem był zablądził w owej niemądrej sprawie,
A byłcić, jeśli komu, jak żyw prawie.

Ale żeś tego wdzięczna być nie chciała,
Dalej nie będziesz ze mnie sługę miała.
To, com ci służył, niech już w niwecz idzie,
Bo jednak ten czas kiedykolwiek przyjdzie,

Że ty, wspomniawszy na me powolności,
Musisz zapłakać nieraz od żalości.
A ja-bych jeno o tobie nie widział,
I w pustych lesiech sam rad będę siedział.

Z FRASZEK.

NA NIESŁOWNĄ.

Miałem nadzieję, że mi życie miano,
Tak jako było z chucią obiecano;
Ale co komu rzecz białogłowa,
Pisz jej na wietrze i na wodzie słowa.

DO ANNY.

Wczora, czekając na twe obietnice,
I zabawiając niejako tęsknice,
Napisałem ci krom rozmysłu wszego,
Ten rym niegładki, skądbyś serca mego
Frasunk poznała, i myśl utrapioną,
Anno, twojemi słowy zawiedzioną:
Bom ustawicznie rachował godziny,
A szukał twego mieszkania¹⁾ przyczyny.
Chciałemli czytać, tom nic nie rozumiał,
Chciałemli zagrać, tom począć nie umiał.
Nakoniec, wzięwszy we mdlą rękę piorko,
Pisałem: ojca prawdziwego córko,

¹⁾ Opóźnienia.

Nieprawie słowna: a wtem mię sen zmorzył,
Gniew uspokoił, nadzieję umorzył.

O MIŁOŚCI.

Kto naprzód począł miłość dziecięciem malować,
Może mu się zaprawdę każdy podziwować,
Ten widział, że to ludzie bez rozumu prawie,
A wielkie dobra tracą przy tej głupiej sprawie.
Tenże nie darmo przydał do ramienia pierze,
Bo tam często odmiana, to gniew, to przymierze.
Strzały znaczą, że nagle człowieka ugodzi,
A z onej rany żaden zdrowo nie odchodzi.
We mnie strzały mieszkają, i ten bożek mały,
Ale mu pewnie wszystkie pióra wypadały,
Bo się nie da wypłoszyć nigdziej z serca mego,
Ani mi odpoczynku pozwoli żadnego.
Co za rozkosz masz mieszkać w suchych kościach
[moich?
Zaby¹⁾ już nie czas przenieść gdzieindziej strzał
[swoich?
Lepiej swej mocy na tych nieukach skosztujesz:
Bo już nie mnie, ale mój tylko cień frasujesz.
Który jeśli zatracisz, kto tak śpiewać będzie?
Z moich tych prostych rymów jesteś sławny wszędzie,
Które rumianej twarzy i oka czarnego,
Nie zamilczą u paniej, i chodu modnego.

¹⁾ Czyżby.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI

(1555—1581).

DO KASL.

Im pilniej na twe oblicze nadobne
Patrzę i na oczy twe gwiazdom podobne,
Tem mię srodzej palą płomienie miłości!
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

O wdzięczne stworzenie, pani urodziwa,
Bacz to, że dla ciebie serce me omdlęwa,
Cierpiąc niewymowny żal i doległości;
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

Ustawne wzdychanie, słowa niezmysłone
I smętnemi łzami lice pokropione
Niechaj cię przywiodą do słusznej litości.
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

Co za zysk stąd weźmiesz, że zginę dla ciebie,
Który cię miłuję bardziej, niż sam siebie,
I twojej się wdzięcznej dziwuję piękności;
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

Żywot, szczęście i śmierć i nieszczęście moje
Dzierży w swojej władzy możne serce twoje:
Co ty będziesz chciała, to się ze mną stanie;
Dla Boga, daj ratunek, me wdzięczne kochanie!

DANIEL NABOROWSKI

(ur. 1573).

O NECIE.

Miałem tę dobrą wolę zalecać się Necie,
Ale mię ona chciała musnąć po kalecie.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Jużem pisał i rymy o gładkości Nety,
Ale ona wolała pieniądze z kalety.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Całowałem to w usta, to w czoło swą Netę,
Ale zawsze miał pilne oko na kaletę.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Prosiłem, by łaskawą służkę swemu była,
Ale bardziej o mojej kalecie myślała.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Jedną rękę w zanadru trzymał u swej Nety,
A drugą zawsze miał przecie u kalety.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Owo zgoła, jeśli chcę ujść z całą kaletą,
Przyjdzie mi, nie kosztując, pożegnać się z Netą.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

JÓZEF BARTŁOMIEJ ZIMOROWICZ

(1597—1682).

KOMU KWIATECZKI...

Komu kwiateczki me kwitniecie?
Komu zapachy gotujecie?
Kto waszym zechce być strażnikiem?
Kto waszym będzie ogrodnikiem,
Ponieważ przyjaciel mój serdeczny
Odchodzi odemnie w on kraj wieczny?
Ehej róże śliczne, o róże!
A któż mi was zrywać pomoże?
O lilie, młode lilije!
Któż mi z was wianek uwije,
Kiedy największe moje kochanie
Ze mną się ostatecznie rozstanie?
Ach, fiołeczki me rumiane!
Dla kogo będziecie zerwane?
Oj wianeczku, luby wianeczku!
Komuż cię daruję w taneczku,
Gdy się odemnie spieszo wybiera
I gdy mój najmilszy umiera?
Rozmarynie, hej rozmarynie!
Już przyjemny zapach twój zginie;
Nie tylko rozmaryn sam, zgoła
Wszystkie wonne zniszczają ziola --
Oto kwiatek żywy z niemalym
Uwiadł świata wszystkiego żalem.

JERZY SZLICHTYNG

(WIEK XVII).

PIEŚŃ

Dworską się żywić nie myślę, szablą nie będę,
Ani za stołem z zwajcami¹⁾ w rzędzie zasięde,
Ale nadobną dzieweczkę, ściskający jej rączeczkę
Całować będę.

Bo co mi to za uciecha krwie rozlewanie,
Łoskot szabel, z dział. z muszkietów głośnie strzelanie?
Wolę ja słuchać muzyki, siedząc sobie u podwiki;
To me kochanie.

Niechaj do siebie narody głośnie strzelają.
Niechaj z sobą traktat czynią, niech się jednąją.
Ja już wojsko mijać będę, a do ciebie się przysięde,
Kasienko moja.

Wino, lutnia, twa uroda, me delicye;
W tym się kocham, który pełną do mnie wypije.
A ci, co są też w obozie, niech rany leczą na mrozie,
Ja niechaj żyję.

Ciebie proszę Kupidyńku, co z łuczkiem chodzisz,
Co miłości szybką strzałą w serce me godzisz,
Ulecz ten ból między nami, nie dręcz nas więcej strza-
Co z nimi chodzisz. [łani.

Szlichtink Jerzy z Bukowca tę piosnkę złożył,
Który przy słodkiej muzyce wiek swój położył.

¹⁾ Zwajca = człowiek zwadliwy, zwadę wszczynający, kłotnik.

Niechajże mu zdrowie służy, bodajże jako najdłużej
Na świecie pożył.

PIEŚŃ.

O cożeś się pani matko, na mnie rozgniewała?

Żem się swego najmilszego rozmiłowała?

A jakoż to nie miłować, gdy to umie zasługować

Krasny pacholek?

Czyś mniemała, żebym miała w wiecznej niewoli

Mieszkać z tobą, głód z chudobą, ciężko to boli.

Karałaś mnie bez przyczyny, teraz mi się trafił inny

Smaczny opiekun.

Opuść, matko, wszakęś gładko chodzić kazała,

I mnicie było skusić miło rozkoszy ciała.

Toć mnie było co i tobie, miałam i ja iskry w sobie

Cielesnej żądze.

Daj ¹⁾ wściekli, co wyrzekli, żem sławy zbyła.

Łgą i plotą, bym niecnotą ja kiedy była.

Zgrzeszyłam, żem z nim spała, bodajżem się rozstę-

Na dziecko małe. [kała

W tę godzinę niechaj zginę, jeśli żaluję,

Żem doznała, czegom chciała, aż mu dziękuję,

Że mnie był namówił na to, a ja mu syneczka zato

Wrychle powiję.

Ani wierzę, by w tej mierze wstyd miał być jaki,

To sromota, gdy ma cnota szwank ładajaki.

Lecz to sam Bóg w raję kazał, aby człek ludzkie roz-

Na świecie plemię. [mnażał

Na to godzi, kto się rodzi, by zażył świata,

W zeszłym wieku, zysk człowieku są młode lata.

¹⁾ Daj się wściekli, ci co rzekli.

Gdy bez pociechy upłyną, wszystkie nam korzyści
Grunt ci przyjaciel. [giną.
Każdej radzę a nie zdradzę, niech się nie droży:
Kto całuje i miłuje, ten nasz a Boży.
Bądźcież powolne dziewczeczki i miłujcie parobeczki;
Wasze to żniwo było jak żywo.

SZYMON ZIMOROWICZ

(1604—1629).

ROXOLANKI.

CICERINA.

Widziałam cię z okieneczka, kiedyś przechodził,
Rozumiałam, żeś się ze mną obaczyć godził.

Aleś ty pokoje

I mieszkanie moje

Prędkim minął skokiem,

A na mię nędznicę,

Twoją niewolnicę,

Aniś rzucił okiem.

Żal mię przejął niesłychany, gdy to ujrziała,
Bóg strzegł, martwą zaraz w oknie zem nie została.

Lecz to niebaczeniu

Abo też niechceniu

Twemu przyczytałam:

A wieczornej chwile,

Tusząc sobie mile,

Tylko wyglądałam.

Przyszedł wieczór, mrok mię nocny w okienku zastał;
Trwałam przecie, dokąd księżyc pełny nie nastal:

A ciebie nie było,

Ani cię zoczyło

Oko moje smutne.

Aniś listkiem cisnął,
Aniś słówka pisał,
O serce okrutne!

Kędy teraz twe usługi, kędy ukłony?
Kędy lutni słodkobrzmiacej głos upieszczony?
Który bez przestanku,
Z zmierzchem do poranku
Słyszećś mi dawał:
Przy nim winszowania
I ciche wzdychania
Lekuchność podawał.

Niemasz teraz dawnych zabaw, nie słyhać pienia,
Pełne serce tęsknic, uszy pełne milczenia:
Gdzie zwyczajne śmiechy?
Gdzie dawne uciechy?
Niebaczny człowiecze!
Nie wiesz, że pogoda
I godzina młoda
Prędziuchno uciecze.

Przeto żeś mi nie winszował szczęśliwej nocy,
Nie uznały snu miłego biedne me oczy:
Także ty wzajemnie
Łaskawej przeczemnie
Nocy nie zakusisz,
Lecz przykre niespania
I częste wzdychania
Co noc cierpieć musisz.

ALEKSY.

Cokolwiek w sobie ma ten świat odmienny,

Wszystko przemija, jako jednodzienny

Kwiat, który pięknie się rozwinie

Rano, a w południe zaginie.

Halino, dziewczę moje ukochane!

Skorom obaczył usta twe różane,

Wyznałem między wszystkim światem

Najpiękniejszym bydź one kwiatem;

Albowiem twoja uroda nadobna

Do różanego krzaku jest podobna,

Który wydaje na przemiany

Kwiat czerwony z białym zmieszany.

Dlaczegoż tedy, dziewczko okazała,

Zabraniasz zbierać kwiatków z swego ciała?

Czemu od twoich uciech, proszę,

Tak często odmioty ponoszę?

Samaś i sobie i mnie zawiniła,

Żeś różaniec na twarzy zasadziła,

Żeś na wargach i uściech kwiaty

Rozpostarła jako szkarłaty —

Te mnie do siebie wabia, te zuchwała

Wenus na wieniec zerwać mi kazała.

Jeżeli w tem usłucham bogini,

Nie ja, ona tobie przewini.

Ale daremnie darów bożych bronisz,

Bo niezadługo przecie je uronisz,

Gdy za starością szkaradną

Piękne róże z twarzy spadną,

A tylko ciernie dotkliwe zostaną,

Że młódź lubieżna ani pojrzy na nie.

Tam wspomniawszy na wdzięczności
Pierwsze, zapłaczesz od żalości.
A przetoż póki nie dozna odmiany
Młodości twojej ogródek różany,
Dopusć mi, proszę cię, w nim bywać
I róże przyrodzone zrywać.

ANDRZEJ MORSZTYN

(1613–1698).

DO ZOSIE.

Żeś w swej twardości niezmienna,
Nie dziw, boś wszystka odmienna.
I usta masz rubinowe,
I rzędy zębów perłowe,
I ciało alabastrowe,
I serce dyamentowe.
Co za dziw, że bożek mały
Nie przestrzcił twardej skały!
Bo i kolczanik złocisty,
I łuk niezaderewisty,
I bożek nazbyt łaskawy.
Jednak jeśli do tej sprawy
I ja się pilnie przyłożę,
Na zakład i gardłołożę.

O SWEJ PANNIE.

Biały i polerowany jest marmur z Karary,
Białe mleko, przysłane w sitowiu z koszary,
Biały labędź i białem okrywa się piórem,
Biała perła nie częstym zażywana sznurem,
Biały śnieg świeżo padły, nogą niedeptany,
Biały kwiat liliowy na świeżo zerwany;

Ale bielsza mej panny pleć twarzy i szyje
Niż marmur, mleko, łabędź, perła, śnieg, lilije.

NA KWIATKI.

Kwiateczki świeżo urwane z ogroda,
Puśćcie się chętnie dla Kasie swej grzędy,
Czeka was wielka nagroda,
Natka was za kształt i w swe włosy — wszędy.
Nie mogło szczęście lepiej igrać z wami,
I nie żałujecie ni gruntu, ni rosy,
Mając, gdy was skropię łzami,
Me łzy za rosę, a za grunt jej włosy.
Lecz przy jej złotym bawcie się warkoczu,
I byście w twardość równały się z stałą,
Chroncie się pilno jej oczu,
Jedno was rodzi słońce — te dwie spalą.
I choćby się wam i to przytrafiło,
Piękną wam szczęście wasze śmierć przybiera,
I niech wam mdleć będzie miło
Dla tej, dla której wszystek świat umiera.

PIESZCZOTY.

Ta, w której rękę żywot mój i zdrowie,
Pieści się ze mną i dzieckiem mię zowie;
Ale kiedy chcę, jak małe dziecińcy,
Trochę bezpieczniej poigrać bez winy.
Ostro się stawia, na śmiałość narzeka,
I ust i piersi dziecięciami umyka.
Dotknij jej Wenus zwyciężnym orężem,
Wnet mię nie dzieckiem pozna, ale mężem.

CUDA MIŁOŚCI.

Karmię frasunkiem miłość i myśleniem,
Myśl zaś pamięcią i pożądliwością,
Żądcę nadzieją karmię i gładkością,
Nadzieję bajką i próżnym błędzeniem.

Napawam serce pychą, omamieniem,
Pychę zmysłowem weselem z śmiałością,
Śmiałość szaleństwem pasę z wyniosłością,
Szaleństwo gniewem i złem zajątrzeniem.

Karmię frasunek płaczem i wzdychaniem,
Wzdychanie ogniem, ogień wiatrem prawie,
Wiatr zasie cieniem, a cień oszukaniem!

Kto kiedy słyszał o takowej sprawie,
Że i z tem o głód cudzy się staraniem
Sam przy tej wszystkiej głód ponoszę strawie.

DO MOTYLA.

Lekko motyłu! Ogień to szkodliwy.
Strzeż się tej świecy i tej jasnej twarzy,
W której się skrycie śmierć zdobna zarzy,
I nie bądź swego męczeństwa tak chciwy.

Sam się w grób kwapisz i w pogrzeb zdradliwy,
Sam leziesz w trunę i tak ci się marzy,
Że cię to zbawi, co cię na śmierć sparzy.
— Ach! jużś poległ, gachu nieszczęśliwy!

Aleś w tem szczęśliw, że z pocałowaniem
I dokazawszy zawziętej rozpusty,
Z twoją kochaną rozstałeś się świecą.

O! gdybyż wolno równem powołaniem
Dla tej, której się ognie we mnie niecą,
Umrzeć, złożywszy usta moje z usty!

NA UŚMIECH.

Czarowny śmiechu, który w ślicznym ciele
Różanych jagód wierzysz dwie łożnice
I dwie kolebki, w których bez różnice
Wdzięk z Kupidyńnem łóżko sobie ściele, —

Czuj się na siłach i następuj śmiecie
Na troskę, żalność, twoje przeciwnice,
Ból, płacz w mem sercu, niesmak i tęsknice,
Bij na mym gruncie twe nieprzyjaciele.

Wszystka ta zgraja bez zysku nadzieje
Uciecze, ani powrócić pomysli,
Gdzie się wdzięcznego śmiechu będzie bała.

Niechże ustawnie będzie dobrej myśli
Dziewka ma smaczka, niech się zawdy śmieje,
Choćby się nawet z mych lamentów śmiała.

NIEPEWNOŚĆ.

Chciałbym cię z dusze, dzieweczę, pocałować,
Ale muszę wprzód to w sobie uknować,



WŁADYSŁAW CZACHORSKI - ROZMOWA

Oczy są tego godniejsze, czy usta;
 Jaka to we mnie, z łaski twojej, rozpusta!
Przecie ja do was, oczy, serca mego
 Zwierciadła, gwiazdy nieba miłościwego...
Mylę się; raczej do was się udaję,
 Rubiny żywe, których ogniem taje.
Bo oko płaczu studnicą jest, a wy
 Nie wydajecie tylko śmiech łaskawy.

WACŁAW POTOCKI
(ur. około 1622, um. 1696).

ABRYS MIŁOŚCI.

Czyj to chłopiec skrzydlaty, rumiany a biały?
Wedle wzrostu ma łuczek, wedle łuczku strzały.
Kupido, syn Wenery. Co ta Venus znaczy
I czemu się tak to jej chłopię usajdaczy?
Bogini to miłości, w morskiej kiedyś spumie,
Z Saturna urodzona. A miłość co umie?
Zaraza i serc ludzkich okrutna wścieklizna.
Komu w nie ta zawiedzie strzałkę chłopięcina,
Naprzód wzroku pozbędzie, potem go ślepotą
Rozumu, naostatek zbawi i żywota.
To go nie może złapać? Kiedyć by nie skrzydła.
To nie znajdzie panczerza na te jego szydła?
I myśleć o tem szkoda; same tylko nogi
Wyzwolić człowieka mogą od tak wielkiej trwogi,
Lub się czem dobrem bawić. Ma przecie te cnoty:
Kto ucieka, nie goni; kto robi roboty,
Nie przeszkadza; ale cóż jeśli ludzie święci
Nie mogli, któż się z jego obierzy¹⁾ wykręci?
Słodką jest, jednak co miód musze, lep sikorze,
To ona człowiekowi. Zginał, jako w morze
Rzucony kamień, kto się nie ma na ostroży
I poda głupi szyję do jego obroży.

¹⁾ Obierz = powróż, sznur.

MIŁOŚĆ MIŁOŚĆ RODZI

Niechaj nikt guseł, niechaj nikt czarów nie szuka,
Fraszka i egzoreczmy. Jest na miłość sztuka,
Jest fortel. Choć odmienna, choć tak bardzo płocha,
Kto pragnie być kochanym, niechaj sam wprzód
A, że częstokroć serce językowi przeczy, [kocha.
Niechaj kocha nie w słowach, ale w samej rzeczy.

KAWALER DO DAMY, PTAKI POSYLAJĄC.

Ptakię posyłam, pewnym motch chęci znakiem,
Ach, gdzieżby mi się wolno stać samemu ptakiem,
Z orłembym na wyścigi o met szedł, z sokołem
A dziś jeszcze biłbym ci, śliczna damo, czołem.
Rozśmiejesz się podobno, moje słysząc wota,
Trudnoć mu latać, który ptak się w sieci mota.
Ja nie dbam, chociaż z sieci, gdy nie można lotem,
Byle twoim być, prawda, tu prędzej, tam potem,
Kędy, chociaż z dzisiejszych puchów się wypierzy,
Dosyć krótko bujawszy na tym świecie, Jerzy,
Skoro osiądzie drzewko ulubione w lesie,
Znowu buje ¹⁾ wyrości u pięknej Olesie.

¹⁾ skrzydła.

HIERONIM WESPAZYAN KOCHOWSKI

(ur. około r. 1630, um. 1699).

ZNIKOMA UCIECHA SNU LUBEGO.

A we śnież to, czy na jawi,
Ten mię widok luby bawi?
Czy przez jakie zachwycenie,
Patrzę na śliczne stworzenie?
Nie wiem, sami i anieli
By tej postaci być mieli;
I Helena, chwalna strasznie.
Przed jej ccrą pewnie zgaśnie.
Twarz białością śnieg przechodzi,
W niej rumieniec środkiem brodzi.
Korale te farbę mają,
Gdy je z perły pomieszają.
Płeć nadobna, oczy wdzięczne,
Jak w pełni światło miesięczne,
Brwi tej co kruk są czarności,
A zębki z słoniowej kości.
Czolo śliczne, wygładzone,
Jako niebo wypogodzone.
Usty kiedy najmniej ruszy,
W zachwyceniu być mej duszy.
W mowie swojej ma te dary,
Że przechodzi i nektary.
Gdy się gnicwa, tej postaci,
Jak gdy kanar ¹⁾ z miodem zbraci.

¹⁾ cukier.

W drobne cyrki warkocz kręty,
Tuż się wiesz nad drażnięty¹⁾.
Na nie oko snadnie natrze,
Dwa ich ryte w alabastrze,
Z którego kształt wszystek ciała
Natura uformowała,
Jakby ją przed wszystkim ludem,
Chciała mieć gładkości cudem.
Kiedy chwaleć to, co widzę,
Lubo się niczem nie brzydzę,
Dopierożbym chwalił i to
Co przed oczyma zakryto.
Aliści sen te rozkoszy,
Odbiegłszy mię, w lot rozpłoszy,
I ono śliczne widziadło,
Z oczu moich się wykradło.

ZIELONE.

Maj wesoly nam nastaje,
Zielenią się sady, gaje,
Wiosna ziemię gnuśnej łaje,
A zielone w rękę daje.
Zakwitły piękne dziardyny,
Zgoła wszystek świat jak inny,
Ogrodów Flora bogini,
W oczach ludzkich cuda czyni.
Patrz, jako jawór wyniosły,
Już gęstym liściem porosły.
Kochaneczek wawrzyn Feba,
Ma odzieży co potrzeba.

¹⁾ drażnięta = piersi.

Jabłoń w porośle gałęzi
 Sama siebie kryjąc więzi,
 Na cytryny, gruszki, wiśnie,
 Gęsty przez gwałt list się ciśnie.
 I wszystek rodzaj skoloźrzy ¹⁾,
 Wierzchołka z pniaku nie dojrzy.
 Wraz wzgardzone swym nieplodem,
 Zielenią się wierzby przodem.
 Więc z nich zrywam latorośle,
 Te Marynie pięknej pośle.
 Zielonem się niech zabawi,
 A niech słuszny zakład stawi.
 Ta gra tem się prawem chlubi:
 Komu zwiędnie, kto je zgubi,
 Lub go zbędzie innym kształtem,
 Opłaci zakład ryczałtem.
 Więc ja stawiam łańcuch złoty,
 W grochowe ziarka roboty,
 Choć nie kanak, nie haldzbanty ²⁾,
 Na jakie się zdobył fanty.
 A zaś moja stawi dama,
 Już nie kruszec, siebie sama.
 Droższy zakład jej osoby,
 Niż złoto węgierskiej proby.
 Przyjmie prawo, i gałązki
 Pięknemi zwięzuje wstążki.
 Pokrowczyk z skóry wierzbowej
 Kładzie, by nie wiądkł list płowy,
 Tak jej miły, tak jej wzięty,
 Współ go chowa z drażnięty,

¹⁾ Skoloźrzy, skoroźrzy = wcześniej dojrzały.

²⁾ naszyjniki.

I z nim sypia, i z nim chodzi,
Patrzaj, drewnu co się godzi?
Gdy już długo na nią schodzę,
I podejść ją we grze godzę,
Aż mi się trafiło wcześniej,
Napaść na nią zrana, we śnie.
Dobry dzień panno, zielone?
Ta trze snem oczy zmorzone.
Że się ledwo zorza bieli,
Maca wszędzie po pościeli.
Ja znowu: Maryś, zielone?
Darmo się przysz¹⁾, bo stracone.
Potem się sama przyznała,
A w zakładzie fawor dała.

¹⁾ wypierasz się.

JAN GAWIŃSKI
(um. około r 1700).

DWORZANKI.

DO HANNY.

Róża się w swojej purpurze rumeni,
Rozmaryn pięknie wszystek się zieleni,
Lilia nad śnieg i mleko bieleje,
A fijołeczek w swej się barwie śmieje:
Lecz gdy cię, Hanno, pośród siebie maja,
Wszystkie przed tobą kwiatki się wstydują.

O WALECZNYM KUPIDYNIE.

Prosiłaś mię o obraz Kupida małego
Wdzięczna Anno, w pokoju moim będącego,
I dając; jednak pytam, coć po malowanym,
Gdy jest żywy Kupido w twem ciele kochanem?

VILANESCA.

Szymku, duszo moja,
Wiesz, żem jest twoja,
A ty zdrajca przecież,
Innym nożki gnieciesz.

Często szarafana ¹⁾
Hysujesz w kolana ²⁾
I w ucho coś prawisz,
A bembenki dławisz.
Szymku, nie inaczej
Żle to bardzo znaczy,
Że teraz mną brzydzisz,
A inne nawidzisz.
Me gronka dostałe
I nóżeczki białe,
Przedtymeś je chwalił,
Kiedyś mną nie szalił ³⁾,
Me lice rumiane,
Gieźleczeko pisane
I co więcej miło,
Twe to wszystko było.
Teraz ja niestoty,
Patrząc w twe niecnoty,
Aże z żalu taję,
Żeć inna sprzyjaje.
Bogdaj te maskary,
Swej nie uszły kary,
Że mi z pola moczki
Kradną kłosa w nocki.
Byś gdzie w wielu potent
Nie napił się z błotem,
Szymku, z jednej wody
Zażywaj ochłody.

¹⁾ Szarafan = szara suknia domowa

²⁾ Hysować = podnosić żagiel.

³⁾ Szalić kogo = omamić, oszukać.

STANISŁAW TREMBECKI

(1730—1812).

KUPIDO.

(Anakreontyk).

Chłopczyk z rączką uzbrojoną
Skoczył mi był raz na łono,
I, złapawszy mnie za szyję,
 Ukazał strzałeczek dwoje:
— Wiesz, kogo niemi przeszyję?
 Temiry serce i twoje.

Na mnie nie potrzeba strzały,
Dwie nadto, chłopczyku mały!
Jest inny sposób w twej sile,
 Oto bież do okrutnicy,
Ja tam przybędę za chwilę,
 Czekaj mnie na jej źrenicy.

DO KOSOWSKIEJ W TAŃCU.

Cóż to za łube natury dzieło
Wdzięcznym się zrywa w tany podskokiem?
Cóż to za bóstwo igrać zaczęło
I świat czarownym bawi widokiem?

Lud się zgromadza cały w zdumieniu,
Widząc piękności i wdzięków dziwy,
Kupid wdychając zdala w milczeniu,
Próżno zaostrza swoje cięciwy.

Śliczna z postaci, żywa jak łania,
Oczki jak zorza, usta w rubinie,
Z rączy się wiatrem w tańcu ugania,
Chwyta za serce, kto się nawinie.

Nózki się ledwo widzieć pozwolą,
I tylko czasem tykają ziemi,
Wszystkie w niej członki razem swawolą,
A zefir igra z szaty wiotkieni.

Zefir, który sam godzien zazdrości,
Bo wszystkie jego chęci spełnione,
Najtajemniejsze widzi skrytości,
Całując zawsze usta pieszczone.

Gdy się na zwrocie nieco zawinic,
Lotny fartuszek albo spódniczka,
Ledwo z chciwości oko nie zginie,
Żeby zobaczyć chociaż trzewiczka.

Daremna chluba, Gracye, wasza,
Że Olimp swemi płasy dziwicie,
Ta to na ziemi Kosowska nasza
Umie śmiertelnych zabawić życie.

Do malowania widoku tego.
Jaka jest kształtność i wdzięk oblicza,
Pióro zostawiam dla Krasickiego,
Pędzel malarski dla Smuglewicza.

Lecz to im zdając, słuszną mam twogę,
I ta robota nim jest skończona,
Uczynić muszę wczesną przestroge:
Bójcie się losu Pigmaliona!

FRANCISZEK KARPIŃSKI

(1741—1825).

PRZYPOMNIENIE DAWNEJ MIŁOŚCI.

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory:
Tam ja z tobą, Justyno,
Słodkie pedził wieczory.

Noc się krótką zdawała,
Żegnamy się z świtaniem;
Miłość sen nam zabrała:
Miłość żyje niespaniem.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

Raz się chmura zerwała,
Piorun skruszył dębinę:
Tyś mię drżąca ścisłała,
Mówiąc: »sama nie zginę«.

Oto przy tym strumieniu,
Oto przy tej jabłoni,
Wieleż razy w pragnieniu
Wodę piłem z jej dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie
Los rozdzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmasały!
Las zarasta krzewiną!
Potok, drzewa, zostały:
Ciebie niemasz, Justyno!

MAZUREK.

Dobra noc Jacenta,
I wam, usta czyste,
I słodkie oczęta,
I piersi parzyste!

Ja nie spać statecznie
Całą noc gotowym:
Bo kto śpi bezpiecznie
Przy skarbie takowym?

Wzięłaś mi sen cały
Oczu twych czarami;
Nie będę zuchwały,
Żartował z oczami.

Pójdęz ja do fary,
Jak się na dzień zbierze,
Na te twoje czary
Zakupię pacierze.

Kupięz ja i świecę
Za złotowicę całą,
Bym nie miał tęsknice
Po Jacentej białej.

Przynajmniej uproszę,
Jeśli jest zuchwała,
By, co ja ponoszę.
Toż samo cierpiała.

LAURA I FILON
(Fragment).

LAURA.

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem.
Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos zwiążę splątany;
Bohym się bardziej jeszcze spóźniła,
A mój tam tęskni kochany.

Wezmę z koszykiem maliny moje,
I tę pleciankę różową:
Maliny będziem jedli oboje;
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz miłości śmiała;
Gdybyś mi skrzydła przypięła!
Żebym najprędzej bór przeleciała,
Potem Filona ścisnęła.

Oto już jawor... Niemasz miłego!
Widzę, że jestem zdradzona!
On z przywiązania żartuje mego;
Kocham zmiennika Filona.

Pewnie on teraz koło bogini
Swej, czarnobrewki Dorydy,
Rozrywkę sobie okrutną czyni
Kosztem mej hańby i biedy.

Pewnie jej mówi: że obłądzona
Wpieram się w drzewa i bory.
I... zamiast jego białego łona,
Ściskam nieczule jawory.

Filonie! wtenczas, kiedym nie знаła
Jeszcze miłości szalonej,
Pierwszy raz-em ją w twoich zdybała
Oczach i w mowie pieszczonej.

Jakże mię mocno ubezpieczała,
Że z tobą będę szczęśliwą!
A z tem się chytrze ukryć umiała,
Że bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą!
Teraz wracając do domu,
Nauczać będę moją przygodą,
Żeby nie wierzyć nikomu.

Alc kóż zgadnic: przypadek jaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki,
Możem ja próżno strwożona?

Lepiej mu na tym naszym jaworze
Koszyk i wieniec zawieszę,
Jutro paść będzie trzodę przy borze...
Znajdzie!... jakże go pocieszę!

Oh nie! on zdrajca; on u Dorydy,
On może teraz bez miary
Na sprośne z nią się wydał bezwstydy...
A ja mu daję ofiary...

Widziałam wczoraj, jak na nią mrugał;
Potem coś cicho mówili:
Pewnie to dla niej ten kij wystrugał,
Co się mu wszyscy dziwili.

Jakżeby moje hańbę pomnożył,
Gdyby od Laury uwity
Wieniec, na głowę Dorydy włożył,
Jako łup na mnie zdobyty?

Wianku różany! gdym cię splatała,
Krwiam cię rąk moich skropiła:
Bom twe najmocniej węzły spajała,
I z robotą się kwapiła.

Teraz bądź świadkiem mojej rozpaczny,
I razem naucz Filona:
Jako w kochaniu nie nie wybaczy
Prawdziwa miłość. wzgardzona.

Thukę o drzewo koszyk mój miły,
Rwę wieniec, którym splatała,
Te z nich kawałki będą świadczyły,
Żem z nim na wicki zerwała...

Kiedy w chroście Filon schroniony
Wybiegł do Laury splakany,
Już był o drzewo koszyk słuczony,
Wieniec różowy stargany.

JÓZEF SZYMANOWSKI

(1748—1801).

ANUSIA.

Anusia ładna
Gdy się bawiła,
Miłość ją zdradna
Sobie złowiła.

Antek oszczerca
Ułożył minę;
Mówił do serca,
Cwiódl dziewczynę.

Przy krzewiu róży
Bujala trawa,
Antek był hoży,
Anusia żwawa.

Anuś nie płocha,
Cóż czynić miała?
Przysiągł że kocha,
Zdrady nie znała.

Opadły róże,
Trawka zbledniała,
Anuś niebożel
Miłość niestała.

Antek zdradliwy,
Już cię porzucił,
Dla innej tkliwy,
Ankę zasmucił.

Wtem przyszedł Kuba,
Kuba wesoly,
Anusia luba
Porzucić mozoly.

Przestań już szlochac,
Niech Antek zginie,
Chciej Kubę kochać,
Siądź przy krzewinie.

Anusia wrzasła:
Tu ciernie kole,
Tu miłość zgasła —
Przy dębnie wole.

FRANCISZEK DYONIZY KNIAŻNIN

(1750—1807).

O AMARYLLI.

Daj ucałować ponęty kochane
Dajże, prosilem, dajże, Amarylko!
Ona mi do ust swe usta różane
Przytknęła tylko.

I zaraz, jak ten, co węża nadepce,
Z nagłego strachu na stronę uskoczy;
Odjąwszy różę tej milej przylepce,
Zwróciła oczy.

Dajże raz jeszcze, raz jeno, — nie więcej:
Ona się z gniewem na mnie obejrzała,
Możesz brać — rzekła — i do stu tysięcy
Kiedym raz dała.

KROSIENKA.

Darmo mi, matko, stawisz krosienka:
Insza mię teraz myśl wiedzie.
Ach, pozwól raczej wyjrzeć z okienka,
Czyli mój Filon nie jedzie?

Gdyśmy na siebie spojrzeli mile,
Powiedział tylko dwa słowa.
Bez niego teraz przykre mi chwile:
On mojej duszy połowa!

Cóż go tak długo tam zatrzymało?
Drogać mu nie jest daleka,
Serce on moje zna jeszcze mało,
Które na niego tak czeka.

Przez ten ma gąk jechać mój mity:
Kiedyż twarz jego zaświeci?
Ptaki się stamtąd nagle ruszyły:
Zapewne on to już leci?

I sroczka z płotu skrzeczy na niego:
Cóż to? nie widać go jeszcze.
Filonie! na blask wzroku twojego
W ręce z radości zakleszczę.

Otóż i widać, — gość luby jedzie,
Sercu mojemu życzliwy!
Miłość w te strony wzrok jego wiedzie,
A pod nim igra koń siwy.

Sięde w krosienkach na moment mity,
Abym tę radość ukryła,
By nie zrozumiał Filon przybyły,
Że ja tu po nim tęskniła.

FRANCISZEK ZABŁOCKI

(1754—1821).

PIEŚŃ PASTERSKA.

Darmo mnie młoda lubi Zofija,
Darmo się sama do mnie nabija;
Darmo i Basia przez swe zamęście
Stawia mi wielkiej nadziei szczęście.
Nie trwam ja o te zysku zalety,
Chęć moja dąży do innej mety;
To jest, do ciebie, śliczna Rozeto!
Ty jesteś celem moim i metą.

Raz, gdy wieczornej kwoli zabawie
Na chłodnej sobie siadłem murawie,
Przyszła Marysia; jej postać cała
W słodką mnie miłość uplatać chciała.
Szturm to był ciężki, lecz bezskuteczny,
Bo umysł tobie chowam stateczny,
Bo ciebie tylko, mych chęci meto,
Raz ukochawszy, kocham, Rozeto!

Niechaj tu stanie w swej przemożności
Najobszerniejszych dziedziczka włości!
Niech ma za sobą tytuły dumne,
Liczne bogactwa i służby tłumne!
Jej się uklonię; a serca przecie
Zachowam stałość swojej Rozecie.
Bo ciebie tylko, mych chęci meto,
Raz ukochawszy, kocham, Rozeto!

ANAKREONTYK.

W rozkosznym biegu siedząc strumyka,
Pasterka młoda
Patrzała, jak się czysto pomyka
Od źródła woda.

Tak prędko nasze zmykają lata,
Pomyśli sobie;
Więc trzeba wcześniej używać świata,
Póki czas w dobie.

Cóż bez miłości schnąć będę dłużej?
Trzeba pastuszka!
Z tobą mi miłsze czas chwile wróży,
Dafni, mój duszka!

Zdobić ofiarę już przymuszonej
Będziem skromności?
Wiek nasz do kresów swych nachylony,
My bez miłości?

Czas na to wspominać, że wiosna chyża
Lat naszymi mija;
Okrzepła starość tuż się przybliża,
Co nas zabija.

Trudno ci wtenczas wykrzesać będzie
Czucia iskierki,
Gdy ciężka we krwi flegma osiedzie
Twojej pasterki.

Ach, czas i miłość biegną galopem
Nigdy niewrotnym.
Ni jej przywabisz żadnym syropem,
Byś był zalotnym.

Jako ten strumyk, skoro raz swoje
Porzuci łożę,
Pierwotne potem odwiedzić zdroje
Nigdy nie może!

Tak naszych wdzięków biegną koleje,
Gdy je czas zwarzy;
Wiekem nadpsutej, nie ma nadzieje
Umilić twarzy.

Nic na tym świecie nie jest bez celu
I zatrudnienia;
Więc się nam kochać trza, przyjacielu,
Z losów rządzenia.

Idzie za nocą ciemność ponura,
A dzień za słońcem;
Nam za miłością każe natura!
Miłość serc końcem!

KAJETAN WĘGIERSKI

(1755—1787).

NICE.

Tam pod zielonym lasem
Poniżej małą dolinę,
Gdym do domu wracał, nawiasem
Zoczyłem śliczną dziewczynę.
Pała bieluchne owieczki,
A siedząc w cieniu bukowym,
Wiła różane wianeczki
Z rutą i liściem mirtowym;
Ledwie ją zoczył zdaleka
Serce mi gorąc zaczyna,
Ogień mi zewsząd dopieka,
Biegnę, gdzie owa dziewczyna.
Przyskoczę do niej, przywitam,
Mile przyjmuje, co czynię:
Skąd i co robi nie pytam,
Siadam przy grzecznej dziewczynie.
Z oczu, z uśmiechu, wejrzenia
Poznałem, że mną nie gardzi,
Przyjęła mile ścisnięcie,
Pocałowałem tam bardziej.
Ślicznych ust wdzięczne jagody
Niezbronne ustom mym były,
Nie dla każdego te gody
Podobno by się zgodziły.

I młeczne piersi choć z strachem
Potroszę przecie ścisiałem,
Ale tym samym zamachem
Że więcej wolno, doznałem.

.
.
.
.

A gdy dla miłej ochłody
Położyła się na trawie,
Pozwoliła mi swobody
Z sobą używać łaskawie...
Skorom skosztował dowoli
Co Nice miała słodczy,
Opuściłem ją powoli,
Wziąwszy wianeczek w zdobyczy.
Odtąd jużem jej nie zoczył,
Choć nieraz długo szukałem,
Choć okolicem wszystkie okroczył,
Choć nic jednego pytałem.
Aże dopiero pszenicę
Kiedyśmy żęli w tem lecie,
Postrzegłem, jako ma Nice
Niosła na ręku swe dziecię.
Ale bojąc się, by z żalu
Nie chciała wydać mię komu,
Ominawszy ją pomału,
Uciekłem śpieszno do domu.

DO ROZINY.

Spojrzyj, Rozyno, jak świat szeroki,
Na ziemię, morze i na obłoki.
Bogów i ludzi, ryby, zwierzęta
Słodka miłości wabi ponęta.

Jaki błąd próżny wielu z nas ludzi,
Że miłość tylko służy dla ludzi!
Już my się dzisiaj bardzo zepsuli,
Ptaszki, ach! ptaszki kochają czulej.

Czyś nie widziała gołębi dwoje,
Jak pyszczki łączą miłośnie swoje;
Czułość wzajemna, co ich upaja,
Zda się, że każde piórko podwaja.

Dla czego słowik przed słońcem wstaje?
Bo miłość tkliwa spać mu nie daje.
Czemu tak jego przyjemne pienie?
Bo to miłości czulej natchnienie.

I takich istot w naturze siła,
Którym że czucia dar odmówiła,
Same się kochać nie będąc w stanie,
W innych przynajmniej niecą kochanie.

Dlatego strumyk szemrze w swym biegu,
By amant wdychał przy jego brzegu.
I wonne kwiaty i miękkie trawy
Są dla miłosnej stworzone sprawy.

Idąc, Rozyno, za przyrodzeniem,
Żyjmy jedynie miłości tchnieniem;
Związek na wicki słodki i ścisły,
Niech nasze spaja serca i zmysły.

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

(1758—1841).

PIEŚŃ.

Raz, patrząc na mą Zosię,
Gdy skronie wieńczyła kwiatem:
»Tyś jest — rzekłem — moim światem,
Ty stanowisz o mym losie!
Wzrok twój czuły lub okrutny,
Jam szczęśliwy albo smutny«.

Gdyby mi wybierać dano,
Czyli wolę skarby złote,
Czyli mą Zosię kochaną
I jej wdzięki, i jej cnotę —
Rzekłbym: weź złoto, kamienie,
Ja wolę Zosi spojrzenie.

Róża, co dzień tylko żyje,
Jednak z zefirem omdlewa;
Słowik, co się w liściach kryje,
Przez wiosnę swej żoncy śpiewa;
Ty, Zosiu, w młodości kwiecie,
Chceszże żyć sama na świecie?

Nie ta Pasterka szczęśliwa,
Której zaletą ozdoba,
Ni co się wielu podoba;

Ale ta, co żyje tkliwa,
Co powiedzieć może: — »wierzę.
Jest ktoś, co mnie kocha szczerze«.

Ach! jest, co dla Zosi żyje,
Co ją nadewszystko ceni!
Miłość on swą wiernie kryje,
Niech się Zosia nie rumieni;
Lecz choć usta nie mówiły,
Przecież go oczy zdradziły.

LUDWIK KROPIŃSKI
(1767—1844).

2. PIEŚŃ.

Te brzoź kilka, bieg tej wody
Tak mi wiele przypomina!
Tu przeskakałem wiek młody,
Tu nigdyś była Emina.

Ona tak miło i snadnie
Przez oczy weszła do duszy,
Jak wietrzyk, gdy w listki wpadnie
I spokojność drzewa wzruszy.

Czemuż z miłych rzeczy zgubą,
Pamięci człowiek nie traci?
Nie wdychałbym za nią lubą,
Ni płakał poległych braci.

Gaje, pagórki, doliny,
Przeszłości obrazie miły!
Bez ojczyzny i Eminy
Jakżeście wiele straciły!

ANDRZEJ BRODZIŃSKI

(1786–1812).

POŻEGNANIE Z KOCHANĄ.

Czyliż ojczyzny nie kochasz, o luba,
 Że mi iść bronisz, piersi stawiać za nią,
czyliż nie znasz, jak wielka stąd chluba
 I jak jest słodkie na placu skonanie?

Alboż tak dufasz męstwu memu mało,
 Że się pociskom nie zdołam odwinąć,
Że bić nie zdołę nieprzyjaciół śmiało,
 Lub ich zwyciężyć, lub z honorem zginać?

Wrócę-li, wrócę zwycięzcą, a tobie
 Nie miłoś będzie oglądać mnie w chwale?
A gdy nie wrócę, wiedz, żem poległ w grobie,
 Lecz pomnij na to, żem poległ wspaniale.

Żal-że ci będzie, żeś mą lubą była,
 Gdyć rzekną: poległ dla ojczyzny sławy!
Lub czyż się ze mnie nie będziesz pyszniła
 Na głos: twój luby był bojownik żwawy?

Jeszcze na względy nie zasłużył twoje.
 Czegoż kosztowne tve nie warte wdzięki?
Pójdę na wojnę, ty mi przywdziej zbroję,
 A wnet pokażę, żem twojej wart ręki.

Bądź zdrową, luba; daj mi chustkę twoją,
 Nią otrę czoło z marsowego potu.
Pod nią się prędko rany moje zgoją:
 Będę do ciebie pisywał z namiotu.



WOJCIECH KOSSAK ULAN I KOWALOWA

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI
(1791—1835).

PASTERKA.

Kto doniesie sercu memu,
Co z moim lubym się dzieje;
Któż odemnie powie jemu,
Że tęskna łzy po nim leje?

Miły ptaszku mijasz gaje,
Z dalekiej lecisz krainy,
Powiedz, gdzie mój Jaś zostaje,
Ach! powiedz, pośle jedyny!

Weź te kwiaty, weź odemnie
Słakanem okiem szukane!
Serce bije mu wzajemnie,
Dopóki żyć nie przestanę.

Choćby go daleko w świecie
Morzami okręt prowadził,
Śpiesz się, wracaj, donieś przecie.
Czy żyje, czy mię nie zdradził?

Ale ptaszek płocho leci,
W jodłowym gubi się lesie;
Śpieszy, śpieszy do swych dzieci,
I kłosek w dziobku im niesie.

Leć, ptaszyno moja droga!
Bo twoja luba cię czeka,
Nie dziw tobie, że uboga
Pasterka tęskna, narzeka!

PASTERZ DO ZOSI.

Pojrzyj przecię mile
Moja Zosiu płocha.
Daruj aby chwilę
Temu, co cię kocha.

Kiedy cię nie staje,
Ciemno mi na niebie.
Łąki, wody, gaje
Niczem są bez ciebie.

Tyś jest moje mienie,
Ty wesele moje,
Za twoje spojrzenie
O nic już nie stoję.

Gdybym ja się kiedy
Stał niewiernym Zosi,
Niech mnie wichur wtedy
W górach poroznosi.

Niechaj się zapadnę,
Niewierny kochanek,
Za oczęta kudne,
Za twój Zosiu wianek.

ANTONI MALCZEWSKI

(1793—1826).

MARYA.

(FRAGMENT).

Nie drżysz! wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył —
Jeszcze pierwiej: jak tylko, żeś moją, oświadczył,
Tak mi tem jednym słowem serce usposobił,
Jak gdyby mi nikt, nigdy, nic złego nie zrobił.
To wzięwszy moją szablę, której blask odstąpił
Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie,
To wzięwszy mego konia, co nieraz w te niwy
Tak szybko mnie unosił — jechałem szczęśliwy.
Och! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapalem!
Ty nie wiesz — ty umiesz bez chluby żyć koić —
Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
W których wspomnieniu umysł chciałby istność scho-
Maryo, czyś ty nie chora? bo masz taką postać, [wać.
Jakbyś się do aniołów myślała już dostać,
I w nowem udęczeniu, choć się tobą pieszcze,
Prawie się spytać pragnę, czy mię kochasz jeszcze?
— Czy Marya ciebie kocha? moj drogi, mój miły!
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły;
Więcej, niż wąż serce, gdy jemu już zadość,
Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość.
I gdyby nie Tatarzy, co mi w oczach błyszczą,

I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą —
Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
Czy Marya ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
Czem dla Maryi świat cały bez twego spojrzenia?
Czem dla Maryi świat przyszły — bez twego wspo-
[mnienia!

Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą
Zniżona całym czuciem przed Stwórcy potęgą,
Gdym chciała ciebie sflumić modlitwy pociechą —
Zaraz mi brzmiało jakby twego żalu echo!
To może Pan Bóg skarże tak żywe kochanie,
I tatarska ci strzała w serce się dostanie.
Widzisz ten jasny promień? co z liści osnowy
Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
Ten promień żywi, zdobi, każdego weseli:
Czemuż, gdyśmy złączeni, on jeszcze nas dzieli?
Próżno, próżno, mój luby! choć usta z ustami,
Patrzaj — chyli się z liściem i jest między nami.
Ach! wśród uniesień bitwy i zwycięstwa wrzawy,
Przypomnij sobie, drogi, że promień twej sławy,
Tak czysty, taki świetny, jak słońce na niebie,
Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie!
Och! niechaj pierwiej Maryę w ciemnościach zagrzebie!
Nieprawdaż, mój Wacławie? ty będziesz odważny,
Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny!
A gdy już moje oczy, wdrażone zgryzotą,
Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą,
Gdy serce wylchnie z trwogi przy piersiach bez stali —
To może się na miłość Wacław nie pożali?
Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
Nie myśleć tylko o tem, w czym tobie dogodzić,
Być twoich chwil osłoda, czasem ich ozdoba,
Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą, —

I w tej ostatniej chwili, choć w cierpien natłoku,
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku,
A gdy nie wolno z tobą — żyć w twojej pamięci:
To Maryi cała miłość, wszystkie Maryi chęci.
Skoro mi szczęśliw wrócisz — mą harfę nastroję,
I przy blasku księżycy usiadłszy oboje,
W tkliwej, smutnej, jak lubisz, unosząc się nucie,
To, co nikt nie wyraził, przywłaszczym uczucie.
Ach! - z jaką okropną trąbą zagrały żalobą!
Och! nie rzucaj mnie znowu! och! zabierz mnie z sobą!

•

•

IGNACY CHODŹKO

(1794—1861).

MALINY.

Przez litewski łąn
Jedzie, jedzie pan,
Przed nim, za nim jego cugi,
W złocie, srebrze jego sługi;
Jedzie w gościnę (bis).

Przyjechał na dwór,
Do matki dwóch cór;
»Matko, matko, masz dwie róże,
Obie kraśne, obie hoże,
Daj mi jedną z nich«.

Matka prosi wejść,
Każe córkom przyjść,
Lecz pan obie równie kocha,
I tę trocha i tę trocha;
Któraż tu wybrać?

Dwa im dzbanki daj,
Niechaj idą w gaj;
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze,
Ta będzie panią.

Słońce się z za drzew
Rumieni jak krew,
Krwawą łuną gaj ozlaca,
Z gaju starsza córka wraca,
A młodszej nicma.

Na jej czarnej brwi
Niby kropla krwi;
Któż wie, z jakiej to przyczyny,
Od maliny lub kaliny,
Może to nie krew.

»Oto malin dzban,
Gdzie mój mąż, gdzie pan?
Siostra już nie wróci z gaju,
Może wpadła do ruczaju,
Może pożarł wilk?«

Pan rozesłał sług,
Do gaju nad strug;
Całą noc w gaju wołali,
Cały dzień w strugu szukali;
Niema i niema.

Pan miał złota wór,
Murowany dwór,
Szczęśliwy z żoną szczęśliwą,
Z krasawicą urodziwą,
Z tą córką starszą.

A gdy przyszedł maj,
Pobiegł panicz w gaj,
Kręcił dudki, zrywał kwiatki,
Z klaskiem, wrzaskiem biegł do matki:
»Ach, mamó, mamó!

Otóż dudkę mam,
Otóż pięknie gram;
Dudka moja osobiwa,
Jak siostrzyczka moja śpięwa,
Słuchaj piosenki:

„Graj Michasiu, graj;
Jak dziś kwitnie maj,
Tak nad róże, nad bławatki,
Dwie nas kwitło w domu matki,
O moja wiosno!

Ach! lecz siostry nóż
Skosił różę róż;
Pod kurhanem me mieszkanie,
Dzika wierzba na kurhanie,
O, moja wiosno!”

»Dziko synu grasz,
Skąd tę dudkę masz?»
»Dudkę skęciłem w gaju
Z dzikiej wierzby przy ruczaju,
Przy krzaku maline.

Pani pobladła,
Jak stała — padła;
Ileż straty, ileż szkody,
Wieś tak wielka — mąż tak młody,
Dziatki nieletnie!

Przez litewski łąn,
Jedzie, jedzie pan;
Lecz w całunach jego cugi,
Lecz w żałobie jego sługi,
Przy trumnie pani.

TOMASZ ZAN

(1796—1855).

TRYOLET.

Marylko wdzięczna i luba,
Na twój widok czuję trwozę.
Gdzież moje męstwo! gdzie chluba,
Marylko wdzięczna i luba.
Patrzeć na cię — wieczna zguba,
A ja nie patrzeć nie mogę.
Marylko wdzięczna i luba
Na twój widok czuję trwozę.

Kto cię ujrzał, gnie kolana
I twym więźniem zostać woli,
Choć wolność jest pożądana,
Kto cię ujrzał, gnie kolana.
Słodsze nad cię tyrana
I słodszej niemasz niewoli.
Kto cię ujrzał gnie kolana
I twym więźniem zostać woli.

ADAM MICKIEWICZ

(1798—1855).

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

»Tyżeś to? i tak późno?...« »Błądną miałem drogę,
Śród lasów, przy niepewnym księżycu promyku.
Tęskniłaś? myślisz o mnie?...« »Luby niewdzięczniku!
Pytaj się, czy ja myśleć o czem innym mogę!«

»Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę.
Ty drżysz! czego?...« »Ja nie wiem. Błądząc po gajku,
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku:
Ach! musimy być winni, kiedy czujem trwogę!«

•Spojrzyj mi w oczy, w czoło: nigdy z takim czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmieie.
Przebóg! jesteścież winni, że siedzimy społem?

»Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele,
I zabawiam się z tobą, mój ziemski aniele!
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem.«

DZIEŃ DOBRY.

Dzień dobry! nie śmiem budzić. O wdzięczny widoku!
Jej duch napoły w rajskie wleciał okolice,
Napoły został, boskie ożywiając lice,
Jak słońce napół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzień dobry? Już westchnęła, błysnął promyk w oku.
Dzień dobry? Już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice.
Dzień dobry! Słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzień dobry: lecz twe sennie wdzięki
Odebrały mi śmiałość. Niech się wprzódzy dowiem:
Z łaskawem wstajesz sercem, z orzeźwionem zdrowiem?

Dzień dobry! Nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść? Odchodzę: oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko — dzień dobry ci powiem.

DOBRANOC.

Dobranoc! Już dziś więcej nie będziem bawili,
Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy.
Dobranoc! Niech odpoczną po łzach twoje oczy.
Dobranoc! Niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc!... Z każdej ze mną przemówionej chwili,
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy,
Niechaj gra w twojem uchu; a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili.

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica.. Dobranoc! chcesz na sługi klasnąć!
Daj mi pierś ucałować... Dobranoc! zapięta.

— Dobranoc! Już uciekłaś, i drzwi chcesz zatrzasnąć.
Dobranoc ci przez kłankę, Niestety zamknięta.
Powtarzając dobranoc! nie dałbym ci zasnąć.

DO M..

Precz z moich oczu!... posłucham od razu;
Precz z mego serca!... i serce posłucha;
Precz z mej pamięci!... Nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha!

Jak cień tem dłuższy gdy padnie z daleka,
Tem szerzej koło żałobne roztoczy:
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił.
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę —
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdzie pierwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia —
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siedzisz, nim muzyk tańce zapowiedział —
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzyś kochankow nadzieje;
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: ach, to nasze dzieje...

A jeśli autor, po zawilej probie
Parę miłosną na ostatek złączył;
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył...

Wtem błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza,
I puszczyk z jękiem w okno załopoce...
Pomyślisz sobie, że to moja dusza.

Tak w każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

ROZMOWA.

Kochanko moja! na co nam rozmowa?
Czemu, chcąc z tobą uczucia dzielić,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

Kocham, ach! kocham, po sto razy wołam:
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego nie zdołam

Dosyć wymówić, wyrazić, wyspiewać;
I jak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremnem użyciem:
Teraz je z twemi chcę stopić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem.
I westchnieniami i całowaniami,
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata i po końcu świata.

DO D... D...

Moja pieczętka gdy w wesołej chwili,
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać:
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali,
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną wśród koralu:
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować.

SEN.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,



Rzucając nawet nie chciej mnie zasmucić,
I, rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutnem jutrem, niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę; powieki
Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy;
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twem łonie białem,
Znowu mię ramię kochane otoczy;
Zbudzę się myśląc, że chwilkę drzemałem
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

DO...

(NA ALPACH W SPLUGEN).

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz, i łądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj w tych podniebnych gó-
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach [rach,
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie:
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady
Ty w tańcu rej prowadzisz wesolej gromady,
Lub może się nowemi miłostkami bawisz,
Lub o naszych miłostkach śmiejąca się prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią *Pani!*
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie,
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie,
I przeszłaby twa nóżka wodą niedotkniętą,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączeta!
Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą;
Tam, zwleczoną z nych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu!...

FRAGMENT Z »DZIADÓW«.

GUSTAW (z *żalem*)

O, nie! nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu:
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;

Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekim,
Postawą sobie blizcy, jednostajni wickiem,
Ten sam powab we wszystkim, toż samo niechcenie,
Też same w myślach składnic i w czuciach płomienie.
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła:
Bóg osnuł przyszłe węzły,

(z żalem największym)

a tyś je rozstrzygła!

(Mocniej, gniewny)

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli...
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto,
I honorów świecąca bańka wewnątrz pusta!
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!
Ja, gdybym równie był panem wyboru,
I najcudniejsza postać dziewicza,
Jakiej Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niżli aniołów oblicza,
Niżli sny moje, niżli poetów zmyślenia,
Niżli ty nawet... oddam ją za ciebie,
Za słodycz twego jednego spojrzenia!
Ach, i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie:
Oddałbym ją za ciebie!
Najmniejszych względów nie zyska odemnie,
Gdyby za tyle piękności i złota
Prosiła tylko, ażeby jej luby
Poświęcił małą cząstkę żywota,

Który dla ciebie całkiem poświęca daremnie!
 Gdyby prosiła o rok, o pół roka,
 Gdyby jedna z nią pieszczota,
 Gdyby jedno mgnienie oka:
 Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę śluby!

(Surowo)

A ty — sercem oziębłem, obojętną twarzą,
 Wyrzekłaś słowo mej zguby,
 I zapaliłaś niecne ogniska,
 Które mi łańcuch wiążący nas pryska,
 Które się wiecznym piekłem między nami żarzą,
 Na moje wieczne męczarnie!
 Zabiłaś mnie, zwodnico! Nieba cię ukarzą!
 Sam ja... nie puszczę bezkarnie...
 Idę, zadrżycie odmienne!

(Dobrywa sztylet i ze wściekłą ironią)

Błyskotkę niosę dla jasnych panów!
 O! tym wina utoczę na ślubne toasty...
 Ha! wyrodku niewiasty!
 Śmiertelne ścisnę wokół szyi twojej wieńce!
 Idę, jak moją własność do piekła zagrabić,
 Idę...

(Wstrzymuje się i zamyśla)

O nie, nie... nie... Żeby ją zabić,
 Trzeba być trochę więcej, niż pierwszym z szatanów!
 Precz to żelazo! *(Chowa)* Niech ją własna pamięć goni,

(Ksiądz odchodzi).

Niech ją sumienia sztylety ranią;
 Pójdę, lecz pójdę bez broni,
 Pójdę tylko spojrzeć na nią.
 W salach, gdzie te świecące od złota pijaki

Przy godowym huczą stole,
Ja w tej rozdartej sukni, z tym liściem na czole,
Wnijdę i stanę przy stole...
Zdziwiona zgraja od stołu powstała,
Przepijają do mnie zdrowiem,
Proszą mnie siedzieć: ja stoję jak skała,
Ani słowa nie odpowiem.
Płaczą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,
Prosi mię w taniec służba godowa:
A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugim rękę,
Nie odpowiem ani słowa!
Wtem, ona z swoim anielskim urokiem:
Gościu mój, rzecze, pozwól, niech się dowiem,
Skąd przychodzisz, kto jesteś? — Ja nic nie odpowiem;
Tylko na nią cisnę okiem,
Ha, okiem! okiem jadowitej żmije:
Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;
Niech będzie ślepa, martwa jak opoka:
Na wskroś okiem przebiję!
Wgryzę się, jak piekielny dym, pod jej powieki,
I w głowie utkwię na wieki;
Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził,
I w nocy ją ze snu budził.

(Powolniej, z czułością)

A ona tak jest czuła, tak łatwo dotkliwa,
Jako na trawce wiosenne puchy,
Które lada zefiru zwiewają podmuchy,
I lada rosa obrywa.
Każde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadrasnie;
Od cienia smutku mego jej wesołość gaśnie:
Tak znaleźmy nawzajem czucia wspólnej duszy,
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.

Całą istnością połączeni ścisło,
Sporzawszy tylko na twarzy zwierciadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika
I napowrót błyszczy w oku.
Ach tak! tak ją kochałem!.. Pójdę teraz trwożyć,
I na kochanka larwę potępieńca włożyć?
Poco? czego chcę od niej? O, zazdrości podła!
I jakież są jej grzechy?
Czyli mnie słówkiem dwuznacznem podwiódła?
Czy wabiącemi łowiła uśmiechy?
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzie są jej przysięgi, jakie obietnice?
Miałemże od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję!
Pocóż ta wścickłość? jakie do niej prawa?
Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?
Gdzie wielkie cnoty? świetne czyny? sława?
Nic! nic! ach, jedną miłość mam za sobą!
Znam to; nigdym śmiałem nie zgrzeszył zapędy,
Nic prosilem, żeby była mnie wzajemna;
Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko żeby była ze mną,
Choćby, jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bra-
Bóg świadkiem, przestałbym na tem! {tem:
Gdybym mówił: widzę ją, widziałem ją wczora,
I jutro widzieć będę:
Z nią zrana, w dzień koło niej, koło niej z wieczora,
Oddam pierwszy dzień dobry, u stołu z nią siedę:
Ach, jak byłbym szczęśliwy!

(Po pauzie)

Zapędzam się marnie:
Ty pod zazdrośnych oczu, chytrych żądał strażą!
Ani obaczyć nie wolno bezkarnie!
Pożegnać, porzucić każą...
Umrzeć!... *(Z żalem)* Kamienni ludzie! wy nie wiecie,
Jak ciężka śmierć pustelnika!
Konając, patrzy na świat, sam jeden na świecie;
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka,
Żałobne grono łoża nie otoczy,
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,
Zapłakać niemasz komu!
O, gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie,
Gdybyś, na mojej pamiętkę męki,
Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żalobie,
Przypięła jedną czarną wstążkę do sukienki!...
Może spojrzysz ukradkiem... i łezka boleści...
I pomyślisz westchnąwszy: ach, on mię tak kochał!

(Z dziką ironią)

Stój, stój, żałośne piskle! precz wrzasku niewieści!
Będęż, jak dziecko szczęścia, umierając szlochął?
Wszystko mi, wszystko niebiosy wydarły.
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać,
Żebrać litości nie będę umarły!

(Z determinacją)

Rób, co chcesz: jesteś woli swojej panią,
Zapomnij!... ja zapomnę!

(Fomieszany)

Wszak już zapomniałem?

(Zamyślony)

Jej rysy... coraz ciemniej... tak już się zatarły!
Już ogarniony wieczności otchłanią,
Doczesnym pogardzam szalem...

(Pauza)

Ach, wzdycham! Czegóż wzdycham? Ha, westchnąłem
Nie! nie mogę zapomnieć o niej i umarły! {za nią...
Wszakże ją widzę, wszak tu, o tu stoi,
Płacze nademną... jaka łezka szczera!

(Z żalem)

Placz, moja luba! twój Gustaw umiera!

(Z determinacją)

No, dalej, śmiało Gustawie!

(Podnosi sztylet)

(Z żalem)

Nie bój się, luba, on się nic nie boi!
Czego żałujesz? On nic z sobą nie zabiera!
Tak! Wszystko, wszystko tobie zostawię,
Zostawię życie, i świat i rozkosze,

(Z wściekłością)

I twego!... wszystko... o nic... ani lzy nie proszę

(Do księdza, który wchodzi ze służcemi)

Słuchaj ty... jeśli kiedy obaczy...

(Z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością)

Pewna nadludzka dziewica... kobieta,
I jeśli ciebie zapyta,
Z czego umarłem? nie mów, że z rozpaczy;

Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoly,
Żem ani wspomniał nigdy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjaciółmi...
Że ta pijatyka... tańce...
Że mi się w tańcu... ot (uderza nogą) skrzyła noga...
Z tego umarłem...

(Przebija się).

STEFAN WITWICKI

(1800—1847).

CZARY.

To są czary, pewno czary,
Coś dziwnego w tem się święci,
Dobrze mówi ojciec stary:
Robię — gadam — bez pamięci!

W każdym miejscu, każdą dobą,
Idę w lasy, czyli w jary:
Zawsze widzę ją przed sobą...
To są czary, istne czary!

Czy pogoda sprawia ciszę,
Czy wiatr łamie drzew konary:
Zawsze, wszędzie głos jej słyszę!
O! to pewno, pewno czary!

W dzień się myślą przy niej stawie,
W nocy kształt jej biorą mary:
Ona przy mnie w snach, na jawie...
Jestem pewien, że to czary!

Gdy z nią śpiewam — czuję trwogę,
Gdy odejdzie — żal bez miary;
Chcę być wesół i nie mogę...
Ani wątpić, że to czary!

Na to miłe słówka rzekła,
Przywabiła mnie do domu,
By zdradziła, by urzekła..
Ułaj że tu teraz komu!..

J. B. ZALESKI

(1802—1886).

OCZAROWANY.

Trzy dni jeno żyłem och! przy niej,
Ale żyłem trzy dni te w niebie;
I przedumam wiek na pustyni,
A nie przyjdę nigdy do siebie.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Rok za rokiem lecą mi lata,
Jak niemile — nieme — gdzieś ptaki!
Kraj za krajem zbiegłem pół świata;
Ale wszędzie pusty — nijaki.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Krasawice — Boże swe kwiecie,
Ile wiosna co rok wyłoni;
Dla mnie jeden kwiatek na świecie,
Wszystkie — wszystkie insze bez woni.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Jeśli na czas oczy ułudzę,
I wyciągnę ręce ku łące;
O! nie dotknę kwiatów — bo cudze,

Jakieś mgławce, blade, kołące.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Nie zachciewam świata też wcale;
O! nie patrzę w lewo, ni w prawo;
Czajko! — tobie nudzić na skale. —
Jęcz ku wodom, mrugaj tu łzawo!
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Czasem z morza wionie do ucha,
Niby pieśń — o wojnie — o sławie;
Ale serce swoje wciąż grucha,
I za sercem swoje ja prawię:
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Trzy dni jeno żyłem och! przy niej,
Ale żyłem trzy dni te w niebie:
I przedumam wiek na pustyni,
A nie przyjdę nigdy do siebie;
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

CO JA WIDZIAŁ DZISIA!

Co ja widział — widział dzisiaj, —
I na oczy moje:
Ze skromnisiem szła skromnisia,
Pod ręce oboje.

Ciszkiem — chyłkiem — tuż — tuż — trzeci,
Chowam się za drzewa.
Wietrzyk chucha wonią z kwieci,
Aż dusza omdlewa.

Słowik — ach — ach! — wciąż zawodzi,
Ach! ach! ach! — bez liku,
Chodzą — brodzą — państwo młodzi,
Lubują w słowiku.

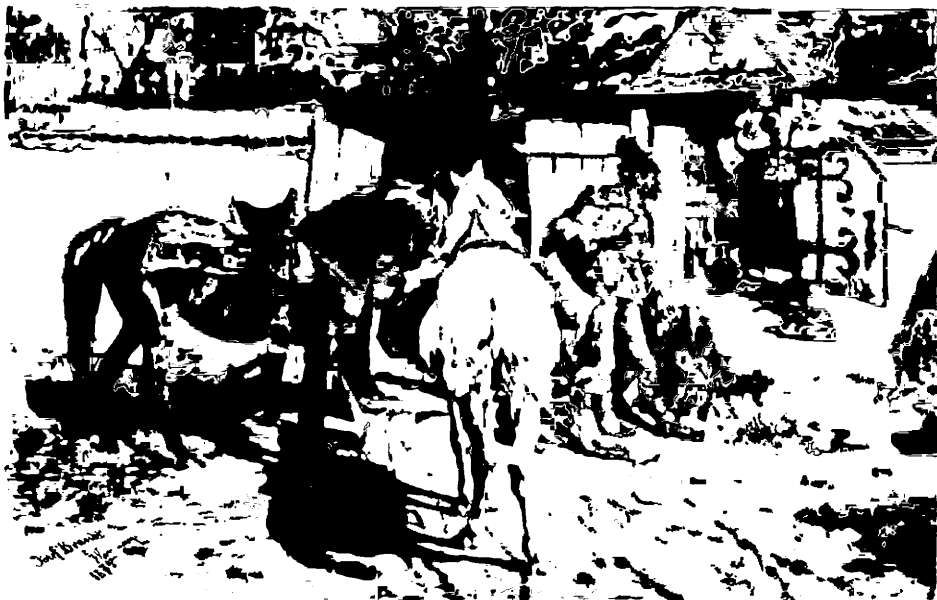
Gdzietam? gdzietam? jako starzy,
Poważni i niemi;
Coś takiego im się marzy,
Jakby nie na ziemi.

Nie statkują do serduszka,
Za ciasno snąć w łonie,
Stąd — to zowąd — koło uszka,
Szmer czasem powionie.

U skronnisi dziwny wzroczek,
Ej! srogle dumania!
Igielkami kole z oczek,
Aż skromniś się słania.

Brzękły głośniej jakieś słówka
Zakrywa się dłonią:
»Nic, nic!« — brzękła znów wymówka,
I razem się płonia.

Nic — nic — nic — nic ustka kłoni,
Skronnisia nieśmiała,
Rozgarnęła włoski w skroni,
I po - ca - ło - wa - ła.



Jeff Branson
1/11/11

JOZEF BRANDT ZALORY

O bodajże tę skromni się!
Doprawdy niepięknie!
Pocałunek ciągle śni się
I serce mi pęknie!

A. E. ODYNYEC
(1804—1885).

DZIEWCZĘ I GOŁĄB.

Ach! ty mój miły,
Ach! ty mój mały,
Ach! ty niewdzięczny
Gołąbku biały!

Gdybym tak chciała
Całować kogo,
Czyżby z rąk moich
Rwał się tak z trwogą?

I mnież to przyszło,
Żądać darcemnie,
By mnie ktoś raczył
Kochać wzajemnie?

A przecież czuję,
Choć mną tak gardzi,
Że go z dnia na dzień
Kocham tem bardziej.

Czyż i od ludzi,
Jak od gołębia,
Tak obojętność
Serc nie oziębiam?

O! o! po nici
Dochodzę kłąbka:
Toć i ja będę
Brać wzór z gołąbka.

Im który tkliwiej
Tem ja z nim hardziej:
Aż będzie musiał,
Kochać tem bardziej.

Lecz niechże zgadnie
Komu dokuczę,
Że się srogości
Z gołąbka uczę!

MAURYCY GOSŁAWSKI

(1805--1834).

DUMKA PODOLSKA.

Gdyby orłem być,
Lot sokoła mieć!
Skrzydłem orłem lub sokolem,
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć!

Droga ziemia ta,
Myśl ją moja zna!
Tam największe szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!

Tambym noc i dzień,
Jak zaklęty cień:
Krażył nad nią jak wspomnienie,
Piers orzeźwiał, czerpał tchnienie,
Z tamtych lubych tchnień!

Gdyby gwiazdką być,
I w obłokach tkwić:
Jasnym okiem w noc majową,
Nad kochanki mojej głową,
Do poranka lśnić!

Albo z po za mgły,
Zsyłać słodkie sny,
Jak w jeziora tle przejrzystem,
Odbijać się światłem czystem,
W kropelce jej łzy.

Takbym noc i dzień,
Jak zakłęty cień:
Niewidzialnem patrząc okiem,
Zachwycił się jej widokiem...
Boże! w gwiazdkę zmień!

Próżno się tych dni,
Obraz w duszy śni:
Zapłacz luba gorzkim płaczem,
Nad kochankiem i tułaczem,
Co był miłym ci!

Biedni, biedni my,
Wspomnień serce drży:
Orły lecą, gwiazdy cieka,
Nad Podolem gdzieś daleko,
A na oczach łzy.

STEFAN GARCZYŃSKI

(1806—1833).

PIERWSZE SŁOWO.

Znów weszła — nie wiem co sie w duszy mojej działo!
Uśmiech jej był tak słodki — oczy tak łaskawe,
A przecież czułem w sobie niepewność, obawę,
Gdym chciał mówić, oddechu na słowo nie stało.

Myślałem, że na świecie odznaczony mało,
Jej tylko służyć mogę za marną zabawę;
I westchnąłem ukryty przez krzykliwą wrzawę;
To westchnienie ach, było duszą moją całą.

Ktoś imię wyrzekł — i podniosłem oczy,
Jak ów we śnie chodzący wzbudzi się na imię;
Patrzę — już się kołuje tancerz o chęci.

Znów ktoś na mnie zawołał — czy na jawie drzymię.
To ona — ręką porwał — jakiś duch proroczy
Serce i myśli natchnął — i w tańczącym rymie,
»Ja cię Kocham!« — wyrzekłem.

JULIUSZ SŁOWACKI

(1809—1849).

LEDWO SŁOŃCE NA WSCHODZIE...

Ledwo słońce na wschodzie odsłoni swe lica,
Ledwo spojrzę po cichej, samotnej dolinie,
Mgła się mieni w lzy róży i na kwiaty spłynie,
Chyli się pod perłami róża krasnolica.

Zaledwo w serce moje spojrziała dziewica,
Ledwom zaczął żyć dla niej i dla niej jedynie,
Szczęście w lzy się zmieniło, mgła omamień ginie,
Błyszczą gorzkiemi łzami zalana źrenica.

Luba! szczęścia nie znajdzie, kto w twem sercu skona,
I moich cierpień nigdy wątek się nie skończy;
Bo chociaż lotnem skrzydłem czas przeminie rączy,

Choć nasze dusze przejdą do wieczności łona,
Gdy twoja tak spokojna, moja tak zwichrzona,
W niebie się nawet dusza z duszą nie połączy.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku

I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi lżę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I lżę różową leje i skrå siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem;
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którą wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i błado — lecz zawsze..

A ty wiecznie zagastaś nad biednym tułaczem:
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilknjemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótka w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdzie siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział? —
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

PRZEKLEŃSTWO.

I.

Przekłeta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi; ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność! Bądź wiecznie przekłeta!
Każdy mój jęk zna ciebie, każda lza pamięta.

II.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy,
Toś ty mi lzy w powszednim podawała chlebie,
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś — niech słyszy.

III.

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem,
Lecz wiedz, iż samotności okryty żalobą,
Oczy moje obracam za każdym szelestem,
Czekam — ale nie ciebie — tęsknię — nie za tobą.

IV.

Tej czekam omamiony, tej samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi —
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi.

V.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić,
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami Bosecy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

VI.

A ty! a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana,
O! gorzej niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złej przeszłości... Przeklęta bądź! i zapomniana!

W SZWAJCARYI

(FRAGMENT).

Gaje! doliny! łąki i strumienie!

O nie pytajcie wy mię smutne o nią.

Są łązy, co mówić na zawsze zabronią.

A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;

I widzę jasne, błękitne spojrzenie,

Co się zaczyna nade mną litować,

I widzę usta, co mię chcą całować.

I drzę — i znów mię ogarną płomienie.

I nie wiem gdzie iść? i gdzie oczy schować?

I gdzie łązy ukryć? i gdzie być samotnym?

I staję błądy i kreślę jej rysy:

Lub imię piszę na piasku wilgotnym;

Lub błądzą między róże i cyprysy,

Jak człowiek, który skarb drogi postrada,

Zmysły utracił i płacząc usiada

Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;

Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

Jest pod mojemu oknami fontanna

Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;

Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem

Żyją słowiki; jedna szyba szklana,

Gdzie co noc błąda zaziera Dyanna,

I czoło moje smutnym blaskiem mam,
I tak mię budzą zalanego łzami,
To drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blade, przez okno wyczieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
I schnę, i wędnę — i ach, nie umieram...
I, co dnia budząc mnie, fontanny płaczą.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z rozwartemi skrzydłami gołębic?
Czy wtenczas kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijala oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżycu blasku biała — lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych — różowa.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie,
Gdzie tylko poszłę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.

Więc już nie myślę teraz, tylko o tem,
 Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
 Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
 O moje serce rozdarte i krwawe;
 Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
 Idąc po fali... zaszeleści złotem,
 I załaskocze tak duszę tajemnic,
 Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

KRYSTYNA

(«KROL-DUCH», RAPSON III).

(Fragment).

Bazu jednego głos mię Sulamitki
 Zaleciał — dziwnie gorący i młody,
 Z umysłu pewnie na wiatr wypuszczony
 Przez jeden światłem gołębnik czerwony.

— »O! przyjdź! śpiewała, bo gołębi stadem
 Wysyłam na wsze wiatry ognie moje;
 O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem,
 Na łonie białem złożę i upoję...
 O przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem,
 A otwórz cicho, jak anioł podwoje,
 A od miesiąca weź kluczy złotego,
 Cicho jak ogień szep taj — bo mię strzegą.

»Gwiazdy zliczyłam idące na niebie,
 A ciebie nie ma, mój piękny i młody;
 O! przyjdź, w płomieniach cała czekam ciebie,
 Rajskieć gotuję kwiaty i jagody:

Jestem pierzchliwa, jako młode źrebię,
 Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody,
 Jak gołębica jestem nieobronna,
 A jestem, jak kwiat rajski, cała wonna.

»Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała,
 Lecz obiecuję, czego dusza pragnie;
 Przyjdź, a lichtarze złociste zapalę,
 Zakadzę drogim, wonnym cynamonem,
 A jeszcze jaśniej przez mych ust korale
 I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem.«¹⁾

.....

.....

I dalej szła pieśń taka w ogniach cała,
 Kolor jawiąca w słowach doskonale,
 Klejnoty oczu — białą perłę ciała,
 Ust uśmiechnionych najżywsze korale...

ANIELA

(»BENIOWSKI«, PIEŚŃ PIERWSZA).

(Fragment).

..... Więc na progu stała
 Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
 Dla zalotników zwyczajnych jak skała;
 Z czego kochanek wybrany korzysta.
 Albowiem nigdy nie kokietowała
 Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
 Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
 Z których by żaden nie chciał być małżonkiem.

¹⁾ Strofa niedokończona.

Lecz u Polaków tak! — Ciagną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdała przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy,
Z nimi w zielone gra; lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują — haczyk obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak — widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazya, licea;
Ta miała często rączka nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea,
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na później trofea.
Rozdarły wiele włosów, łez, podwiązek:
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłoscie, nie są w miłości nie warte;
Że lepiej serce zawrócić, niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
I stokroć bardziej ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczą kończą tak, jak Werter w Götym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacya
Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacya,
I kamień i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą — że każda z nich, jako akacya
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczoł zalotnych wieńcem,
I ma kochanka w piekle potępieńcem.

Takim sposobem, wnet jest heroina,
 I poeci ją rymami zaszczyca;
 Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
 Lecz musi nazwać posępnie dziewicą,
 A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
 W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
 I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
 Mając łzy w oczach — a w ręku pistolet.

Ale to nie był los panny Anieli.
 Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
 Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
 Została dumna i nieskazitelna.
 Chodziła jako łabędź lub anieli,
 Kołysząc się na giętkiej stopie — strzelna
 Nie była swemi źrenicami — zgoła! —
 Lecz oczy czarne jej, paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
 Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
 Ta sama głowa miała kształty święte,
 I uświęcone snycerską powagą.
 Smukłe, ku plecóm w okrągłość ściągnięte. —
 Ktokolwiek widział marmurową, naga
 Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
 Tego — co mówię tu, o formie czaszki.

Jak owe jaje, w którym kiedyś Leda
 Powiła syna Bogu łabędziowi —
 Jak? — dzisiaj się to wytłomaczyć nie da
 Przez żaden nowszy cud katolikowi;
 A gdym tłumaczył, to panna Praxeda
 Święta — Aniołek jezuicki, wdowi,
 Jak na kazaniu siedziała Sanskryckim,
 A potem dała mi w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
 Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
 Bobym te wszystkie katolickie kwasy
 Miał na łbie, wszystkie sześć — bo ta kochana
 Panna Praxeda, gdy chodzi w zapasy
 I chce traktować kogo jak szatana:
 Co ma pod ręką katolickich wieszczu,
 Rzuca na głowę i bije i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
 Dostałem złotym Ołtarzykiem — który
 Każdą klamerką mię ukłuł, jak szpilką;
 Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
 Zamyka. — Czemże jest ból? Jedną chwilką!
 Jak mówią w »Dziadach« Mickiewicza chory.
 Podziękowawszy za chwilki chwilowość,
 Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudną postawę,
 W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
 A lantique — barwy troszeczka bladawe,
 Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
 Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
 I pytające się o własne losy.
 Jej ręka piękna, małeńka i biała
 Za szorstką, silną biorąc rękę — drżała.

»Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział!
 Ale me serce jest miłośnym szpiegiem.
 Nie mów mi, że jest między nami przedział
 Fortuny. — Jestem nad przepaści brzegiem:
 Usiądź — opowiem — wszystko będziesz wiedział!
 Nie strasz się tylko trudności szeregim,
 Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce...
 Lecz ja cię kocham jedna — ja mam serce.

»Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
Majątek? ludzi sąd? — ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę — a nie twych dusz mi
Potrzeba — pójdę o żebranym chlebie.
Nic odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca — mój los już zapisany w niebie!
Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję,
Kto nas rozdzielić chce — ten mię zabije!

»Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moją rękę
Prosił. — Mój ojciec stał się dla mnie srogim,
I guwernantka, jak na moją mękę,
Za ojcem trzyma. I ludzie i Bogi
Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoją stronę.
Płakałam — patrzaj — oczy mam czerwone.

»A tu, jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bał. — Czy widzisz, jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc — lecz ja dla mojego pana
Dla ciebie tylko, dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty — po kolana.
Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja? —
Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

»Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? — O! ty, niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? — gdy mię ból niezmierny
Dręczy — kiedy mię przed ołtarze wleką,
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką:
Tyś mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już — ale mi smutno.

»Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
 Oprzcć się — zostać twoją? — ja nie płocha!
 Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
 Kiedy ją dręczą, kiedy mocno kocha —
 Zgubi się — potem u wszystkich wyjedna
 Łzy nad swem sercem zgubionem i trocha
 Kwiatów i więcej też żadnej nie trzeba...
 Cóż to? — Nie mówisz nic do mnie? — O! nieba!

»Myślałam, że ty mi dodasz nadziei«. —
 Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —
 »Myślałam, że ty w tej smutnej kolei« —
 Tu blisko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
 Wzięła ją... drżące w szkło usteczka klei,
 Ząbki o kryształ dzwonią, jak kraszanka,
 Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
 Rzekłbyś, że perła o dyjament dzwoni.

»Myślałam«. — Głos jej o jedną oktawę
 Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny. —
 Boleść złamała jej giętką postawę,
 Myślałbyś, że się chyliła do truny,
 Tak nawet małe usteczka jaskrawe
 Zbladły, uczuwszy gorzkich łez pioluny.
 Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
 Błysnął ostatni jęk — »Kochasz mnie jeszcze?»

Beniowski już był na kolanach; w dłonie
 Wziął drżącą rączkę Anieli... Tu proszę
 Włożyć mi wieniec Petrarcki na skronie;
 Bo na ten pieśń zakończę i ogłoszę
 Po dawnych wieszczów umarłych koronie
 Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
 Krytyków kupię z Grabowskim Prymasem,
 Reszta owczarzy moja.

KŁĘBAMI DYMU NIECHAJ SIĘ OTOCZĘ...

(«BENIOWSKI», PIEŚŃ IV, FRAGMENT).

Kłębami dymu niechaj się otoczę;
 Niech o młodości pomarzę półsenny.
 Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
 Widzę, jaki ma w oczach blask promienny.
 Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
 Wtórjuje mi znów, szumiąc, liść jesienny.
 Napróżno serce truciznami poim!...
 Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy,
 Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.
 O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
 I ma na piersiach rubinowe pierze.
 Jam czysty! — głos mój wśród wichru i wrzawy
 Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
 U ciebie jednej on się lez spodziewał,
 Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
 Na twoje włosy kładła jarzębina;
 Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
 Które daleka odnosi kraina;
 I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
 A więcej kocha ludzi, niż przeklina.
 I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
 Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną.

Twój czar nademną trwa. — O! ileż razy
 Na skałach i nad morzami bez końca
 W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
 A miłość twoją miałem naksztalt słońca

W pamięci mojej! — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza знаła to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwnie,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy jak dwa sny oboje — myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory.
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła,
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła.
I boleść wyszła z niej jak nawałnica;
W twoim ogrodzie pustym będzie wyla,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różycza
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje,
W te — gdzieśmy niegdyś chodzili — aleje.

Bądź zdrowa — odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę,

Wiatr mną, jak ciemnym cyprysem, kołyszę.
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone...
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne...
Twoje oczy patrzą na mnie — takie smutne! —

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy —
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdiesz, do zbielelej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły — czara wychylona
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa...
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

KONSTANTY GASZYŃSKI

(1809—1866).

TEŚKNY.

Zasiałem zbożc, zboże mi wschodzi,
Szczepilem jabłoń, owoc się rodzi;
 Każda mi praca
 Hojnic odplaca; —
A dziewczynę ukochałem,
A dziewczynie przysięgałem,
A nie jest moją Maryła,
 A nie jest moją!

Pierwej w doliny zmienią się wzgórza,
Pierwej zapachy utraci róża,
 Ptaszkwie leśni
 Zapomną pieśni,
Niż ta, którą ukochałem,
Niż ta, której przysięgałem,
Stanie się moją Maryła,
 Stanie się moją!

Niech się więc inni bawią wesoło,
Nie dla mnie skoczne tancerzy koło,
 Nie dla mnie trunek,
 Choć mi frasunek;
Bo ta, którą ukochałem,
Bo ta, której przysięgałem,
Nie będzie moją Maryła,
 Nie będzie moją!

SIELANKA MŁODOŚCI

I.

Panna była prześliczna, — z błękitnych jej oczek
Zaledwie że piętnasty uśmiechał się rozek.
Panicz, równy jej wiekiem, bywał nicustannie
W jej domu — i z rozkoszą siadywał przy Pannie.
Znosił koszyczki, kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał zwijać w kłębki włóczkę i bawełnę —
Nad rysowaniem wzorków strawił nieraz dzionek,
Grywał z nią w gotowalnię, w mrućka i w pierścionek;
Przyjaźnił się z jej bratem, grzecznie gadał z matką,
A Pannie tysiąc fraszek opowiadał gładko.

Lecz często, kiedy czulszem ośmielon wejrzeniem
Chciał wyznać, jakim dla niej rozgorzał płomieniem,
Wnet mieszał się, głos tracił i słów mu nie stało:
Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
Raz przecież postanowił, bądź co bądź wypadnie,
Oświadczenie miłości wyrazić jej ładnie,
Lecz zamiast arcydzieła, co tak długo składał,
Rumieniąc się, oświadczył... że deszcz będzie padał!

Panna miała dla niego zawsze wzroczek słodki,
Gdy on przy niej, — to ciągle piosnki i chichotki —
A kiedy przez czas jakiś nie widać Panicza,
To jej coś, jakby smutek wyglądał z oblicza;
Siała przy krosienkach, nie mówiąc i słówka,
I skarżyła się mamie, że ją boli główka!

Tak żyli blisko siebie jak na cichej łące,
SkrYTE w cieniu dwa drobne fijołki woniące —
A wokół nich krążyły w domu szeptów roje,
Że się Panicz i Panna kochali oboje!

Była to pierwsza miłość, niewinna, milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca —
Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysiąg namiętnych!
Ale gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie, jak magnes z żelazem.
Radeby tak pozostać przez miesiące — lata,
I tak patrzeć ku sobie... do skończenia świata!

O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku,
Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku,
A wrzających uczuć potok, tajonych tak długo,
Przeciekał z serec w serce niewidzialną strugą
I tworzył im ocean — po którymby chcieli
W łódce o złotych wiosłach pływać jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych ląbedzi
Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi —
I żyć zdawała od brzegów... do skończenia świata!
— Tak im błogo schodziły różane ich lata.

II.

Raz, w cieniu lip, przed dworem, w jesiennym
{poranku,

Młody Panicz i Panna rozmawiali w ganku
O pogodzie, o słońcu — a potem o zgonie
Prześlicznego jaśminu, co uschnął w wazonie. —
Potem o czemś weselszem — o zwycięskiej walce
Kota Filusia z psami — a w końcu o lalce;
Bo zapomniałem wspomnieć, że wśród pogadanki
Panna stroiła lalkę dla młodej krewnianki. —
Gotów był cały ubiór od stóp aż do głowy:
Trzewiczki — biała suknia — kapelusz różowy
I fartuszek niebieski, jak modniarki oczy —
Brakło tylko na główce pukłów i warkoczy.

Skąd wziąć ich? Łatwa rada. Z uśmiechem prostoty
Panna zdjęła z grzebienia ciemnych włosów sploty,
Westchnęła nad ofiarą — zgrzytnęły nożyczki —
I upadł lśniący kosmyk u stóp ofiarniczki.
O, jakże była piękna, gdy po szyi białej
Tych brunatnych pierścieni fale się rozlały
I, spadając na piersi kaskadą ogromną,
Stroiły w czar zalotny tę postać tak skromną!
O! była to Syrena albo Nimfa grecka,
Lecz z czystością anioła i szczerotą dziecka!

Panicz patrzył milczący, gdy drobne jej palce
Ciemne loczki nad czołem przypinały lalce.
A kiedy już warkoczyk splotła do połowy,
Znow wrócił do przerwanej przed chwilą rozmowy,
Dowodząc, że to szkoda i myśl desperacka
Dawać tak piękne włosy na dziecinne cacka;
Że lalce na nic skarb ten nie może się przydać,
Bo pod kapelusikiem warkocza nic widać!
A wzrokiem mówił czulej: »Jest ktoś przy twym boku,
Co o takiej plecionce marzy już od roku,
Coby o ten podarek na kolanach żebrał,
Coby go kosztem życia z cudzych rąk odebrał,
Jak cudowny talizman na piersiach umieścić,
Biciem serca kołysał, całunkami picścić!«

Panna patrząc z pod oka, choć pracą zajęta,
Zrozumiała zapewne nieme argumenta,
Bo jej lica rozkwitły purpurowym blaskiem. —

Wtem okno od salonu otwarło się z trzaskiem
I głos matki się ozwał: »Chodźno, moja rybko!«
Panna rzuciła wszystko i pobiegła szybko.

I sam Katon by upadł w tych pokus przepaście,
Zwłaszcza, gdyby się kochał i miał lat szesnaście!
Nasz Panicz, nowy Tantal, widząc koniec męki,

Zostawioną plecionkę do drżącej wziął ręki.
Był sam — żadne go śledcze nie trwożyło oko,
Więc do ust ją przycisnął i westchnął głęboko;
Ale gdy zaczął tonąć w morzu zadumanek,
Panna jak żyży płaszek znów wbiegła na ganek.

Ocknął się pomieszany — lecz czuł, że w tej chwili
Los przyjazny ku niemu szalę szczęścia chyli;
Zebrał całą odwagę — a miał jej nie dosyć —
I rzekł skromnie: »Ja chciałbym... Panią... o coś prosić«.
— »O cóż?« — »O podarunek«. — »Dał mi pan frasunek,
Bo trzeba jeszcze wiedzieć jaki podarunek!«
— »Zaręczam, że ta sprawa nie skoczy się sprzeczką,
Niech tylko Pani powie małeńkie słóweczko:
Daruję!« — »No, daruję!« z uśmiechem odrzekła.
On pokazał plecionkę — ona raka spiekła —
Zdziwiona, przerażona, drżąca przed nim stała,
Cofać słowa nie śmiała — a może nie chciała;
A Panicz, wyczerpnawszy cały zasób męstwa,
Zamilkł, jakby się wstydził zdradnego zwycięstwa.
Dopiero gdy ich oczy spotkały się razem
I zlepily się, zrosły jak magnes z żelazem,
Zabrzmiały w strunach serc ich zmarłe w ustach
Wyrzuty — przebaczenia — skargi i podziękii [dźwięki:
I przysięgi karmione a tajone w łonie,
Wierności aż do zgonu — wierności po zgonie!...
I znów zaczęli gadać o słońcu, pogodzie,
I o ślicznym jaśminie, co uschnął w ogrodzie —
Potem inne, weselsze toczyli rozmowy,
Lecz o lalki warkoczu nie było już mowy.

Któż był kiedy szczęśliwszym, dziwnych zdarzeń bie-
Czy Aleksander Wielki ponad Indu brzegiem? (giem:
Czy Cezar, gdy bogowie na błoniach Farsali
Z tryumfem nad Pompejem rząd świata mu dali?

Napoleon, gdy pragnąc uwiecznić swe plemię
 Ujrzał syna dziedzica w rzymskim dyjademie?
 O! nie! — radość zdobywców dumna a zwodnicza,
 Nie może się porównać z radością Panicza; —
 On marzył, że się w niebie z aniołami brata,
 Że dzierżąc promyk włosów, dzierży berło świata!

Panicz był rad i wesół i humor miał złoty,
 Cały dzień sypał żarty i broił pustoty,
 Uśmiechał się, przymilał, jakby chciał do łona
 Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona! —
 Panna uradowana miała wzroczek słodki;
 Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki —
 Aż matka powtórzyła raz, drugi i trzeci:
 »Jakże się też to dzisiaj rozigrały dzieci!»

III.

Trudno zmienić bieg rzeczy na ziemskim padole;
 Panicz, choć dziarski młodzian, był studentem w szkole
 A Panna rówieńczka, w siedemnastym roku,
 Wyrosła na kobietę tak pełną uroku,
 Że aż w najdalsze strony rozbiegły się wieści
 O tej nieodorównanej urodzie niewieściej!

Niebawem też gość obcy, nieznanym nikomu,
 Pojawił się zniemacka w rodzicielskim domu.
 Był to Pan już niemłody, lecz grzeczny, układny,
 Posiadał zacne imię i majątek ładny,
 Przywiózł list polecałny od krewnych łejmości
 I zaczął prawić Pannie tysiąc uprzejmości!

Ojciec po krótkich zwiadach wykrzyknął radośnie,
 Że z takim zięciem honor jego domu rośnie,
 Że to partya wyborna; — a matka dodała,
 Że córka przy pieniądzach będzie szczęście miała!
 Spisano kontrakt — gości zjechało się wiele —

Odbył się ślub, biesiada i huczne wesele;
Potem wsiedli do kocza — stangret trzasnął z bicia
I uniósł w kłębach kurzu złoty sen Panicza!

.....

Panicza, który zdała — wśród murów stolicy —
Nieświadomy o niczem — przy szkolnej ławicy
Czas wolny od nauki na marzeniach trwonił,
Za modremi oczkami tęskną myślą gonił.
Licząc, że za szczęście niedziel znow je odzobaczy;
— Gdy wieść ślubu nań padła jak piorun rozpaczy!

IV.

Czy Panna, kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych ślubnych szatach pod mirtowym wian-
Płakała choć chwilę za młodym kochankiem? [kiem,
Trudno wiedzieć; bo Panicz, po tych burz przebyciu,
Już jej nigdzie i nigdy nie napotkał w życiu.
Znikła, gdzieś aż w dalekie nwieziona Tatry —
Zgasta, jak droga perła w czarze Kleopatry!

.....

Lecz Panicz zaznał wówczas mąk najdroższe piekło,
I wiele łez mu gorzkich po licach pociekło, —
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczej,
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy!
Wybladł, znędzniał, jakgdyby chorobą złamany;
A po nocach układał najszalensze plany:
Rzucić szkoły, iść pieszo w nieznanym strony,
Dopóki nie odnajdzie swojej ulubionej —
Wyrwać ją z rąk tyrana z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnej puszczy,
Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem,
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!

To znów myśl mu straszniejsza do mózgu się
 [wdziera...
 — A właśnie miał pistolet i czytał Wertera! —
 Szczęściem, że i »Oltarzyk złoty« czytał co dnia,
 I czuł, że samobójstwo to hańba i zbrodnia!

.....
 Tak wiara i zajęcie około prac dziennych
 Spędzały szal wylęgły wśród nocy bezsennych —
 A czas zwolna, lecz ciągle niósł mu ukojenie,
 Zmieniając rozpacz w smutek — a smutek w wspo-
 [mnienie!

V.

W rok dopiero — choć jeszcze cierpieniem nękaną —
 Nawiedził Panicz dworu sąsiedzkiego ściany.
 A że bawiąc w gościnie, twarz posepna — grzechem,
 Musiał więc lży obsłaniać kłamanym uśmiechem,
 A słuchać opowiadań, jak córka szczęśliwa,
 Jakie zięć ma intraty za wełnę i żniwa,
 Ile w stajniach rży koni słynnych krwią i rasą,
 I jakie trzody owiec po halach się pasą!
 — Kochankowi, poecie — dawano do picia
 Kropelka po kropelce wszystką prozę życia!

Ten dom, który mu dawniej był niebem malutkiem,
 Który witał z radością, a opuszczał z smutkiem —
 Dokąd z dali myśl jego tęskliwa i cicha
 Biegła, jak złota pszczołka do lilji kielicha —
 Ten dom, z całym pamiętek przeszłości zasobem,
 O, jakże mu się wydał pustynią i grobem!

W ogrodzie, tak jak dawniej, krocie było kwiatków —
 Lecz Panicz próżno szukał dwóch modrych bławatków,
 Które tu — w błogich chwilach miłości zarannej —
 Wykwitały ku niemu z ciemnych rzędów Panny!

W klombach tysiące ptasząt kwiliło wśród drzewek,
Lecz nie było w tym chórze tego ptaszka śpiewek,
Którego on się tyle w tych miejscach nasłuchał —
Co tak słodko szczebiotał, tak ponętnie gruchał!
O! dla innych dziś oczu modrzały bławatki!
A ptaszek może zamikł wśród złoconej klatki!

W ganku, w domu, w ogrodzie — tylko się wznosiły
W cmentarzu jego szczęścia zmarłych snów mogiły!
Więc je żegnał westchnieniem i łzawą powieką...

.....
I wkrótce los go poniósł daleko... daleko!

VI.

O! stare to już dzieje!.. W dalszych, długich latach
Ów Panicz stapał częściej po cierniach niż kwiatach.
Nie jedna odtąd miłość namięta, lub czuła,
Upoiła go szczęściem — smutkami zatrula!
I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia i piekielne zdrady —
Bo na ścieżce żywota w ciągłym niepokoju
Pił do syta z cierpkiego doświadczenia zdroju!

Przecież dotąd w Panicza poranionem łonie
Niewygasły wspominek młodych uczuć płonie!
Burza światowych wichrów dotąd nie rozwiała
Tej woni — którą niegdyś duszę mu zalała
Pierwsza miłość niewinna, cicha i milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca!

Dziś samotny wędrowiec po szerokim świecie,
Gdy go boleść duchowa lub cielesna gniecie,
Szukając ulgi mękom, o! ileż to razy
Wywołuje pamięcią przeszłości obrazy —
I marzy, jak mu było hożo i radośnie

W niepowrotnej, w różanej, w złotej życia wiosnie!
Jak po szkolnych mozołach powracał z uciechą
Na wiejski odpoczynek pod rodzinną strzechą.
Jak konno pędził w pola, z fuzyjką po borach;
Jak jeździł po pokrewnych i sąsiedzkich dworach.
Jaki czuł zachwył, urok i raj nieustanny,
Gdy, rumieniąc się, patrzył w modre oczka Panny!
Gdy niczego już więcej nie pragnąc od losów,
Tulił do ust i serca plecionkę z jej włosów;
Gdy żyli blisko siebie, jak na cichej łące,
SkrYTE w cieniu dwa drobne fijołki woniące!

GUSTAW ZIELIŃSKI

(1809—1881).

NIE MOGĘ BYĆ TWOJĄ.

Jakoś się przypadkiem
Okno otworzyło;
Prócz doniczki z kwiatkiem
Nic w oknie nie było.
Ktoś tracił doniczkę,
Księżyc błysł w obłoku,
Oświecił twarzączkę,
W niej łezkę na oku.

Wtem z dalekiej strony
Ktoś pędzi na koniu,
Sadzi przez zagony
Aż tętni po błoni;u,
Stanął przy okienku,
Dał znak, skłonił głowę,
I po cichuteńku
Rozpoczął rozmowę:

»Witaj, moja miła«.
»Witaj, mój jedyny«.
»Czyś za mną tęskniła?«
»W łzach pędzę godziny«.
»Lzy, co smutek roni,
Czyż się nie ukoją?«

»Matka kochać broni,
Nie mogą być twoją«.

•O luba! któż ciebie,
Któż ciebie wzajemnie
Na ziemi, na niebie
Ukocha nademnie?
Płoną moje technienia,
Wiedną dni me błogie...«
»Dzielię twe cierpienia,
Twoją być nie mogę...«

»I za cóż, mój Boże,
Tyle cierpień znoszę?...
O luba! ja może
Ostatni raz proszę,
Bo z jutrznią różową
Daleką mam drogę...«
»Ach! nie jedź, daj słowo,
Wszak twoją być mogę!.. «

Księżyc nic dobrego,
Wyjrzał z za obłoku,
Oj! śmiał się z młodego
I z łezki na oku;
Co dostrzegł z jej lica,
Co odgadł w rozmowie,
Spytajcie księżycu,
Najlepiej wam powie.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812—1859).

WZYWAM CIĘ...

Wzywam cię w boskiej wspomnienia godzinie,
Stań tu przedemną — nim ta chwila minie —
Stań tu przedemną — lecz, jak wtedy, cała
Lekkiemi szaty błękitna i biała,
Z dumy ponurem na ustach znamieniem,
Z smutku na czole niewymownym cieniem,
Piękna w tym smutku i dumie zarazem —
Napół stworzona potęgi obrazem,
Napół nieszczęścia! O, stań tu przedemną,
W tej samej chwili, raz jeszcze bądź ze mną!
Nicch głos twój słyszę, niech ujrzę twą postać,
Choćbym miał potem w wiecznym szale zostać
I wołać wiecznie: »Gdzie ona? gdzie ona,
Ta cudna moja — ta moja stracona?!«

JEŚLI MI KIEDY...

Jeśli mi kiedy przewodniczyć miały
Na drodze ziemskiej szczęście albo chwała,
Zrzekam się szczęścia i nie chcę tej chwały,
Byś tylko dłużej piękną mi została.

Za każdy uśmiech, co na twojej twarzy
Zostawi, mdlejąc, drobny ślad radości,
Los niech mi w zamian długi smutek zdarzy,
Niech mi dnie życia wytrąci z przyszłości!

Bo życie moje przeplatałem twojem,
Jak dwie złączone, niez mieszane rzeki,
Co płyną zgodnie różnofarbnym zdrojem.
I, gdy ty zwiędnicz, ja zgasnę na wieki.

JA CIĘ NIE ŻEGNAM...

Ja cię nie żegnam. — Przcz to, co świętego
Czczę na tej ziemi, przez cześć kraju mego,
Nie żegnam ciebie — przez Boga żywego,
Nie żegnam ciebie — chyba z fali szumnej
Wyrosnie dla mnie płynne wieko trumny,
Chyba mnie porwą i pójdę, okuty,
W zamazłą wiecznych męczarni krainę
Znieść karę za to, żem jedną miał winę:
Że z czci nie byłem — jak podli — wuzuty!
Lecz się nie lękaj! Mam stróża-aniola,
Mam gwiazdę moją — miłość twą — na niebie,
I choć mnie gwałtem los dziś w drogę woła,
Ja cię nie żegnam, bo wrócę do ciebie!

Ściśnij mi rękę, jak codzieln bywało,
Gdyś mnie na krótką chwilkę porzuciła,
Wiedząc, żeś do mnie wnet powrócić miała —
Ni myśl, żem zniknął — bo ze mnie zostało
Przy tobie wszystko, co godne miłości,
Lecz co nas zspala w nieśmiertelnych dwoje —
To, co nie z prochu — ty wiesz: serce moje!

DWIE PIOSNKI.

I.

Od łez moich się zaduszę!
Ja ci dałem całą duszę,
A dziś w drogę jechać muszę!
Ja tak cię kochałem!

Ach, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Wczora jeszcze tak radośnie,
A dziś, patrzaj, tak nieznośnie!
Coraz gorzej żal mój rośnie —
Ja tak cię kochałem!

Ach, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Tam, gdzie jadę — pustki, ciemno,
Bo nie będzie cię ze mną,
Ty, aniele mój nademną!
Ja tak cię kochałem!

Ach, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Lecz, na Boga, ja powrócę,
Dni żałoby wolą skrócę
I pieśń szczęścia znów zanucę
Nowym natchnień szalem:

Ni rozdział śmiercią — ni śmierć jest rozdziałem!

II.

Rankiem, wieczorem na wyspy bezdroże
Patrzę samotna w skały — w niebo — w morze
I codzień mówię: »On dziś wróci może!«

Taki mój los!

Dni kilka tylko, lecz już cierpiu wieki,
Odkąd tak czuвам z płaczem u powieki,
A on co chwila bardziej mi daleki.
Tak mnie przebił cios!

Czyż ptak się jaki nie wróci z oddali
Lub żagiel jaki nie błysnie na fali,
O nim doniesie i mnie się użali?
Już czuję zgon!

Kiedyż on wróci? Czyż jeszcze dni wiele
Tak patrzeć będę na smutne topiele?
O szepnij — szepnij mi, stróżu-anielle:
»Wkrótce wróci on!«

ZAWSZE I WSZĘDZIE.

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie!

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia przepsułem,
Bo własną dolę sam także zatrąłem
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,
Bo byłem sobie nieszczęsny i tobie
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Żem żył na świecie dzikim serca szalem,
Bo z serca ciebie, choć gorzko, kochałem
Zawsze i wszędzie!

J. I. KRASZEWSKI
(1812—1887).

CZY POWRÓCI?

Matuleńku, on nie wróci,
On pojechał w obcą stronę,
On zapomni i porzuci,
Biedne dziewczę opuszczone!

Patrzę co wieczór na drogę,
Patrzę na drogę co ranka,
Czemu zapomnieć nie mogę,
Albo zobaczyć kochanka?!

Rano jemu zbieram kwiatki
Wieczór czekam na jagody,
I stoję na progu chatki,
Zawsze sama, tak jak wprzódy!

W nocy ledwie pies zaszczeka,
Zrywam się, szukam oczyma,
A serce bije i czeka,
A jego niema i niema!

Może jutro... Jutro wschodzi,
Ja biegnę znowu na drogę
I jutro całe przechodzi,
Doczekać się go nie mogę!

O święty stróżu aniele!
Doprowadź go przez bezdroże,
A ja ci w naszym kościele,
Wianek i świecę położę.

EDMUND WASILEWSKI

(1814—1846).

DO II...

»Bądź zdrów« — powiedz choć raz jeszcze,
Ja tobie powiem: »Bądź zdrowa!«
Już godziny brzmią złowieszcze,
»Bądź zdrów« — powiedz choć raz jeszcze!

Błóń życia smutna, jałowa,
Gdy oka w tobie nie pieszczę,
Bez »witam cię« i »Bądź zdrowa!«
Błóń życia smutna, jałowa.

Próżno, — piosnka ulatuje,
Jak jaśminu woń namiętna;
Samo tylko serce czuje,
Piosnka z wiatrem ulatuje.

Dusza moja więdnie smętna,
Skarży się, lecz nie żałuje;
Bo ta chwilka tak ponętna,
Choć w niej dusza więdnie smętna.

A co przyszłość mi wywróży?
Może zimną pościel w grobie?
Może... wszakże w każdej burzy
Człowiek o pogodzie wróży.

»Bądź zdrowa« — dziękuję tobie
Za pączek zatrutej róży;
Czy w radości, czy w żałobie,
Za wszystko dziękuję tobie.

ROZPACZ.

Dla mnie już wszystko umarło!...
I serce uczuć palących orkanem
Już się spaliło i starło!...
Myśl śmierci, jak ćma, usiadła
Na sercu boleścią starganem;
O! tam już gangrena się wkradła!...

Ja chciałem być kochankiem,
Kochałem bez granic!...
Pierś ognistym miłości opasałem wiankiem
I byłbym oddał wszystko... za jedno nic.
 To nic — dla mnie światem było!
 Było Bogiem!... a przecież to nic mię zabiło,
To nic — była kobieta z sercem lodowatym!...

Chciałem być przyjacielem tej kobiety, bratem;
Byłbym za jedno spojrzenie siostry
Oddał duszę — krew i ciało!
 Przecież jej było i tego — zamało.
 A więc dodam — sztylet ostry,
Tak ostry, zimny, jak dla mnie jej dłońce,
Zimny i obojętny, jak ma twarz po zgonie!

Krwią moją zbryzgam jej stopy!
Umrę rozkosznie, anielsko!...

Będzie pod stopą krew mą całe życie czuła,
Jakby jadowite zielsko!...
Tę krew, którą zatrula!...

Krew moja — zagra jej piosenką...
Śmierć moja błysnie jej szczęścia jutrenką!
Nie będę jej już nudził... i wiedzieć nie będzie.
Kiedy się zerwie nitka, którą piekło przędzie.

HENRYK JABŁOŃSKI
(1818 – 1869).

DUMKA.

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie
Matka i rodzina.

Matka tęskno patrzy w pole
Lzawcami oczyma:
Pusta droga na Podole...
Ani wieści niéma!

Ach! upłynie wody wiele,
Miną lata, latka,
Zazieleni drogę ziele:
Nim go ujrzy matka.

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie
Matka i rodzina.

Miła tęskno patrzy w pole
Czarnemi oczyma:
Pusta droga na Podole,
Ani wieści niéma.

GABRYELA (ŻMICHOWSKA)

(1819—1876).

IMPROWIZACYA.

Biedne było serce moje,
Gdy bez echa, w pierś samotną,
Uderzało przepelnione
Niepojętych pragnień krwią.

Wtedy wszędzie na tym świecie,
Na tym świecie tak szalonym,
Tak djabelsko wyzłoconym,
Że bierz tylko garścią pełną
Wody, ognia, krwi czy błota,
To się zawsze dojmiesz złota;
Na tym naszym pięknym świecie,
Tym jedynym, ukochanym,
Szachrującym, oszukanym,
Rozśmieszonym, rozplakanym,
Całującym, wojującym,
Hulającym, stękającym...
No, czyż wiarę dać możecie:
Jam się nudził na tym świecie.

Z moich książek i kajetów,
Z wonnych kwiatów świeżych łąk,
Z łysin moich profesorów,
Z srebrnych chmur na błękiecie,

Ach! upłynie wody wiele,
Minie czasu siła:
Zazieleni drogę ziele,
Nim go ujrzy miła.

Czarnobrewko, żal urody!
Taka woła boża:
Nie on jeden w świecie młody;
Tyś jak wiosna hoża.

Czarne oczy, kraśne lica,
Zakną nic jednego.
Tobie szczęście, — a tęsknica
Dla niego, dla niego!

W głos serdeczna dumka płynię,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Próżno czeka stara matka,
Próżno czeka miła:
W obcej ziemi miną latka,
Uściska mogiła!

Nawet z szklanki i z talerza,
Nawet z grzywy klaczki mej —
Wszędzie, wszędzie przed mem okiem
Wychylała się straszliwa,
Żółta, blada, obrzydliwa,
Ziewająca, głupia, stara
Ta choroba — ta poczwara,
Co się... co się nudą zwie!...

I nie chciało mi się jeść,
I nie chciało na koń sieść,
I nie chciało z śmiesznych śmiać,
I nie chciało mi się pić,
I nie chciało mi się żyć:
Tylko mi się chciało spać.

O spać, spać, spać bez ustanku,
Od wieczora do poranku,
Od poranku aż do nocy,
Gdyby w ludzkiej było mocy,
Ja na całe lata, wieki,
Byłbym zamknąć chciał powieki —
Bo gdym zamknął — ach! to cuda,
Czyż wyśpiewać mi się uda,
Com ja widział, roił, śnił,
Kim ja byłem, gdzie ja był?

Ach, to cuda! — Lecz na jawie,
Choć to wszystko trwało prawie,
Chociaż czułem, że mi płoną
Lice, usta, piersi, łono
Od całunków, od pieszczoty —
Choć jedwabnych włosów sploty,
I dłoń miękką, ciepłą, małą,

Pod którą mi serce drżało,
Ja tak czułem jak w dotknięciu,
Ja tak miałem jak w ujęciu...
Przecież... przecież... O przekleństwo!
O szyderstwo! o męczeństwo!
Taką rozkosz, szczęście śnić —
A być głupim — dzieckiem być!...

Toć ja nawet nie umiałem
Nazwać tego, a szalałem;
Lzy po twarzy nieraz ciekły,
Nieraz palce gryzłem wściekły,
O mur głowę rozbijałem,
Albo ręce wyciągałem,
By ta postać niedojrzana,
Niepojęta, nie nazwana,
Ach! ta postać by wcielona
Sama zbiegła w me ramiona —
By pierzchliwych marzeń rój
Padł nakoniec, widny, żywy,
Sksztaltowany i prawdziwy —
W namiętny uścisk mój!

Teraz, dosyć już przeżyłem
W niepokoju długich nocy —
I w tęsknocie długich dni —
Teraz ja wiem, jak się zowie
Kaźde serca uderzenie,
Kaźda moja gorzka łza. —
Teraz ja wiem, jak się zowią
Senne marzeń mych widziadła,
I czczość młodych moich lat —
Czem są dłonie wyciągnięte,
Czem westchnienia pierś wznoszące,

Czem są usta pałające,
Czem są tętna krwią bijące
I czem życia cudna pieśń...

O, ja wiem, ja znam, ja śpiewam,
Ja dziś wołam i nazywan —
Kobietą! kobietą! kobietą!
Pójdź kobieto piękna, moja,
Wymarzona, wyczekana,
Wypragniona, wywołana,
Do mnie! do mnie pójdź!

O, ja kocham cię, kobieto!
Kocham ciemne twoje oczy,
Kocham połysk twych warkoczy,
Kocham wzniosłe czoło twe!
Kocham ślad twej drobnej stopy,
Kocham głosu twego dźwięki,
Kocham białość twojej ręki,
Kocham tchnienie twoich ust.
Kocham jedwab twojej szaty,
Kocham spinkę, która świeci,
U przepaski twej kibici.

Kocham perły z szyi twej,
Blask diamentów na twej skroni,
Wachlarz, co nim dłoń twa chwieje,
Gazę, coć on z piersi zwieje,
Twey postaci kocham cień.

Piękna moja! luba moja!
Do mnie, do mnie pójdź, kobieto:
Ja kochankiem, ja poetą,
Do mnie! do mnie! do mnie pójdź!

Daj mi rękę, luba moja!
Przez świat idźmy! niech się dziwi,

Jak my młodzi i szczęśliwi,
Jaką piękną ty!
Przez świat idźmy! niech zazdrości
Mnie twych pieszczot, twej miłości,
Tobie pieśni mej.
Ale strzeż się — oh, przez Boga!
Niech ja ciebie, moja droga,
Nie zazdroścę mu!
Bo gdy wspomnę, że spojrzenie,
Że twój uśmiech, że westchnienie
Wziąłby mi kto mógł
To mi tak coś w oczach błyska,
To mi tak coś ręka ściska,
Jak ogień — jak miecz. —
Zaraz czuję, że twarz błąda;
Zaraz widzę, że trup pada,
A choć nie wiem, czyj,
Mnie tak zimno wkoło serca,
Jakby trup ów lub morderca,
Moje piersi miał.
Mnie tak straszno, mnie tak ciemno,
Jakbyś ty nie była ze mną,
A był przy mnie grób.

O, ja nie chcę takich myśli,
O, ja nie chcę cierpień takich,
Zawrót głowy mam.
Precz, precz z niemi do szatana,
Ty mię kochasz, tyś kochana;
Z drogi, z drogi nam!

Jesteś moją — jam szczęśliwy —
Hej muzyka! tańce! śpiewy!
Hej kielichy i pułhary!

Szampan, Porto, węgryz stary,
Niech zaszumią, niech popłyną!
Pijmy rozkosz — pijmy wino —
Bo czas biegnie, a śmierć goni,
A czy będzie tam co po niej —
O to starych mnichów pytać!
Nam dziś tylko życie chwycić;
Nam dziś szaleć i ucztować;
Nam dziś pieścić i całować —
A kto chwilkę choć zmarnuje,
Wszystkich sił nie wycaluje,
Wszystkich beczek nie wytoczy,
Kto na wieki zamknie oczy,
Kiedy jeszcze mu zostanie
Niedopita kropla w dzbanie,
Albo z jego własnej winy,
Jeden uścisk u dziewczyny,
Jedna w sercu jeszcze chęć...
Temu hańba! tego właśnie
Niechaj jasny piorun trzaśnie,
Niechaj porwie dyabłów pięć!!!

ZAKLĘCIE.

Idę lądem, płynę wodą,
A czy słońce lśni pogoda,
Czy pioruny z błyskawicą,
Czy na niebie gwiazdy świecą,
Czy mnie noc, czy dzień otoczy,
Czy mi jasno, czy mi ciemno,
Zawsze przy mnie, lub przedemną,
Takie wielkie czarne oczy!
Ach! to jej oczy!

Piję miód i piołun piję,
Zbieram ciernie i lilije,
Sok wyciskam, lecz w napoju
Niema zdrowia, ni spokoju,
Choć dokoła przestrzen pusta,
Choć relikwię pocałuję,
Zawsze na mych ustach czuję,
Koralowe drogie usta,
Ach! to jej usta!

Istna ona czarownica,
Świat zaklęła w swoje lica,
W swoje usta, w swoje oczy,
Już i pacierz nie odroczy;
Wszystko zmienia się w jej postać,
Kędy spojrzę, wszędzie ona,
Człowiek od tych czarów skona,
Lub sprawczynię musi dostać —
Ach! gdyby dostać!

RYSZARD WINCENY BERWIŃSKI

(1819—1879).

OSTATNI ROMEO.

— »Żegnam cię, żegnam! — Dzień biały tak blisko —
Bywaj mi zdrowa snów moich hurysko —

 Chwilę rozstania chciej skrócić! —
Serce skrwawione i duszę rozdarta,
I pamięć biorę nigdy niezalarta,
 Lecz ciebie muszę porzucić«.

— »O nie — mój drogi ja cię kocham tyle
Przez miłość moją jedną jeszcze chwilę,
 Nim się w świat rzucisz daleki!«

— »Widzisz już słońce na wschodzie zabrzało,
Słyszysz — skowronek zadzwonił dnia hasło —
 Bywaj mi zdrowa na wieki!«

— »O nie mój drogi! — to nie był blask słońca,
To księżyc — wierny kochanków obrońca
 Pod nasze ściele się nogi;
To nie skowronek - to miłości płaszę,
To słowik szczęście ośpiewuje nasze —
 Zostań - o zostań, mój drogi!«

— »Nie łudź mnie nie łudź! — Ja znam tę piosenkę —
Ach! ona wita wolności jutrzeńkę —
 Noc płonnych marzeń zagaśa.

Ludzkość się budzi! — Słyszysz ten gwar dziki?
 Patrz — księżyc pobladał — umilkły słowiki —
 Trąba†.... zawrzała!

Prędzej, — o prędzej kończ twoje pieszczoty!
 Śmierć na mnie czeka — koń żarzał przed wroty —
 Z łez smutne otrzyj powieki!
 Bo biada temu — kogo zmartwychwstanie
 U nóg płonącej niewiasty zostanie —
 Bywaj mi zdrowa na wieki!

JAWNO-GRZESZNICA.

*Le veggio in fronte amor come in suo seggio
 Sul crin, negli occhi, — su le labbra amore
 Sol d'intorno al suo cuore amor non veggio.*

Pięknaś, jak anioł! zdumiony świat woła —
 Piękniejszaś, wołam, nawet od anioła —
 Nie anioł wdzięków — lecz sam Bóg miłości
 W tobie, o piękna, między nami gości! —

Oko twe — miłość w twem się oku żarzy —
 Miłość na czole zadumaniem marzy —
 Miłość ust twoich bawi się uśmiechem,
 Miłość muzyką gra w twojej rozmowie,
 Miłość w milczeniu — miłość w każdym słowie —
 A ty powiadasz, że miłość jest grzechem?

Jeśli to prawda — o jawno-grzesznico,
 Płacz z Magdaleną — i w świętej pokorze
 Dni twoje czarną okryj włosienicą,
 Nocami twarde zalegaj rogoże —

W szczerzej pokucie i w głębokiej skrusze
Ratuj, o ratuj grzeszną twoją duszę!

Ach! bo ty grzeszysz każdym twojem tchnieniem
I każdym słowem i każdym spojrzeniem
Grzeszysz urokiem ocz twoych tajemniczym,
I włosiem kruczym i śnieżnym obliczem
Grzeszysz łzą smutku, grzeszysz ust uśmiechem,
Jeśli to prawda, że miłość jest grzechem!

Jeśli to prawda — o piękna grzesznico,
Przestań być piękną — lub się zrzeknij świata —
Bogu się poświęć — zostań zakonnica —
Siostró w Chrystusie! znajdziesz we mnie brata; —
A niegodnego rozwiązać rzemyka
U stop twoich — weź mnie — weź za spowiednika!

SEWERYN FILLEBORN

(1814—1850).

POGOŃ.

Przez pola i bory wieczorną ciemnicą,
Biegł rycerz na koniu z porwaną dziewczicą.

Wiatr, niby bolejąc po znikłej już wiosnie,
Po krzewach samotnych rozmawiał żałośnie,

A księżyc poważny, milczący, ponury,
Jak widmo grobowe wyzierał z za chmury:

— O spiesz się, mój koniu! Wiatr burzę nam niesie.
Czy słyszysz, jak dziko szaleje po lesie?

Ty, luba, rzuć trwogę, co piersi uciska,
Twój zamek daleko, zagroda już bliska.

A chociaż uboga, zapomnisz wszystkiego,
I zamku i złota i ojca srogiego:

Małego mam brata, rozkoszne pacholę,
Dwie siostry wyrosłe, jak w sadzie topole.

Najstarsza Adela, prześliczna dziewczyna,
I matka staruszka do bajek jedyna:

Zna powieść o płaszczu, był blado-zielony,
Nieboszczyk go nosił, to dziwak szalony,

Miał oczy puszczyka, jak gada żrenica,
Dwa sążnie długości, trupiego był lica.

Zabawny ten człowiek w rozpacz lub gniewie,
Gdy spojrział na płomień, wnet stygło zarzewie.

— »O przestań - mnie trwoga przeraża tajemna,
To światło cmętarnie, noc głucha i ciemna.

Czy widzisz w sitowiu, jak skacze coś w bieli?«
— To księżyc po wodnej pomyka topieli:

Ja nieraz po smutnem rozstaniu się z tobą,
Gdym *późną do domu przemykał się doba*,

Widziałem, jak we mgle cichego wieczora,
Dziwaczne postacie, i duchy jeziora

Mieszając z wiatrami powiewne zasłony,
Wodziły północą swój taniec szalony;

A *trwogim* nie poczuł, pierś krzyżem oznaczył,
Tłum znikał, i w dali kłótliwie majaczył:

Lecz *tobie*, skąd, *luba*, strach dziwny się roi?...
— »O! ciszej! patrz, jeździec wysoki tam stoi,

I płaszczem zielonym dokoła okryty,
Przystanął za lasem, spogląda, jak wryty«.

O nie wierz, najmiłsza, olbrzymia to jodła
Szeroko rozdarte konary rozwiodła;

Rzuć trwogę daremną, czyz marne straszyciła,
Czy dzielny bułany nie czuje wędziła,

Czy trupie spojrzenia mdlawego księżycyca,
Czy nocna wycieczka zgasiła róż lica?

Co patrzysz za siebie? co szukasz po błoni?
— »Ach ratuj! uciekaj, to ojciec nas goni.

Broń w ręku, kurzawy okryty obłokiem,
Szalony, zaciekły, skry błysły mu okiem«.

— Nie lękaj się, luba, nas zbroja ochroni,
Czy słyszysz, jak strzelił? jak pancierz mój dzwoni?

.

Drży ręka zabójcy, nawodzi — wymierza,
Mgły dymu wypadły i piorun uderza.

Wtem lekki wiatr wionie i tuman rozniesie,
I rycerz i rumak pomyka po lesie.

Wył stary z rozpaczy, krwią usta się zlały,
I w piersi mu drżało, i zęby zgrzytały.

Okropne spojrzenie zatopił w rycerza,
I znowu broń nabił, i znowu wymierza.

Wymierzył — grom wybiegł! nieszczęsna pobladła
I rumak i zbroja w kurzawie przepadła.

Wtem lekki wiatr wionie i tuman rozniesie,
I rumak bez jeźdźca pomyka po lesie.

ANTONI SOWA (EDWARD ŻELIGOWSKI)

(1820 – 1864).

EPITALAMIUM.

COŚ i KTOŚ.

Ach, ona taka piękna i młoda,
I jeszcze więcej, jeszcze więcej coś –
Wychodzi za mąż ah, jaka to szkoda,
Że jeszcze, jeszcze na świecie jest ktoś,

Komu panuje jej wdzięk i uroda
I jeszcze więcej, jeszcze więcej coś
Ona mu obcą, ah jaka to szkoda,
Że jeszcze, jeszcze na świecie jest ktoś,

Co słowa swego zniewadze nie poda
I zamknie w piersi jeszcze więcej coś –
Niech idzie szczęsna, lecz jaka to szkoda,
Że na tym świecie jest jeszcze ten ktoś!

ACH, POZWÓL...

Ach, pozwól, niech raz jeszcze w objęcia twe padnę,
Niech nektarem ust twoich jeszcze się upiję,
Niechaj bólowi, łzom moim choć chwilę ukradnę,
I niechaj w jednej chwili tysiąc lat przeżyję!

Niech muzyką twych westchnień i twych pocałunków
Nakarmię serce moje — o! serce zbyt głodne
I daj mi do zatrutych, gorzkich życia trunków,
Choć chwilę zapomnienia - szczęście bogów godne.

O, całuj mię, ach, całuj — opasz mnie dokoła,
I wypij czucie z serca, wypij myśli z czoła;
Wtenczas będę szczęśliwy i posłuszny tobie,
I spocznę na twej piersi spokojny, jak w grobie.

KAROL BRZozowski

(1821—1904).

PRZEKLEŃSTWO.

Dopóki serce pamięta
Twoich ust zdrajcę korale,
Czarne ogniście oczęta,
W łez jaśniejące kryształe,
 Bądź mi przekłęta, przekłęta!

Przekłęta chwila zachwytu,
Gdym zrosił łzami powieki;
Gdy jako gwiazdy błękitu,
Megom skry rozsiał ci bytu
 I tyś przekłęta na wieki!

I to przekłęte zacisze,
Gdziem w szczęścia utonął niebie,
Kędy się listek kołysze
I jako technieniem twem dysze,
 I ciebie, przeklinam ciebie!

I pierwszy uścisk twej ręki,
I pierwsze tve za mną westchnienie,
I twoich ustek płomienie,
Źródło rozkoszy i męki
 I tve przeklinam istnienie!

Przeklinam cię i odpycham.
A żal się tłoczy do łona,
Znowu za tobą usycham,
Szukam cię wkoło i wzdycham:
 Błogosławiona!

WZIĘŁAŚ MI ROZUM.

Wzięłaś mi rozum: – lepiej,
Boska rozbójnico!
Blaski jego, że przepaść
Bez dna, – nie oświeca.
Wzięłaś mi duszę: – chciała
Być twą niewolnicą;
Niechże wie, że jej łańcuch
Nigdy nie rozprysnie!
Lecz sen, sen mi mój oddaj!
Gdy mnie boleść ciśnie,
Zasnę – i że mnie kochasz,
Może sobie przyśnić.

WACŁAW SZYMANOWSKI

(1821—1886).

ROMEO

I.

Jestem z krainy łez i boleści,
Wzrosłem w cierpieniu i trudzie;
Słuchajcie mojej smutnej powieści,
Słuchajcie i drżycie ludzie.

II.

Rozanielona myśl ma, od młodu
Szlakami dążąc jasnemi,
U wrót rajskiego sniła ogrodu,
Śniła o niebie na ziemi.

Byłem namiętny, i byłem młody,
I świat ten dla mnie był rajem,
Kochałem Julię cudnej urody,
Ona kochała mnie wzajem.

Kochałem Julię... była mi ona
— Ta Julia, którą kochałem —
Przeczuła sercem, duszą wysniona,
Promienna duchem i ciałem.

III.

Mijają szybko krótkie miesiące,
Mijają szybko dni krótsze;
Dziewczę przysięga na lat tysiące,
A zapomina o jutrze.

Kiedy ja kocham, kiedy ja marzę,
Przyjaciół rani mię słowy,
Że do mej Julii chodzi w zamiarze
Mażeńskim agent giełdowy.

Ludzie, nie wiercie w czystość anielską,
Nie wiercie w jasność duchową!
Agent giełdowy zadzwonił kieską
I Julia złamała słowo.

IV.

Miałem-że dalej rozpacz daremną
W ziemskich odnawiać zapalach?
O, nie!... rewolwer leżał przedemną,
Rewolwer o szczęściu strzałach.

To anioł śmierci już na mnie woła!
Witaj mi śmierci aniele!...
Więc przyłożyłem lufę do czoła —
Minuta jeszcze i strzelę. .

V.

I w tej minucie duch mój przelotem
Życia nurtował głębinę,
I zadumałem się bardzo o tem,
Co ze mną będzie, jak zginę.

Choć serce krwawi, u dzielnych męży
Powraca spokój sercowy;
Lecz kulą głowę kto nadweręży,
Ten nie nadłata już głowy!

Więc pogardziłem śmierci widziadłem,
A męstwa ducha by dowieść,
U Barabasha kolację zjadłem...
I tak się kończy ta powieść.

TEOFIL LENARTOWICZ

(1822—1893).

ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

— Powiedz, słowiku, powiedz, mój mały,
Błagam na wszystko w świecie!
O czem ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku, w lecie?

Czy opowiadasz swoje przygody,
W miłym, rozgłośnym śpiewie,
Jakieś przeleciał wonne ogrody,
Na jakim spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone,
Gdy skwarne słońce pali?
Jak rankiem strząsasz piórka zroszone,
W cichej powietrza fali?

Czy o gwiazdeczce maleńkiej, drżącej,
Na lazurowym niebie?
Czy o tej wodzie zwolna ciekącej?
Powiedz mi, proszę ciebie!

— O! ja ci powiem, śliczna pastuszko:
Śpiewam piosenkę twoją,
Kiedy ci za czemś tęskni serduszko,
I oczy we łzach stoją.

Kiedy zanika twój uśmiech słodki,
I patrzysz smętna, blada;
A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
Kwiatek po kwiatku spada.

ZROZPACZONA.

Chodzi dziewczę po ogródku,
Wydeptaną drogą;
Lecz w ogródku pełno smutku,
Bo niema nikogo.

Bez turecki pachnie miło.
Słowik śpiewa w gaju,
Tylko krzyżyk nad mogiłą,
Czerni się na skraju.

Czemuż świecisz, słońko Boże,
Czemu pachniesz, krzaku,
Czemu śpiewasz piosnki hoże,
Uprzykrzony ptaku?

Spojrzę w jedną, w drugą stronę,
Serce się rozszłocha,
Grządki moje spustoszone,
A serce wciąż kocha

Wczora tańczyć mi kazali.
A ja myślę sobie:
Ja tańczę w pięknej sali,
A wietrzyk na grobie.



WITOLD PIŁSZKOWSKI SIELANKA

Do północy skoczne tany,
Skróń w różanym wianku;
Do północy gwar pijany,
A płacz do poranku.

Nauczała matka stara,
Że należy wierzyć;
Dobra wiara, słodka wiara,
Ale lepiej nie żyć.

Żal poniosę do mogiły,
Serca anioł strzeże,
Na cierpienie dość mam siły,
A w szczęście nie wierzę...

Opuszczone moje krosna,
I życie się dłuży,
Nowe róże wzbudza wiosna,
Ja nie kończę róży...

Złote nici poplątane
W połowie roboty,
Gdzież słońeczko me wiosniane,
Gdzie mój promień złoty?

Próżno czeka smutna dusza
Na miłego przyjście:
Po drożynach wietrzyk wzrusza,
Przeszłoroczne liście,

I u fali cichej rzeki
Jak pierwiej nie spocznę...
Odpłynęły w świat daleki
Fale przeszłoroczne...

Z jego okna wiatr odmiata,
Żalobną zasłonę:
Biedne serce wciąż kołata,
Co spojrzę w tę stronę.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

(1822—1862).

KORALE

(DUMKA KOZACKA).

Gdyni z Kozaki szedł na boje,
Moja Hanna rzecze:
»Niesiesz, luby, życie swoje
Pod tatarskie miecze!
Lecz modlitwa, płacz dziewczyny
W boju cię ocali;
Ty mi za to, mój jedyny,
Przywieź sznur korali«.

Bóg kozaczej szczęścił braci:
W jednej boju chwili
Cnan tatarski wojsko traci,
A my gród zdobyli.
Gdy wyparto krzepkie wrota,
Gdy się miasto pali,
Inszy srebra, inszy złota,
Jam szukał korali.

Wśród rabunku los mi służy,
Pan Bóg zdobycz poda:
Sznur korali krasny, duży,
Jakby wiśnia młoda!

Pochwyciwszy zdobycz drogą,
Już nie czekam dalej,
Spieszę stanąć przed niebogą,
Dać jej sznur koralu.

Pędzę stepem, pędzę blonią, —
Oj, daremna praca!
W naszej wiosce dzwony dzwonią,
Lud z mogilek wraca.
Dobrzy ludzie spieszą ku mnie
I wołają z dali:
— »Twoja Hanna leży w trumnie,
Nie trzeba koralu!»

Zapłakałem, zajęknąłem
I roztrącam rzesze,
I przed cerkwią padam czołem,
I przed obrazem spieszę.
Do najświętszych stóp Maryi
Niosę smutne żale,
I zawieszam u Jej szyi
Czerwone koralu!

KORNEL UJEJSKI

(1823–1897).

ZAKOCHANA.

Jego dotąd niema,
A duszyczka roi.
Ciągłe przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencję
Dwa dni poszczę święcie —
A nuż nie przyjedzie?...
Przyjedzie! Przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
A dziś już sobota —
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczi płotek —
Pewnie nie przyjedzie...
Przyjedzie! przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty!
Ach! piękny, ach! duszka,
Ach! srebrny, ach! złoty —
Tańczył tylko ze mną
I raz klął przedemną...

Nuż bałamut skręci?...
Nie skręci! nie skręci!

A potem tak grzecznie
 Podchlebiał matusi;
Ach! kocham, ach! wiecznie,
 Ach! moim być musi
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce
 A nuż panicz skrewi?...
 Nie skrewił nie skrewił!

Nudno czekać — a więc za to,
 Gdy przyjedzie, to ukarzę;
Niech poczeka! — przed herbatą
 Pewnie mu się nie pokażę.

Lecz on jakiś taki żywy,
 W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
 No, to zresztą wyjdę już.
Ale zato będę nosić
 Ciagle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
 Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
 Że szaleje mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie —
 No, to zresztą różę dam.
Ale za to pod krosienkę
 Nie zapomnę rączki schować —
I to srogo a więc w rękę
 Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niema,
A duszyczka roi,
Ciągłe przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!
Kasztanek na przedzie!..
E! to proboszcz jedzie.

LAZARA.

Sułtanko moja! gwiazdo harem!
Peri! podobna kwiatu złotemu,
Co w siódmym raju zakwita —
Jakażto chmura przeszła nad tobą,
Że blask ócz twoich zaćmiła żalobą?
Korny niewolnik twój pyta.

Gniew twój bolesny jak gniew Allaha,
Jak sznur jedwabny z rąk Padiszaha
Gdy niemy Tatar przyniesie;
I dusza moja pod twoim gniewem,
Jak za samumu struna powiewem
Rozstraja, zsycha i rwie się.

Dźwięk twego głosu! śpiew Izrafila,
Twój uśmiech welum raju odchyła,
Twe serce okryte lodem;
Będę z ust twoich i z twego czoła
Jak z Trebizondy ogrodu pszczoła
Truciznę wysysać z miodem?

Nie jeden okręt w pięknej Basorze
Dla ciebie fale błękitne porze,
Szukając pereł u brzegów;
Bogatem futrem zgięte wielbłądy
Gdzieś przebiegają dla ciebie łądy,
I białe puszcze ze śniegów.

Dla ciebie wszystkie szale w bazarze;
Dla ciebie greckich wysep korsarze
Rabują Franków towary;
Z pieczar indyjskich olbrzymie słonie
Niosą klejnoty, by ciemne skronie
Oświecić mojej Lazary.

Dla ciebie stroją słupy z porfiru
Kobierce Jezdu i Kaszemiru
Jak wewnątrz świątyni Kaaby;
Dla ciebie płacą haracz z kadzideł,
Ten potępiony lud bez wędzideł –
Syny Eblisa — Arabcy.

Dla ciebie biją srebrne fontanny
Chłodem i wonią; twej łaźni wanny
Kute z greckiego marmuru,
Bielsze są nawet niżli twe ciało,
I jako po nim krążą nieśmiało
Przejrzyste żyłki lazuru.

O zważ, Sultanko! gdy Klefity żoną
W burzliwych nocach nogą skrwawioną
Po górach za nim biegałaś —
To on dla ciebie nie miał ni domu,
Nic, prócz swej strzelby! z nim pośród łąmu
Na ostrym kamieniu spałaś.

I ciebie piękną i ciebie młodą
Twój Klefta karmił chlebem i wodą,
Grubą tkaniną osłaniał;
Jak antylopa, skacząc przez skały,
Z tobą i z nożem w ręku — zuchwały!
Zbrojne me Spahi rozganiał.

To też mnie srogo męczyła trwoga.
Zanim nadeszła ta chwila błoga,
Kiedy przy blasku kagańców,
Głowę psa tego ujrzałem w worze —
A Ciebie, Peri! wiódł na me łożo
Wódz moich czarnych rzezańców.

Lazaro! teraz sypiasz na puchu,
Oddech twój piersi w lekkim podmuchu
Kołysze fręzłą kotary;
Czegóż tak smutna siedzisz od ranka?
Czyli przechodnia jaka cyganka
Rzuciła na Ciebie czary?

Przebóg! krwią twoją splamiona warga,
Gniewna twa ręka na szmaty targa
Srebrnego zawoju końce;
Jakaż chęć twoją zapelnia duszę?
Powiedz! a ziemię, niebo poruszę,
Nowe zapalę ci słońce!

O powiedz! jakie są twe życzenia,
Choćby to dziecka były zachcenia,
Ja je wypełnię odrazu;
Oto niewolnik klęka przed tobą,
Wiej litość nad nim, miej ją nad sobą,
Wyrzeknij słowo rozkazu.

»Omarze!« - branka przerwała grecka -
»Myśl moja nie jest zachcieniem dziecka«
I wzniosła oczy płonące,
I lwicą była z tem okiem w blasku —
»Baszo! twój kindżał chcę mieć z Damasku —
Na nim twe serce drgające!«

PANNA MŁODA.

Całe niebo we mnie!
A z ócz płynie łza —
Ach! błószej odemnie
Nie ma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze
Serce — z tego mrą..
Ach! dobrze, że płaczę —
Zbytek spłynie łzą.

A któż-to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Suknię dają mi.
Poczekaj waść,
Jam czekała tak;
No, widzisz go!
Suknię biorę wspak.

Już ja jegom prawie,
Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
Czy to tylko sen!

Któż te słowa zważy:
Jam jego - on mój!...
Ach! jak mi do twarzy
Leży ślubny strój!

A któż-to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Wieniec kładą mi.
Ach! jakież on
Niecierpliwy wciąż —
Źle ze mną, źle,
Srogą będzie mąż.

Lza za lzą mi cieknie,
A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się nie pięknie
W dzień ślubu — to grzech.
Schronię się od złego
Do Maryi nóg —
Ach! wiem ze wszystkiego,
Że mnie kocha Bóg!

Ot w kaplicy już
Organ zaczął grać;
O duszyczko ma!
Radź-że sobie, radź.
I kapela także
Pobrzękuje razem —
Ja sobie tymczasem
Klękę przed obrazem.

Maryo! Pani nieba!
Daj nam co potrzeba!

Wróciłam z podróży
Promieni i róż...
Ach! nie pukaj dłużej,
Idę, idę już!
Nieznajomą drogą
Jasny puszczam wzrok —
Ach! jak lekko, błogo,
Pierwszy stawiam krok!

WŁODZIMIERZ WOLSKI

(1825—1882).

W IMIENNIKU K.

Skąd oczy twoje gorą płomieniem,
Że przy nich schylić trzeba źrenicę
Smutno i kornie? Jak chcesz, dowoli
Ciskasz z nich tęczę lub błyskawicę.
Serce mi dręczyć smutku westchnieniem,
Lub je urokiem koić powoli,
Od twojej woli jednym spojrzeniem,
Jednym uśmiechem od twojej woli.

Kto w twoją duszę wlał tę urodę,
I tej melodyi niebiańskie skarby,
Smutnej, wesołej? Od twojej woli,
Zmieniac i ciskać dźwięczne jej farby, —
Malować czoło moje w pogodę,
Lub je tęsknotą sępić powoli,
Od twojej woli, — o dziewczę młode,
O czarodziejko — od twojej woli!

JA WIDZĘ CIĘ.

(MELODYA).

Ja widzę cię, kiedy warkocz chmur
Po wieczornem pływa niebie;

W poranku mgle niech zaszumi bór,
Ja widzę, widzę ciebie.

Ja słyszę cię, gdy wieczorny dzwon
Pól rozległą przerwie ciszę,
Za rzeką flet niech uderzy w ton,
Ja ciebie słyszę, słyszę.

Ja czuję cię, gdy mi przyszło znów
Ból serca kryć na pogrzebie,
Wśród gwarnych wrzaw, w samotności snów,
Ja czuję, czuję ciebie.

Ja pragnę cię, gdy nabożny śpiew,
Gdy organ zabrzmiał w kościele,
Lub szary mrok ojmie sploty drzew,
Ja pragnę, spłynąć aniele!

CYPRYAN NORWID

(1825—1883).

TRZY STROFKI.

Nie bluźń, żem zranił Cię, lub jeszcze ranię,
Bom Ci ustąpił na mil sześć tysięcy
I pochowałem lzy me w Oceanie
Na perel więcej!..

I nie myśl, jak Cię nauczyli, w świecie
Świątecznych uczuć, świąteczni czciciele;
I nie mów, ziemskie iż są marne cele —
Lecz żyj — raz — przeciel!..

I myśl: gdy nawet o mnie mówić zaczną,
Że grób to tylko, co umarłe chowa;
A mów... że gwiazda ma była rozpaczną,
I — bywaj zdrowa!..

LEONARD SOWIŃSKI

(1831—1887).

WYZNANIE.

Anielskie sny, niepokalanych dni westchnienia,
I pieśni me, dyamentami łez płonące,
I burze walk, i dum posągowe rojenia,
I serce to gladyatorskie, krwią broczące —
Ach! wszystko tobiem niósł, o bóstwo czarujące!
Kobieto! Pani marzenia!

Ty, zawsze ty, jak na kamei starożytnej,
W obrazach mych białem wykwiłaś obliczem...
Bez ciebie świat, jak niebo o kopule szczytnej
Posępnych chmur, jak noc, jak śmierć, był dla mnie
[niczem...
O ty, omglona piany płaszczem tajemniczym!
Kochanko fali błękitnej!

Gdziem tylko spotkał cię w powiewnych twoich sza-
[łach,
Z miłosnem, pełnem drgnień, jak dwie turkawki to-
[nem,
Już miejsce to, gdzie stałaś ty, było mi tronem —
I kładłem skroń u nóżek drobnych, jak na kwiatach:
Choć był to nieraz głaz, choć miałem wstać zranionym,
Ze wstydem i wiarą w szmatach.

I w czemże jest ten wdzięk, co opromienia ciebie? —
Czy w muzyce pieśczołliwej głosu srebrnego?
Czy w barwnych siódlach zdrad? czy w pieśczoł
[twoich niebie?..
Nie! nie!.. Twój czar nie może być urokiem Złego!..
Bo jasny tylko duch odtwarza w pięknie siebie..
Tyś piękna — dosyć mi tego!

Choć wiele młodych serc w objęciach twoich ginie,
Choć wielu śmierci jad z usteczek twych wypija,
Lecz winien ten, co zradnej podobny gadzinie,
Szlachetną pierś twą splotem namiętym obwija,
I zarażając wciąż trucizną swą naczynie,
Sam siebie, pijąc, zabija.

A więc mi świeć, o gwiazdo śliczna, w każdej dobie,
Blaskami duszy twej i postaci urokiem!
Ideal piękna mój objawił mi się — w tobie..
Więc kocham cię, o pani, myślą, sercem, okiem,
Śród szczęścia mgnień i w upadku ducha głębokim,
I kochać przestanę — w grobie.

Z DYTIRAMBU PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Serce! ach wolniej bij!.. O ten słowiczy śpiew.
I niebios toń bezdenna,
I sznur tych sennych, chylących się drzew,
I cudne ziemi tej śmiejącej się wesele,
I nań ten świat — tam, tam, gdzie otchłań lśni pro-
[mienna,
Wzniesiony tron, ach! tron anioła mego..
Och! to za wiele,

Dla drgnienia piersi jednego!
Na runie złotych chmur, na listkach białych róż,
 Na miękkich fal grzbiecie,
W promyczkach gwiazd, na błyskawicach burz,
Ach! obraz śliczny jej to lez dyamentami
Iskrzy się w żalu mgłe, to szczęściem raję świeci,
To białą skroń na pierś mi wrzącą chyli:
 Luba! my sami
Na całym świecie w tej chwili!

MIECZYŚLAW ROMANOWSKI
(1834—1863).

POD UROKIEM.

Ni co skończyć, ni co począć,
Ani sercu dać wytchnienie,
Ciągły upór... i pragnienie!
Ptakom - myślom trudno spocząć;
Zadumanem wodzę okiem,
Straszno duszy pod urokiem.

Popatrzyła, — przemówiła —
Głęb się duszy odbił w oczach,
Słodycz w ustach — kwiat w warkoczach...
Boże! Boże, jakaż miła!
Patrzę — ruszyć nie śmiem krokiem,
Choć wre serce pod urokiem.

Pieśń zaczynam; — pieśni tony
Miała niby w białej dłoni,
Zmienia w gromy — stał, na dzwony,
Na niebiosą orłem goni,
Ducha wiesza — pod obłokiem,
Ducha - ptaka pod urokiem.

Gdybyż w niebo choć puściła,
Gdyby w piekło zlecieć można!
Ach! zabawka nieostrożua!

Szalonego w błękit wbiła,
Skąd przepaście mierzę okiem
Pod promiennych ocz urokiem.

Kocham! — onaż zna to technienie,
Na pół z piekła — na pół z rajcu?!
Darmom wrócił, ptak z wyraju,
Na słonecznych pół promienie, —
Przyjdę — zimnem wita okiem,
A pierś pęka pod urokiem.

ODETCHNAŁEM

Odetchnąłem,
Życ zacząłem
Powiewami kwiecica — róż!
Bywaj zdrowa!
Smutne słowa,
Ledwie ujrzał, — żegnam już.

Com tu przeżył,
W com uwierzył,
Nieskalane niosę w świat.
Marzeń sploty,
Łzy tęsknoty
I nadziei błady kwiat.

I twe lico,
Krasawico,
Promień oczu, uśmiech twój,
Z twego czoła
Blask anioła
Dla mych piersi nowy strój.

Bywaj zdrowa!
Smutne słowa,
Ledwie mjrzał — żegnam już!
Żyj szczęśliwa,
Urodziwa,
Pośród woi — kwiecia — róż.

DAREMNIE.

Pójdę ja brzegiem majowym zdroju —
Pójdę dla serca szukać spokoju.
— Niezapominka u brzegu rośnie...
O nigdy — nigdy pokąd tych wód —
Piers nie przestanie gorzeć miłośnic...
O! wróć się, chłopcze — daremny trud!

Pójdę ja w górę na głuche tonie,
Może tam serce w ciszę zatonic?
— O wróć się, chłopcze! tam świat bez granic,
Nie przemierzona oczyma dal, —
Ach! tam tęsknoty nie oprzesz na nic —
Uschną ci piersi — spali cię żal.

Toż pójdę w pola; — gdzie łąka, zboże —
Tam smutne serce przeboli może.
— Błady tam błękit — słońce przygrzewa.
Pusty wiatr ciągnie obszarem pól! —
I wędną kwiaty, usycha niwa; —
O wróć się, chłopcze! nie zgaśnię ból.

Pójdę ja w lasy ciemne i chłodne,
Może tam znajdę chwile swobodne,
— Choć ciemne lasy, choć puszcza dzika,

Lecz tam się błąka lasowy czar,
I szmerem liści, pieśnią słowika
Powie ci o niej — i wskrzesi żar.

Toż ja powrócę pod moją strzechę,
Tam może sercu znajdę pociechę?
— Ściany twej chaty bielone pięknie,
Lecz tam się znajdziesz ach! taki sam,
Że ci się z bólu serce rozpęknie;
Oj! biedny chłopcze, nie wracaj tam.

Gdzie ja się z tęsknem sercem obrócę?
Pójdę — na morze — w łódzie się rzucę...
— Obejdź ty, — opłynąć ziemię dokoła,
Płyn ciszą — obleć na skrzydłach burz,
Ni żalu z serca, ni dumki z czoła,
Ni jej z pamięci nie zbędziesz już.

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI

(1834—1902).

EVOE

O, nie mów mi, że czas tak szybko płynie,
Że rozkosz zgasi piorun naszej krwi,
Że nasyconych rychło głód ominie
I szal, co porwał nas... o, nie mów mi!..
I nie mów, ach, że jest świat poza nami,
Że na dnie czary miodnej gorycz tkwi,
I że nas tylko marą szczęścia mamy
Kłamliwy sen... o, nie mów, nie mów mi!..

Ja wiem, ja wiem, że szczęście to motyle.
Że szparkim lotem błyskawice mkną,
Zawistnym bogom odkradzione chwile,
Że srogo kradzież tę Gorgony mszczą;
Ja wiem, że jeno tworem naszych złudzeń
Ten, co nas nęci, wymarzony raj,
Że pryśnie złoty sen w chwili przebudzeń...
Ja o tem wiem... lecz mi zapomnieć daj!..

Niby menada schwyć mnie w ramion kleszcze,
Paznogie w ciało me drgające wpij,
Ząbkami kęsaj... mocniej!... jeszcze!... jeszcze!..
Niech ból zaostrzy rozkosz chwili tej...
Nurząc się w morzu błogiej niepamięci,
Dajmy się naszej krwi szałowi nieść

I złożmy pełnią szczęścia wniebowzięci,
W tę jedną chwilę.. całą życia treść!..

Może, gdy w burzy zmysłów bezprzytomni
Utonieni, niby w blask lecące śmy —
Czas przejdzie mimo i o nas zapomni,
Jakośmy o nim zapomnieli — my!
Może nas płomień krwi wzburzonej spali,
Może spopieli pocałunków żar,
A może świat się nad nami zawali
I w gruz zagrzebie... skołysanych w czar!

NA GŁĘBINACH.

Ja nie chcę słuchać głosów tych,
Których przestrozę słyszę,
Gdy tonę w niebie oczu twych,
Gdy na twych ustach wiszę!

Ja nie chcę widzieć ile zrad
W tych drzemie wód głębinie,
Po których srebrny znacząc ślad,
Łódź nasza krucha płynie!

Ja nie chcę się tą myślą truć:
Co będzie — co bywało?
Ja nie chcę myśleć — ja chcę czuć
Czuć tylko duszą całą.

Niech zatem kłamie błękit mi
Na wód leżący błamie;
Niech głosik twój pieszczotą brzmi,
I — niech mi szczerosc kłamie.

Nalej mi pełny wina kruż —
Niech szal się z szalem splata!
I dłużej na mych oczach złóż,
Bym zdrań nie widział świata.

I usta wpiwszy w usta me,
Różancem zwieńcz mnie krzewiem,
A jeśli chęć masz zdradzić mnie,
Spraw, niech ja o tem nie wiem!...

MICHAŁ BAŁUCKI

(1837- 1901).

NIE W PORĘ.

Raz byłem u niej: z kotkiem na ręce
Siedziała w oknie w białej sukience,
I paluszkami drażniła kotka:

Pieszczotka!

I wkoło twarzy dziewczęcia białej,
Zarumienionej, loczki się chwiały,
I uśmiechały się oczka czarne

Figlarne.

Siedzę i czekam godzinę całą,
By dziewczę z kotkiem igrać przestało
I pogadało kilka słów ze mną...

Daremno!

Ani mnie widzi, ani mnie słyszy,
Kotek jej rączkę chwyta jak myszy,
Czasem zadrapie. Ona to woli —

Choć boli.

Więc rzekłem sobie: jeszcze zawczasie
Pukać w serduszko, co leży we śnie,
I unikałem dziewczeczki białej

Rok cały.

Kiedym powrócił, znów w tym pokoju,
Przy tem okienku pełnem powoju,
Bluszczów, siedziała moja pieszczotka,

Bez kotka.

Lecz czegoś dziwnie zmieszana była,
Oczy ku ziemi wstydna spuściła,
I zrumieniła się jak jabłuszka,

Po uszka.

Byłem pewniutki, że z mej przyczyny...
Wtem wiatr firanek ruszył muśliny,
I zobaczyłem sprawcę rumieńca —

Młodzieńca.

I znów panienka, jako przed rokiem,
Choć siedzę, czekam, nie rzuci okiem;
Lecz już nie kotek tym razem winny:

Kto inny...

Kto inny śpiące zbudził serduszko
I szeptą teraz miłośnię w uszko...
Ha, szkoda! Późno przyszedłem trocha:
Już kocha!

ADAM ASNYK
(1838—1897).

CHŁOPCA MEGO MI ZABRALI..

Chłopca mego mi zabrali,
Matulu!
W świat daleki go pognali,
A ja za nim umrę z bólu.
Dałam na mszę sznur koralu:
Niechaj Pan Bóg go ocali,
Matulu!

Do szeregu poszedł z bronią,
Mój Boże!
Tam śmierć pewna; poszedł po nią:
Miłość moja nie może,
Ani łzy go nie zastonią
Przed zawistnej śmierci dłonią
Mój Boże!

Nie pytają o to wrogu,
Kto ginie...
Czy jest sercom ludzkim drogi?
Czy płacz siostry za nim płynie?
Czy umiera matka z trwogi,
Kiedy pyta śmierci srogiej:
Kto ginie?

Na kulami zaoranej,
Na roli,
Ma paść we krwi mój kochany...
Czyliż na to Bóg pozwoli,
By samotnie ginął z rany,
Zdała swoich na zasianej
Krwią roli!

Spojrzyj na nas, Ty, Panienko
Przezysta!
I nad serca mego męką
Ty się zlituj, o gwiazdzista
Niebieskiego dnia jutrenko!
Osłoń jego swoją ręką, —
Przezysta!

MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO.

Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych!
Nic nas z sobą nie łączyło —
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków,
Unoszących się w przestrzeni;
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków,
Zraszających każdy parów,
Prócz girlandy tęcz, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych zdrojow,
 Z których serce zachwył pilo;
 Prócz pierwiosnków i powojów, —
 Między nami nic nie było!

TY CZEKAJ MNIE.

Ty czekaj mnie, dziewczeczko cudna,
 Pod tą wysmukłą topolą!
 Przysięgam ci — choć to rzecz trudna, —
 Że wrócę... gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
 Będzie to wielką zasługą —
 A jak się znajdzie dla ciebie mąż,
 Nie każ mu wdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,
 Dopóki sereca ci stanie,
 I wierzyć chciej mojemu słowu,
 Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szal —
 Czekaj mnie pod tą topolą:
 Chociażbym z grobu powstać miał,
 Powrócę!... gdy mi pozwolą.

POSYŁAM KWIATY.

Posyłam kwiaty: niech powiedzą one
 To, czego usta nie mówią stęsknione,

Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty: niech kielichy skłoniają
I proszą srebrną rosą jak łezkami!
Może uleci z ich najczystsza wonią
Wyraz drżącemi szeptany ustami;
Może go one ze sobą uniosą
I rzucają razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi;
Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
Wzgardą im usta nie odpłacą skromnie, —
Najwyżej rzekną: »Słyszałam — zapomnę«.

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmiejąc
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiedną serdecznej.

BŁAWATEK

Jaki to chłopiec niedobry!
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie;
Muszę się gniewać na niego —
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek
I przypiął sobie do piersi —
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
 Gdy się żaliła na psotę,
 Bo mówił, że ma coś więcej
 Ukraść ochotę.

Że oczy moje piękniejsze
 Niżli ten kwiatek niebieski,
 Że chce pić rosę z bławatków,
 A z oczów łezki.

I mówił dalej, niegrzeczny,
 Że mnie rodzicom ukradnie:
 Tak straszyć kogo, doprawdy,
 Że to nieładnie.

Chciałabym gniewać się bardzo!
 Nie widzieć więcej... ach, trudno!
 Wiem, że mnie samą bez niego
 Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać;
 Podstępny na to użyję:
 Będę umyślnie płakała —
 Niech łezki pije!

LEGENDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Ja ją kochałem — tak mi się zdaje —
 Bo cudną była w szesnastej wiosnie;
 Umiiała patrzeć na mnie miłośnicie
 I rwać mi serce w nadziemskie kraje.
 A więc w jej oczach, pełnych tęsknoty,

Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Ponad jej włosów wybiegły sploty, —
Tak, że je zrywać ustami chciałem.
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!

Ja ją kochałem, — ach! jestem pewny! —
Bom często błądził w noc księżycową,
Przypominając mojej królowy
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc w pół nieprzytomnie,
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa
W wonne powietrze rzucić całusa...
Lecz się obrazić skromnej lękałem
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,
Że sam przed sobą bałem się zdradzić,
I tylko kwiatków szedłem się radzić,
Czemu dziś smutna i czemu wzdycha?
Ale o serca jej tajemnicę
Nie chciałem nawet lili zapytać:
A gdy w ogrodzie weszła ulicę,
Stałem, nie śmiejąc wzrokiem ją witać
I tylko do nóg upaść jej chciałem,
Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
Rozlany na jej anielskiej twarzy,
Wypłynął z serca i siadł na straży...
Tak przeczuwałem, nie będąc pewny.
I sam już nie wiem, jak się to stało,
Że zapytałem drżący nieśmiało:

Co jest jej smutku dziwną przyczyną
I czemu łezki po twarzy płyną?
Na to odrzekła smutnymi słowy
Że nie ma świeżej sukni balowej..

Choć wyrazy to obojętne
Upadły szronem, co serce ziębi,
Ale jej oczy mówiły smętne,
Że się myśl inna kryje gdzieś głębięj:
Więc pomyślałem, że był za śmiały
I chcąc złagodzić moją zuchwałość,
Balowej sukni chwaliłem białość,
W którą się stroi krzak róży białej;
Chwaliłem ciernie, które jej bronią
Przed zbyt ciekawych natrętną dłonią.

Jednak już potem częściej myśl płocha
Traçała skrzydłem w błękit mych marzeń
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń
Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
I z tem pytaniem, jak Hamlet nowy,
Chodziłem długo w ranek majowy;
A kwiaty wonią, drzewa szcześnie
Odpowiadały: kocham i jestem!
Nim powtórzyłem setne pytanie,
Wybiegła wołać mnie na śniadanie,

Różowa ze snu, w słońcu przejrzysta,
Stała przedemną jasna i czysta.
Zamiast brylantów na złote włosy
Jaśminy kładły kropelki rosy...
I tak oblana światła potokiem
Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem;
A ja, zmieszany, mówiłem do niej



FRANCISZEK ŻMURKO SIELANKA

O drzew szeleście i kwiatów woni –
Lecz ją nudziła moja rozprawa,
Bo rzekła: »Chodź pan, wystygnie kawa«.

Oj! oj! figlarko – myślałem z cicha, –
Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
Za to twój uśmiech mówi uroczy,
I pierś, co mocniej teraz oddycha.
Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drzeniu
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
Gdy ci wypowiem z sebyloną twarzą
Słowa, co w ustach moich się ważą...
Wtem ona, widząc, żem zadumany,
Rzecz: »Pan jesteś dziś niewyspany...«

I tak mię nieraz mała psotnica
Zbijiała z toru krótkimi słowy.
Jam się w anielskie wpatrywał lica,
I w usta pełne niemej wymowy,
I myśl czytałem, co z oczu strzela;
A serca mego łanując bicie,
Czułem, że nic nas już nie przedziela,
Że toniem razem w marzeń błękicie...
Lecz gdy się tylko spojrzałem kłiwiej,
Pytała: »Czemu pan się tak krzywi?«

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą,
Ukraść jej z album karteczkę białą
I na niej wszystko wypisać szczerze,
Co mnie ochota powiedzieć bierze:
A więc ubrałem w urocze farby
Całą jej postać czystą, powiewną,
I wysypałem końcówek skarby,
By miłość moją uczynić śpiewną –

Słowem, jak młody poeta liryk,
Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać:
Ale przemogła trwogę ciekawość, —
I już wolałem przy niej zaczekać,
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość.
Ona czytała uważnie, zwolna,
Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna.
A gdy zdumienie minęło pierwsze,
Rzekła: »Pan takie pisuje wiersze?
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!»

Zrazu to nieco mnie zabolalo,
Że mnie tak zbyt lekko, złośliwie;
Ale myślałem: Ja się nie dziwię,
Że moje wiersze ceni tak mało.
Ona! to jeden poemat cały,
A moje wiersze pełne wyrazów
Pustych i ciemnych, mglistych obrazów,
Które w jej oczów blasku stopniały...
Nie umiem oddać tego, co roję:
Ona piękniejsza, niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz więcej
O jej prostocie myślać dziecięcej,
Pytałem siebie: czy jestem godny
Takiej miłości czystej, łagodnej?
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
Gotów me życie poświęcić w dani;
I byłbym rzucił wszystko — gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby — nie była z drugim uciekła.

MIRON
(1841—1895).

PIEŚŃ MAJOWA.

Już słowik w bzów krzaku
Zanucił pieśń swą,
O śpiewaj mi, ptaku,
Ja słucham cię z łzą...

* . *

Pamiętam ja wiosnę,
Oj, śmiał się też maj —
I serce radosne
Znalazło swój raj.

* . *

W tej dobie minionej
Jam wierzył i śnił,
W świat biegłem szalony,
Bom kochał i żył ..

* . *

Słowiku, w bzów krzaku
Nie milknijże już,
Na życia dziś szlaku
Tak mało mam róż...

ROZSĄDNE DZIEWCZĘ
(PROSBA ZBLĄKANEGO AMORA).

Dziewczę urocze,
Otwórz drzwi swoje,
Bo już noc ciemna
I ja się boję.

Wybiegłem z domu
Rano ukradkiem
Z łukiem na ptaki...
Jowisz mi świadkiem

Otwórz! ja za to
Dam w warkocz różę
I wycaluje
Twoje oczy duże.

Albo nauczę
Robić w sekrecie
Siatkę na chłopców —
Otwórz-że przecie!

Czyżbyś pragnęła,
Bym spał na ziemi,
Zziębły i głodny
Pod drzwiami tweni? —

Ach! już zgaduję:
Próżne mozoty!
Ty mną pogardzasz,
Bo jestem... goły.

MARYA KONOPNICKA
(1846—1910).

JAKŻE CIĘ MAM BRAĆ...

Jakże cię mam brać, dziewczyno,
 Jakże cię mam brać,
Kiedy mi cię z białej chaty
 Nie chcą ojce dać?...

Anim ja nie ptak skrzydlaty,
 Anim ja nie ptak,
Żebym z tobą leciał w górę,
 Przez ten modry szlak!

Anim ja nie duch, najmiłsza,
 Anim ja nie duch,
Żebym ciebie zdmuchnął z ziemi,
 Jako z kwiecica puch!

Anim ja nie mgła z nad łąki,
 Anim ja nie mgła,
Żebym ciebie skrył tunianem
 Przed jasnością dnia!

Anim ja nie grób, dziewczyno,
 Anim ja nie grób,
Żebym z tobą poniewoli
 Dostał wieczny ślub!

Oj, padają łzy z wierzbiny,
Oj, padają łzy!..
A kiedyż ty, słonko moje,
Będziesz świecić mi?

NIE SWATAŁA MI CIĘ.

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,
Jeno pieśni skowronkowe,
W te poranki, w te majowe,
Jeno jasne one zdroje,
Kędy koniec co dnia poję,
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty,
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łące,
I te trzciny, rokitiny —
— Jedźże, Jaśku, do dziewczyny —
Hej!..

Nie swatały mi cię kumy,
Jeno ciemnych lasów szumy,
Jeno tęskność, co się ściele
Po ugorach, jak złe ziele,
Jeno mokra ona łąka,
Gdzie się nocka tuman błaka,
Jeno złote ono słońce,
W cichych zorzach zachodzące..
Odwieczrzem jednym drugim,
Pług za łąnem, ja za plugiem,

Za mną zasię słonko chodzi.
— Dziewczę ci się, Jaśku, godzi,
Hej!...

Ludzie mi cię nie raili,
Ani do mnie miodem pili,
Jeno ten miesiącek biały,
I te gwiazdy cię swatały...
Nie chodziły tu sąsiady,
Na nanowcy, na wywiady,
Jeno cichość wieczorowa
Niosła skądciś mile słowa,
Nocka jeno w oknie stała,
Chłodną rosą przypijała,
Chłodną rosą mnie budziła —
— A gdzie, Jaśku, twoja młta?...
Hej!...

PRELUDYUM.

Nie kocham jeszcze, a już mi jest drogi,
Nie kocham jeszcze, a już drzę i płonę
I duszę pełną o niego mam trwogi
I myśli moje już tam, w jego progi
Lecą stęsknione...
I ponad dachem jego się trzepocą
Miesięczną nocą...

Nie kocham jeszcze, a ranki już moje
O snach mych dziwnie wstają zadumane,
Już chodzą za mną jakieś niepokoje,
Już czegoś pragnę i czegoś się boję

W noce niespane...
I już na ustach ślad noszę płomienia
Jego imienia.

Nie kocham jeszcze, a już mi się zdaje,
Że nam gdzieś lecieć, rozplynać się trzeba,
W jakieś czarowne dziedziny i kraje...
Już mi się marzą słowicze wyraje
Do tego nieba,
Które gdzieś czeka, aż nas ukołysz
W błękitną ciszę.

JEŻELI KOCHASZ...

Jeżeli kochasz, nie wołaj mnie z sobą!
Pomiędzy nami jest przepaść głęboka,
Co nas rozdziela swych cieniów żałobą
Na wieki!
Próżno oczyma pogładasz smutnemi,
I próżno drogie wyciągasz ramiona...
Ty będziesz dla mnie tak zawsze na ziemi
Daleki!
Od ciebie do mnie, odemnie do ciebie
Wolno przelatać promieniom księżycą,
Co w zniczce letnie całuje na niebie
Lazury...
I szumom lasów i ciszy pieszczotom,
Pieśni słowiczych wyznaniom namiętnym,
I pełnym pragnień wieczystym tęsknotom
Natury.
Ale my sami tak trwajmy, bez słowa,
Bez łzy, bez skargi, jak cienie dwa blade...

Ból nasz niech tylko milczenia wymowa

Tłómaczy.

Rozkosz?... Czy myślisz, że chwile zachwytu
Duch twój — sam sobie, obojgu nam — życie,
A twym porywom konieczność przesytu

Przebaczy?

My tak zostaniemy na długo, na zawsze!

Płonące usta śmierci niechaj ochłodzi...

Mnie szczęście inne, pełniejsze, jaskrawsze

Przeraża...

Żadnych uniesień i żadnych wybuchów!

Mojemu sercu daj spalić się w ciszy,

U beznadziejnych pożądań wszech duchów

Ołtarza ..

My nie z tych, coby umieli róż kwiatem

Zarzucić przepaść dzielącą dwie dole,

I przejść królewskim rozkoszy szkarlatem

Głębiny...

Ja wiem, że jeśli zawołasz mnie w ciszy

Imieniem, które na ustach ci płonie,

Dusza cię moja stęskniona usłyszy

I zginę!

I to, co miało mi źródłem być mocy,

Będzie omdleniem potęgi istnienia...

Co było światłem, to stanie się nocy

Żalobą...

O patrz! ta przepaść tak pełna jest trwogi...

Dusza się moja wrywa do ciebie...

Jeśli więc kochasz, nie wołaj mnie, drogi,

Ze sobą!

IDŹ, IDŹ W POKOJU!..

Idź, idź w pokoju!..
Nie przeznaczonem było nam na ziemi
Chodzić tu razem ścieżkami cichemi,
I wspólną gwiazdę nad czołem mieć złotą,
I poić usta, płonące tęsknotą,
Z jednego źródła...

Na piersi twoje
Spadłam, jak gołąb wicherami zagnany
W kraj cichy, światłem miesięcznemu obłany,
A pióra moje przejrzystsze się stały.
Tak byłeś czysty i tak byłeś biały,
Takąś miał zbroję...

Lecz dziś — nie mogę
Spać na twych piersiach... Dziś róża w mej dłoni
Od twego tchnienia — choć biała — się ploni,
I jakieś dziwne latają dziś mary
U tej z błękitów nad nami kotary,
Dziś czuję trwogę...

Coś woła, budzi..
Więc lekkie skrzydła unoszę spłoszona
Z twojego serca drżącego i z łona,
I słyszę burzę, co w tobie się wicherzy,
I już nie jesteś najbielszy, najcichszy
Ze wszystkich ludzi..

WŁODZIMIERZ WYSOCKI

(1846—1894).

ZAPATRZONY...

Zapatrzony na szyjkę białą, otoczoną
Paciorkami korałi, co kilkoua sznury
Z taką legły rozkoszą na dziewicze łono
I tam się kołysały, wznoszone do góry,

Patrzyłem... jednak oczy jakoś się mi ćmiły,
A od niej biło ciepło... Niby rajskie wonie
Owiały mię i płomień wlały w moje żyły...
Otoczyłem jej kibić i zbliżyłem skronie.

»Pocałuj mię!« Już dziewczę ku mnie się nagina,
Wtem zgóry spadła na nas orzechu lupina,
I — z rąk mych się wymknęła Olenki figurka.

Spojrzeliśmy: zwierzątko na drzewie ukryte
Patrzy na nas, złocistą nastrzępiwszy kitę...
»Olenko!« — »Ja się wstydzę... obaczy wiewiórka...«

WŁADYSŁAW ORDON (SZANSER)

(ur. 1847).

ZŁOŚNICA.

O! drzę cały, drzę jeszcze, kiedy wspomnę ranek,
Ów ranek, gdy z za białej kotary firanek,
Wyjrzałaś tłumionemi łkaniami wstrząsana;
I słońce nie świeciło nawet tego rana,
I kwiaty nie pachniały — i świat tobie cały,
Wydawał się szkaradny, niewdzięczny i mały.
Tak, mały... Bo w twojej piersi, jak w piersi Nerona.
Wrzała burza namiętna, tyrańska, szalona!
Podnosiła pierś białą, na serce się kładła,
A nawet, gdyś podeszła wreszcie do zwierciadła,
O! zgrozo, oczy były od płaczu czerwone!
Magnetycznie uczulem wtedy, w moją stronę
Żeś zwróciła się drżąca gniewem i pogardą.
A potem, odrzuciwszy z dumą kosę hardą:
— Przebaczyć mi!? — wołałaś — nigdy! Wielkie
[nieba,
Czerwone oczy z czarnych, czyż więcej potrzeba,
Żeby mię zeszkarać! Nie, lustro się myli,
Ach, to lustro fałszywe! czyżby w jednej chwili
Oczy się tak zmieniły i lice tak zbladło?
Jeśli to prawda... Boże! ja umrę z rozpaczki...
Ale pierwej się zemszczę i Bóg mi przebaczy!
Rozbiję jego serce!

I... zbiłaś zwierciadło.

Złośnico! figła tobie wyrządę w sekrecie:
W miejsce zbitego lustra, na twojej toalecie
Postawię serce moje... A gdy twoje oczy
W rozkochanej się jego zagłębią przezroczy;
Cofną się przed piękną nieznaną — choć własną!
Ujrzą twarz, — ale inną: promienistą, jasną,
Twarz wiecznie jednakową, w jednakiej piękności,
Twarz swej pani, odbitą przez pryzmat miłości!
Tak, przejrzysz się w mem sercu... A za to oszczercę
Zwierciadło, ukarane w ów szkaradny ranek:
Ja wzmę na pamiątkę z przed białych firanek,
Przez wdzięczność, że mi biedne ocaliło serce!

WIKTOR GOMULICKI

(ur. 1850).

PRZYJDŹ!...

W majowy dzień,
Gdy wszystko zmartwychwstaje,
Gdy pełne ogrody i gaje

Miłoszych drzeń

Przyjdź do mnie, upragniona!...

W otwarte spłyn ramiona,

Jak Anioł Zmartwychwstania,

Co grobu straż rozgania,

Trumienne wieko kruszy

Wyjście otwiera duszy!

Przyjdź, abym powiedzieć mógł:

— Jest Bóg!

Jest wszechpotężna siła

Na ziemi, jako w niebie,

Najmędrsza, bo ciebie stworzyła.

Najlepsza, bo dała mi ciebie!

W lipcową noc

Różano-jaśminową,

Gdy wstrząsa ziemią-miemową

Mistyczna moc —

Przyjdź podobna ogniowi,

Co mnie stli i odnowi!

Obcjmij mię pożarem

I daj, uścisków czarem,

W mgnieniu, które świt płoszy,
Przeżyć wieczność rozkoszy!
Przyjdź! — aby dla dwojga nas
Znikł Czas!

Byśmy się w szalu chwili
Stopili i roztopili,
Jak łza i uśmiech w dziecka licu,
Jak para chmurek przy księżycu!...

W jesienny zmrok,
Gdy wichur, wyjąc, płacze,
Uśpione wstają rozpaczę,
Łza maści wzrok —

Przyjdź, jak Anioł Pocięchy,
Słodkie sięjąc uśmiechy!
Żalobna moja cęła,
Skąd uszedł duch wesela,
Niech tobą się rozświeci,
Zapachnie i rozkwieci.
Przyjdź! — a gdy zakryje toń
Twą dłoń,

Pierzchną czarne zastępy:
Kruki, pułhacze, sępy,
Powróci zbiegły brat do braci,
Pieńko ofiarę jedną straci...

W zimowy świt,
Gdy w cmentarnym kurhanie
Uciszy się już me łkanie
I zębów zgrzyt —
Przyjdź, — i na świeżym grobie,
W czarnych oczu żalobie,
Choć bez wdowiego stroju.
Stań — posągiem Spokoju.
Ty biała, cmentarz biały
I ja — ze śnieżnej skały.

Przyjdź — aby potwierdził grób
Nasz ślub!
A gdy w trumiennej czezości
Lica mi błysną kochane —
Ocknie się dusza od radości!
Ach! od radości zmartwychwstanę!

PIOSENKA.

Nim czar miłosny,
Nim cuda wiosny
Porzucą nas,
Kochaj, dziewczyno!
Niech płynie wino
Z pieśniami wraz.

Niech skrzą się oczy
Zaczem je zmroczy
Mogily cień! —
Gdy minie pora,
Z mrokw wieczora
Któż zrobi dzień?

Marzenia mylą,
A życie chwilą —
Pocóż więc śnić?
Dusza i zmysły
To węzeł ścisły;
Kochać — to żyć!

CZEMU?

Czemu Bóg ci dał
 Uśmiech tak uroczy,
Tak anielską twarz,
 Tak szatańskie oczy?
Czemu Bóg ci dał,
 Powiedz, moja luba,
Tygrysy krew,
 A ciało cheruba?

Jak dyamentu blask
 Mienisz się zdradziecko,
Namiętnością — czart,
 Marzeniami — dziecko.
Coraz inny strój
 Zdobi czoło twoje:
Dzisiaj lilji kwiat,
 Jutro bluszczu zwoje.

Kiedy srebrny zmrok
 Na komnatę pada,
Chętnie chylisz skroń,
 Zadumana, blada;
Kiedy płynie pieśń
 Na powietrza fali,
Jak hachantka drżysz,
 I wzrok ci się pali.

Czemu kryjesz pierś
 Nieczułości zbroją,
I strumieniem łez
 Twarz zalewasz moją;

Czasem z cudnych ust
Dajesz pić słodycze —
Naprzemiany: czart,
Albo Beatrycze.

I piekło i raj
W tobie się jednoczy --
Czemuż Bóg ci dał
Tak szatańskie oczy?
Czemuż Bóg ci dał,
Powiedz, moja luba,
Tygrysię krew,
A ciało cheruba?

KAZIMIERZ GLIŃSKI

(ur. 1850).

W WRZECIONA.

(FRAGMENT).

Snuj się nitko! snuj marzenie!
W różnobarwny pas tęczowy..
Płacz się w blaski, światła, cienie,
W sznur się przemień koralowy.

Wy płyn na ten próg, za wrota,
Na zielone łak przestrzenie..
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Serc dziewczęcych maro złota!

Wionął zdala wietrzyk cichy,
Przez staw srebrne przeszło drżenie..
Snuj się nitko! snuj marzenie!
W splot powojów, w róż kielichy!

Wy płynęła łódź z młodzieńcem,
Gdzie się kładą od wierzb cienie..
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Za tą łódką płyn fal wieńcem.

Wioślarz podniósł twarz z nad wody,
Wzrok zapuścił w gajów cienie,
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Kogo szuka wioślarz młody?

Postać piękna, silna, rosła,
Wąs w jedwabiu, włos w pierścieniu...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Deszcz brylantów pada z wiosła.

Gdzie on płynie w cichym biegu?
Zwrócił na mnie wprost spojrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Błysły pluski fal u brzegu...

Przybił... skoczył... Już koło mnie,
Piersią rzucił jak wiatr technienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Zaczął cicho szeptać do mnie.

Płyną słowa ciche, drżące,
By arfanych strun brzęczenie,
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Rozbudź echa w sercu śpiące.

Czuję ogień w piersi, w skroni,
I stuk serca i krwi wrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Arfa dzwoni... dzwoni... dzwoni...

Co on mówił, żem tak trwożna,
Stała w drzew schowana cienie?
Snuj się nitko! snuj marzenie!
To oszaleć było można!

Szeptał: »kocham!« Dźwięk uroczy
Ginął szmerem, jak westchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Jam spuściła na dół oczy...

On przytulił mię do łona,
I poczułam ust płomienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Wińcem kwiatów pływ w ramiona.

Zmierzch wieczorny upadł z góry,
Księżyc rzucił w dal promienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
W haft koralów, w pereł sznury!

Coś zbudziło echa gaju,
Coś splątało drzew półcienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Wiedź do nieba, wiedź do raj!

Świecą marzeń jasne sploty,
Jak północnych gór kamienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Na myn palcu pierścień złoty!

Ślub, wesele, tan, swoboda,
Rozkosz, szczęście, upojenie!...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Dom opuszcza panna młoda.

Rozjechali się druźbowie...
Jak mi serce drży szalenie!
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Przyszędł do mnie... Co on powie?

On... Ja tylko!... Brzękło w ciszy.
Z pocałunkiem ust, westchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Nikt nie widzi, nikt nie słyszy!

Jak gołąbka staję zlekła...
Zmierzch nadpłynął... noc, milczenie...
Snuj się nitko!... Ach! nie pękła,
I wionęło w dal marzenie!

BOLESŁAW CZERWIŃSKI

(1851 1888).

STARÉ DZIEJE.

»Jam pan, jam król, gdy rączkę twą
W swych drżących dłoniach pieszczę,
Gołąbko ma, całuska daj...
Och! jeszcze... jeszcze... jeszcze...

»Twe złote włoski na mą twarz
Spływają miękką falą,
Na chwilę chłodzą czoła żar,
Za chwilę ogniem palą...

»Oddechu twego cudna woń,
Jak wietrzyk podczas spieki...
Och! nie odrywaj ust od ust...
Niech zrosną się na wieki!«

»Na wieki, mówisz, drogi mój?
Więc przysiąż mi statecznie,
Że nigdy nie opuścisz mnie,
Że kochać będziesz wiecznie!«

»A ty!« »Wątpliwość możesz mieć,
Choć znasz tak serce moje?
Nicwdzięczny!« — »Przebacz, błagam cię!...«
Przysięgliśmy oboje...

Przysięgi naszej — stara rzecz —
Wysłuchał księżyc błady,
Ciekawy po nas wodząc wzrok
Przez starych lip arkady...

Ach! jak nam słodko służył czas
W cienistych tych alejach,
Codzień w różowych byliśmy
Marzeniach i nadziejach...

Co wieczór wśród miłosnych drzeń
Śniliśmy ideały...
Miesiące tak mijały, aż
Rok wreszcie minął cały.

W rocznicę naszych przysięg znów
Siedzieliśmy przy sobie,
Jak zwykłem trzymał w dłoniach mych
Anulki ręce obie...

Lecz oczy me błędziły gdzieś
Po niebie inną stroną —
A moja luba miała też
Twarzyczkę odwróconą.

Do rozmowy brakło nam
I chęci i osnowy —
I ręce nam nie drżały już
I zimne były głowy...

Na jedno tempo - aż mi wstyd -
Obojeśmy ziewnęli —
»Pan ziewasz?« — »Pani ziewasz też...«
I miłość dyabli wzięli!

Minęły lata... Duszka ma
Od dawna już mężatką —
Staruszek zacny mężem jej,
Więc bywam tam nierzadko...

I cóż powiecie? Kiedy mąż
Czasami zdrzemnie trochę,
My ręka w rękę siedzim znów
I myśli roim płocze...

I dłonie nasze znowu drżą,
Znów płoną ust korale,
Rozmowa cicha nie rwie się
I nie ziewamy wcale.

MARYAN GAWALEWICZ

(1852—1910).

PIOSENKA

Ty się do mnie nie śmieję dziewczę
Oczy ma modre mi,
Bo mi serce z bólu płacze,
Kiedy rzucisz niemi.

Ty się do mnie nie śmieję, proszę,
Ustami z kaliny,
Bo mi piersi żal rozrywa,
Choć nie z twojej winy.

Inna miała takie usta,
Takie same oczy —
I zraniła biedne serce,
Że do dziś krwią broczy...

I tę inną, jak zakłęty,
We śnie i na jawie
Ciągłe widzę, chcę przeklinać
I wciąż błogosławię.

NIE KOCHA!...

Za motylami biegła
 Calutki dzień —
Każda różyczka ją знаła,
Każda ją mile witała
 Wonią swych tchnień.

Drzewa szumiały radośnie:
 Gdy weszła w gaj —
Ptaszę nuciło miłośniej,
Echa wtórzyły mu głośniej,
 Istny był raj!...

I wszędzie wkoło dziewczyny
 Tajemny gwar
Wznosiły kwiaty, krzewiny,
Jakby jej ustek maliny
 Rzuciły czar.

Aż raz zerwała malutki
 Wyroczni kwiat:
— »Nie kocha!...« rzekł liść stokrotki
I zasiał w sercu jej smutki,
 Zachmurzył świat.

Odtąd po gaju już rzadko
 Biegła w dzień —
Umknęło motyli stadko,
A między kwiatów gromadką
 Snuł się jej cień.

Kiedy wśród smutnej zadumy
Schylała skroń —
Listki głuszyły swe szumy,
A kwiatów łęczowe tłumy
Wstrzymały woń.

I milki ptaszęta śpiewne.
Gdy weszła w gaj,
Wciąż powtarzając to rzewne:
— »Nie kocha, och, nie — zapewne...«
Rozwiał się raj!

A patrząc na takie skutki
Tej wróżby złej —
Powiedły wszystkie stokrówki,
Dzieląc królowny swej smutki
I troskę jej!..

STANISŁAW GRUDZIŃSKI

(1852—1884).

POŻEGNANIE.

O! bądź szczęśliwa – w pożegnania chwili
Nic ci innego powiedzieć nie mogę...
Gdy chyżym lotem minął sen motyli,
Kaźde z nas w inną pójdzie życia drogę...
Jam zwykł swe checi wypowiadać skromnie,
Więc bądź szczęśliwa... i zapomnij o mnie!

Bo cóż mi z tego, że przypominasz sobie,
Gdy tłum czcicieli otoczy cię pusty,
Że był gdzieś człowiek, co marzył o tobie
I zwykł drżącemi wypowiadać usta
To, czem pierś jego przepętniona była,
To, o czem dusza w upojeniu śniła?

Może myśl taka pusty śmiech wywoła,
A ja się lękam trucizny szyderstwa!
Bo ona bronią zatraty Anioła,
Bo ona siostrą rodzoną morderstwa...
Jeśli nic nadto serce nie poświęci,
Nie proszę o nic, nie żądam pamięci!

Lecz jeśli kiedy w smutnej chwili życia,
Złamana bólem, zrażona do świata,
Zechcesz zagłuszyć mocne serca bicia,

Zechcesz wśród ludzi znaleźć serce brata,
Wtenczas przypomnij... że był ktoś na świecie,
Jak brat serdeczny i szczerzy, jak dziecię...

Widziałś może na brzegu strumienia,
Jak powój łączy oddalone drzewa...
Dla nas powojem niech będą wspomnienia...
A jeśli czas ten, co wszystko rozwiewa
I te ostatnie nam związki pozrywa,
Ja powiem tylko jedno: bądź szczęśliwa!...

NAIWNY.

Raz mi ona mówiła,
Że nas chyba mogła
Rozłączy.
Światło znieni się w cienie,
Nim się nasze marzenie
Zakończy!
I w rozwarłe ramiona
Wpadła cała splaniona
I drżąca,
I w cienistym mnie lasku
Całowała przy blasku
Miesiąca.
Gdy spoily się usta,
Ona przedtem tak pusta
I płocha,
Powtarzała wzruszona,
Tuląc mi się do łona,
Że kocha!

Rzekła: »Zawsze i wszędzie
Serce wierne ci będzie
Przy tobie —
Bo jak Bóg jest na niebie,
Nie zapomnę ja ciebie
I w grobie!«

Ale przeszło dni kilka
I dziś piękna Emilka
Natchniona,
Nowych snując mar roje,
Pada, ale... nie w moje
Ramiona!
I w tym lasku olszowym,
Na kobiercu darniowym
Dziewczyna,
Gdy nikt nagle nie spłoszy,
Już ciąg nowych rozkoszy
Zaczyna.
I powtarza innemu,
Kochankowi nowemu
Sen dziwny...
Szepce słodko do ucha,
A on wierzy i słucha —
Naiwny!

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI

(ur. 1853).

O! JAKŻE CHCIAŁBYM.

O! jakże chciałbym (choć się nie roi
Jeszcze mej duszy o wniebowzięciu)
Skonać z miłości... na piersi twojej
I śnić tak wieki... w twojem objęciu!

Jeden twych ustek całus miodowy
Z snu śmierci by mię do życia cucił,
Jeden twój uścisk... i sen grobowy
Znówby na oczy moje powrócił...

I usypiając, w czasie konania,
Miałbym pociechę w nadziei złotej,
Że znów nastąpi czas zmartwychwstania,
Że znówu skonam wśród twej pieczyoty!

CZESŁAW JANKOWSKI

(ur. 1857).

PAŹ KRÓLOWEJ.

Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Mój paziu, mój ty mały,
Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Co ci podszeptnie maj.

Najświeższa oto z róż,
Co ranne mgły owiały,
Najświeższą oto z róż
Dla ciebie zrywam już...

O pani, nie każ mi
Tknąć srebrnostrunnej lutni,
O pani, nie każ mi
Wiosennych śpiewać dni.

Dość mi tych piosnek mdłych,
Wciąż tęsknij mi, wciąż smutnij,
Dość mi tych piosnek mdłych,
Śpiewanych u nóg twych.

Królowo, w duszy mej
Przedziwne zaszyły zmiany,
Królowo, w duszy mej
Wyczytać prawdę chcej.

Rwie mi się serce w świat,
W szeroki świat nieznany,
Rwie mi się serce w świat
Po płon młodzieńczych lat.

Bojowa surma gra.
Grzmia, wrą i kipią boje.
Bojowa surma gra,
Czem przy niej lutnia ma?

Tam, pani, daj mi iść,
Weź wszystkie kwiaty swoje,
Tam, pani, daj mi iść!
Po krwawy lauru liść!..

* * *

O zorzy hufce szły
Ordynkiem z zamku bramy,
O zorzy hufce szły
Hen, z gór w poranne mgły.

W narożnej izbie tam
Królowa w oknie stoi,
W narożnej izbie tam,
Od dworskich zdala dam.

I duma, patrząc w dał,
I własnych dum się boi;
I duma, patrząc w dał,
Serdeczny tłumiać żal.

U stóp królowej tuż
Milcząca lutnia leży;

U stóp królowej tuż
Najświeższa wiednie z róż.

A tam z podleśnej mgły
Wiatr niesie pieśń ku wieży.
Hen, tam w podleśne mgły
Królowej płyną łzy...
 Królowej płyną łzy.

WIOSNY ZADUSZNY DZIEŃ.

Te białe ku mnie przybliź chryzantemy
I ów medalion ze ściany mi daj —
I cicho teraz rozmawiać będziemy..
 Był niegdyś — maj.

Maj był tak jasny, tak piękny, dziecino,
Że nie mógł długo trwać: jak mgły... jak sny..
Kiedyś — w Zaduszny dzień — szarą godziną,
Maj taki będziesz wspominać i ty.

Przyjdiesz sięść może w tym oto fotelu,
Gdzie życia mego dzień powoli gasł..
Cyt! — cyt! — Niech wskrześnie widmo z przed lat wielu
 Ostatni raz.

Czemu tak drgnęły kwiaty - tam - na stole?
Wionęło chłodem... dziwnym... Przymknij drzwi..
Był maj. Wprost z sadu dróżka wiodła w pole..
 Śni mi się, śni.

Śni się... Jak błogo!... Cicho... I powoli
Na wszystko dziwny jakiś schodzi cień.
Daj mi, daj rękę!... Przeszło już. Nie boli!
Już odświęcony wiosny mej i doli
Zaduszny dzień.

PORTRET.

Wymalował artysta
Panią moją prześliczną;
Na wystawie stał portret,
Ciesząc gawiedź uliczną.

Tłum się cisnął przed obraz;
Ten, ów chwali, ten gani,
To raz biegłość malarza,
To znów wdzięki mej pani.

Stary radca rzekł głośno:
»Bardzo piękna osoba!«
Krytykowi się zwłaszcza
»Ton soczysty« podoba.

»Kto to taki, czy nie wiem?«
Ktoś mię pytał natrętnie;
Damy wszystkie z kolei
Mimo szły obojętnie.

Patrzę sam i podziwiam
Biegłość mistrza skończoną.
Tak, tak właśnie najczęściej
Oczy pani mej płoną!

Wszystko tak jak w naturze,
Odcień każdy znajdziecie —
Nawet serca ni śladu
W tym wybornym portrecie!

Z ARABESK.

Gdym chciał serdeczne skreślić udręczenia,
Rozmowę nagłym tyś przerwała zwrotem;
Skinęłaś główką, rzekłaś: »Do widzenia!
A... kiedyś, kiedyś... pomówimy o tem«.

Tym innym razem: była noc majowa.
(Sami pod nieba gwiazdzistym namiotem).
Miałem na ustach przenajtkliwsze słowa...
Czyś ty, królowo, zapomniała o tem?

Potem — ulicą szliśmy. Gwar śródmieścia
Targał nam nerwy nieznośnym loskotem.
Rzekłem: »O, wąż pamięci niewieścia!
A tyś szepnęła: »Ach!... nie mówmy o tem...«

Nie mówmy o tem! — O! kapryśna pani!
Znienawidzona — kochana. przelotem!
Otośmy w cichej oboje przystani — —
I mówić nigdy już nie będziemy — o tem.

EDMUND BOGDANOWICZ

(1859—1911).

BYŁ ZWYCZAJ ONGI.

Był zwyczaj ongi: Wenecya »czerwona«
Ślub zawierala z błękitami morza,
Które tuliła do marmurow łona.
Co rok z portyku purpurowy doża
Szedł i dziewicy dawał pierścień drogi;
Ta go rzucała do wód chłodnych łoża...
W noc ślubną, srebrną, w oblubieńca progi
Szła ona, którą zwą lagun królową —
Fala jej perły rzucała pod nogi,
A księżyc lampę zapalał nad głową.
Ja, miał pierścienia, rzuciłem jej słowa
I oczy moje posłałem płonące.
»Kocham cię, kocham!.. Patrz, jak płonie głowa,
I serce płonie, jak gwiazda, jak słońce...
O pójdz, pójdz droga!.. O, pójdz w me ramiona,
Niechaj cię czuję, tu na piersi zbliśka.
Bądź mi, jak róża cudna, zapłoniona,
Bądź mi, jak gwiazda, co błyska...
Bądź mi kochanką, co w objęciu kona,
Co splotem ramion jak węzami ściska...
O słodka moja, o ty... ubóstwiona!«

I oczy moje rozbliły w zieleni,
Zielona fala pochłoneła słowa.

Zachód już morze liści w krąg rumieni,
Na mchach się kładzie zorza purpurowa.
Szum idzie głębią... zerwie się, to stanie...
Ściół, szmaragdowe zadrżały podwoje.
— »O, idziesz do mnie, luba, na wezwanie!«
Głos szeptu słodki, cichy:
— »Dzicnię moje!«

ADAM M-SKI (MAŃKOWSKA)

(ur. około 1860, um. 1911).

WZIĄLEM CI WSZYSTKO.

Wziąłem ci wszystko, com mógł wziąć od ciebie:
Błękit twych oczu, by o nim śnić wiecznie,
Ilekcć zechcę zamarzyć o niebie;
Połysk twych włosów świecących słonecznie; —

Dźwięk twego głosu, by jak dumka słodka
Niósł mi o szczęściu i weselu wieści,
A gdy cierń nowy czoło moje spotka,
Był mi piastunką kojącą boleści; —

Szkarłat ust twoich, by mi lśnił jak róża,
Z któremi wietrzyk o rozkoszy szepce,
Jak te upojen czarodziejskie kruże,
Ku którym idąc, śmiało głóg się depce.

Wziąłem ci więcej, wziąłem duszę twoją
I roztopiłem w ogniu mego ducha,
I odtąd czuję, jak siły się dwoją,
Jak źródł natchnienia z piersi mej wybucha.

I tak mi błogo, gdy myślami memi
Łączę się z tobą, choć od cię daleki;
Choć wiem, że niema mocy na tej ziemi,
Coby złączyła nas; z pod mej powieki

Lza się nie toczy. – Wyciągam ramiona
Do gwiazd w błękity, z nich obraz twój spływa;
Ja go ukrywam w głębi mego łona,
Gdzie jak w kaplicy relikwia spoczywa.

USTA.

Usta, usta purpurowe,
Co za czar z was tknie?
Wy, łagodne i surowe
I natchnione i zmysłowe,
Usta, usta purpurowe,
Czemu o was śnić?

Róża wznosi krasną głowę,
Rój pszczoł ku niej mknie.
Cheą nektary pić miodowe
W krótkie, letnie dni czerwcowe;
Usta drogie, purpurowe,
Czemu o was śnić?

Tam, gdzie Ganges rwie spieniony,
Rośnie dziwny kwiat:
Ledwo dotknie mu korony,
Ginie owad pochwycony,
Usta, do was przytulony,
Konałbym tak rad!

Usta, widok wasz oszala!
Błogi, kto was tknie;

Lecz ten męki czuł Tantała,
Komu żądza pierś przepala,
A on, patrząc wiecznie zdala,
Znał was tylko w śnie.

JÓZEF WEYSSENHOFF

(ur. 1860).

DZIEŃ JAKI BĘDZIE?

I pójdziemy w te nasze aleje
Nocą ciepłą, przez zapach, przez rosę,
I pójdziemy tak... Kiedy rozdnieje,
Ja cię w ręku do łodzi zaniosę;

Naszą łódkę na blade zwierciadła
Popędzimy w kraj nowy, daleki,
Aż, gdzie Venus, od świtu wybladła,
Do srebrzystej nachyla się rzeki.

Fala, coraz już różowicząca,
Nieść nas będzie w ogromny blask wschodu;
A gdy pożar zapali się słońca,
Uciekniemy do lasu i chłodu.

Ja ci łożę z paproci uścielę,
Dzikie kwiaty poznoszę, maliny,
Každy kwiat i jagoda i zieleń
Śmiać się będą do mojej Jedyniej.

Ty mi rzucisz oczyma wdzięcznemu
Pocałunek błękitny, ja klęknię
U twych stóp na puszystym mchu ziemi
I opowiem ci sny moje piękne.

I przysięgnę, że z głębin wskrzeszona
Wielka moc, którąm sądził już w grobie,
Otworzyła pragnące ramiona
I wrywa się, Luba, ku tobie.

Ty odpowiesz — — A wtedy powstanie
Wonny wiatr i odezwą się sosny
Namowami na szal i kochanie —
Taki będzie ten dzień nasz miłosny.

SEX.

Dziś we śnie, podróże odbywszy niezumierne,
Usiedliśmy w słońcu przed chatą.
Zamgliły się skruczą twe oczy niewierne,
Wokoło paliło się lato.

U nóg twoich leżę i płacę z rozkoszy
I czuję dłoń twoją na włosach —
Mój uścisk nie gniewa cię, ani nie płoszy,
Bo lato się pali w niebiosach.

Ty mówisz: — Zapomnij mi zdrady i męki,
Pokochaj i sercu puść wodze;
Zaplotem mych ramion, pieszczotą mej ręki,
Słodczą cię ust mych nagrodzę.

— Przebaczę, zapomnę, choć dać-bym miał życie
Tej jednej godziny zapłatą — —
A wrzosy tak pachną, a w ciemnym błękicie
Żar dyszy i pali się lato.

JAN KASPROWICZ

(ur. 1860).

NIERAZ SIĘ PYTAM.

Nieraz się pytam, czy ja kocham ciebie?
Czy to nie blaski uczucia zwodnicze,
Podobne zorzy wieczornej na niebie,
Która, przed sobą widząc noc mogiły,
Jeszcze ostatnie wydobywa siły,
Jeszcze ostatnie chce rozdmuchać znicze
I płonąć.

Wówczas drętwieję i jestem lodowy,
Jakby mnie sztukmistrz uwięził w marmurze,
Jakby mi stopy przygniotły okowy,
Że na swą zwykłą nie umiem wejść drogę...
I chciałbym płakać, lecz płakać nie mogę,
I w niebios jasnym nie mogę lazurze
Utonąć.

Najdroższa moja! ty poznasz tę chwilę,
Gdy do uścisku zimne podam dłonie;
Kiedy źrenicę, co zniosła już tyle
Spójrzeń, przed twemi chcę zakrywać oczy...
Poznasz po smutku, co ją dziwnie mroczy
I po tej bruździe, która blade skronie
Rysuje.

Drzę i chcąc zabić duszącą mnie zmorę,
Wyrzekam cześć się i duszę swą własną
Obrzucam błotem i serce swe chore
Klnę, że do żadnych niezdolne uniesień –
Że mi starości rozpaczliwa jesień,
Mimo lat młodych, tkaninę przejasną
Już psuje...

O, wówczas spojrzysz! o, wówczas tej łzawej
Kaź na mem licu wypocząć źrenicy,
Co mnie z duchowej wyswobadza wrzawy
I w taką szatę spokoju mnie stroi,
Jak gdybym ślanał śród złotych podwoi,
Gdzie wieczne biją ze szczęścia gromnicy
Promienie.

O, wówczas spojrzysz, ty, pełna prostoty,
Ziemijskimi jeszcze nie skażona brudy!
Uśmiechem dziecka, co rzuca obroty
Sztucznych wysięcń, połączysz mnie z sobą:
I ożywiony czoło stawię grobom
I z tobą razem przejdę wszystkie grudy
I cienie.

PRZYPOMNIENIE.

Pamiętasz jeszcze, kiedyś cię za rękę
Pierwszy raz schwycił tą gorącą dłonią?
Wieczór był wtedy; ponad nami dzwonią,
Zdało się gwiazdy złocistą piosenkę.

Tys dłoń ścisnęła w miłosną podziękę,
A głębie ocz twych, ukryte pod skronią,

Białą jak marmur, zdrój w me serce ronią —
Ach! dziś to czuję — na nawałnic mękę.

Lecz wtedy cały w tobie zatopiony
Duch mój, jak okręt, któremu rozwinął
Żagle wiatr lekki, po twej fali płynął.

Wtędym nie myślał, że przyjdzie z tej strony —
Z mej własnej piersi — demon burz z pobladałą
Twarzą i słuźce to szczęścia zwierciadło.

CZEM JESTEŚ DLA MNIE?

Czem jesteś dla mnie? Tem światłem gorącym,
Siłą, co z ziemi wydobywa ziola,
Zlewa je wonią, stroi barw tysiącem,
Co sieje życie i radość dokoła,

Czem jesteś dla mnie? Myślą i tem rwącym
Technieniem uczucia, co w prostego zgoła
I ułomnego człeka wnętrzu śpiącym
Budzi niebiańskich hasel apostoła.

Czem jesteś dla mnie? Zapytaj to pytanie
W wielkich tajemnic świętym Alkoranie,
Ty dla mnie pierwsza w pierwszych milionie:

Wszak, aby godnie odpowiedzieć na nie,
Nie starczą, widzę, światło, barwy, wonie,
Myśl, ni uczucie, choć tak żywo płonie.

GDY MNIE OGARNIA ZMROK

Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I zło, uchodząc, poza sobą wlecze
Tabor swych skutków i w nicosć się toczy,
Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I znów oczyszczon i znowu ochoczy
Do tego życia, które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy,

Tulę do piersi ten mój skarb uroczy,
Ach! i całuję, pełen nowej siły,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

NIE WIEM, GDZIE JESTEŚ.

I.

Nie wiem, gdzie jesteś i czy wielkie, czarne
Twoje źrenice tak się jeszcze palą,
Jak ongi, w chwilach, dziś przymglonych dała
Sennych li wspomnień, ku którym się garnę

Słabym, ostatnim wysiłkiem żeglarza
Na szalejącej, złowróżbnej głębinie,
Kiedy mu wiosło z rąk zmęczonych ginie
I kiedy łódź się ku śmierci przeważa.

Nie wiem, czy dzisiaj, stanąwszy przedemną,
Nie snem, lecz jawą, umiałabyś jeszcze
W strunach mej duszy dawne wzbudzić dreszcze...

Alc twój obraz, odsunięty w ciemną,
Odległą przestrzeń, nęcić nie przestaje,
Jak nęcą owe z baśni niedościgłe raje.

II.

Nieraz cię widzę tak blisko, że usta
Chylę ku twoim, aby z ich kielicha
Wszystką wieczorną wypić woń, w tem cicha
Gaśniesz mi w oczach i znikasz, jak pusta
Bańka mydlana... Wnet ku duszy mojej
Przychodzisz znowu: Czy to ta, co mam
Nieugaszonej żądzы płomieniami,
Hańby się ludzkiej i wstydu nie boi.

I żar miłości, nie znający granic,
Ani prawideł, na przekorę świata
Z tchem najszczytniejszych bogomodleń brata?

Nie! sen to dawnych dni, który się na nic
Rychło rozwiewa, żalu tylko mgławą
Snując smugę za sobą, że nie jesteś — jawą.

O PORANKU.

Rozwiałą się twoje włosy,
Złote włosy twoje,
Jak jutrzniane

Błaski ranne
Tak ci się rozwiały...

 ak ta zorza,
Kiedy, hoża,
Wzejdzie na niebiosy,
By po łąkach i po lasach
Rozbudzić hejnały,
By rozdźwięczyć jasne zdroje
W pieśni tajemnicze,
Które słyszą tylko dusze
Z pośród dusz wybrane,
Tak dziewicze
Twe oblicze,
W młodości skapane,
Przyoblekło się w purpurę
I ponure
Moje wnętrze,
Zatopione w twoich krasach,
Co od dni letnich zdają się gorętsze,
Rozjaśnwszy radości promieniu,
Nastroiło je w weselny
Hymn...

Śmiertelny,
W nieszczęśliwych tłumie
Wychowany człowiek,
Kroczący przez głuszę
Ciemnego żywota
I nie wierzący, by dla jego powiek,
Przywykłych tylko do nocy,
Mogło zabłysnąć słońce
W swej wielkiej mocy,
Albo jutrznia złota

W swym słodkim wdzięku,
Czyż umie
Przyjąć bez lęku
To, co jest przeczeniem
Dotychczasowego bytu?

Czyliż to szczęście, co płynie
Twojej postaci,
Do wielonego podobnej zachwytu,
Nie jest tą hojną wieczerzą,
Skąpaną w winie
I w wyszukane owoce bogata,
Którą straceńcom w godzinie,
Nim sprawiedliwość wymierzą,
Podają prawa obrońce,
Litościwi kaci.
By koniec jeszcze był krwawszy?

Czyż się promienną szatą
Ten straszny odział kościotrup, nabrawszy
Świeżego ciała,
Aby omamić — wbrew fantazyi mniszej,
Że wypoczynek wśród jego uścisków
Nie jest rozkładem, lecz życiem
W rozkosznej ciszy,
Na ciepłym łonie
Którejś z niebianek?
Z złocistych błysków
Włos ten uwity, co-ć okala skromie,
Twarz, co się ku mnie podała,
Kwitnące kwieciem
Jedwabnych róż,
Nie jest-li jedną z złud, które przedemną
Wymarzył ondyn kochanek,

Shelley, niebiański poeta,
By wnet w pościgu za niemi,
Mogilę znaleźć ciemną
Śród głębin mórz?

Twoje włosy się rozwiały — ja dłońmi drżącym
Sięgam po nie: rzeczywistość, a nie snów podnieta!
Sięgam po nie i do wargi półotwartej tulę
I nie pytam już, co będzie! pieczę i całuję
Twoje złote, jasne włosy,
Co się tak rozwiały,
Jak jutrzniane
Błaski ranne.
Kiedy świt wspaniały
Operlony mgłami rosy,
Promienistą tkanę snuje
Dla ziemi zbudzonej,
Dla szczęśliwej, świeżej ziemi
Poślubną koszulę...

Zrumieniły się twe lica,
Twoje lica mleczone
Śród korony
Złotych włosów tak się zrumieniły,
Jak ta zorza,
Kiedy, hoża,
W pełni rajskiej siły
Na niebiesiech zajaśnieje
I rozleje
Czar na kwiaty, drzewa,
Na jezioro, które śpiewa
Głosem stujęcznym
Melodye odwieczne
I do fali

Smugi z dali
Przyciąga olbrzymie,
Błękitów kobierce,
Szafirowe,
W promienistość
Przystrojone nieba...

Szczęścia błyskawica
Przeniknęła elektrycznym
Prądem moje serce.
Usta szepcą twoje imię —
Wznoszę głowę, nie jak ślepiec, co się drogi boi,
Lecz pewnego świadom celu,
I w weselu
Rozpieśnionej duszy mojej,
Której nic nie trzeba,
Obejmuję cię w ramiona!
Obejmuję w ramion kleszcze,
Aż mi serce kona,
Twoją postać wiotką!
Obejmuję
I całuję
Jak ta zorza,
Kiedy, hoża,
Wезде na niebiosy
I światu przyświeca...
Jeszcze, jeszcze i wciąż jeszcze
Tulę, pieszczę
Twoją wargę słodką!
Tulę, pieszczę i całuję twoje jasne włosy,
Co naokół białej skroni tak ci się rozwiały,
Jak jutrzniane
Blaski ranne,
Jak ten świt wspaniały!..

MIRIAM (ZENON PRZESMYCKI)

(ur. 1861).

POD STOPY TWOJE...

Pod stopy twoje lilij kielichy,
Pod stopy twoje myrrę i nard;
Marzeń mych szychy, szkarłat mej pychy
Pod stopy twoje!

Krzyż, jaki prawy nieść musi bard,
Wnętrznych walk rany, zwycięstw przepychy,
Wszystko! — i dumy stalowy hart!

Chcę być przed tobą ubogi, lichy,
Czem jestem, byłem, co mam, com wart,
Skladam w upojnej ekstazie cichej
Pod stopy twoje.

LILIJNĄ JENO BIEL.

Lilijną jeno biel swych rąk
Na spiekle czolo połóż me,
Abym bezsłownie duchem kląkł
I widział w marzeń wonnej mgle
Lilijną jeno biel.

Zgaś w ócz ogniskach skrę po skrze,
Ust granatowy zasłon pęk,
Niech cicho, słodko, jasno śnię...

Ogłuszający zmysłów gong
Zmilka na sennej toni dnie,
Perłowy rozświt leje wkrąg
Lilijną jeno biel..

TWE USTA.

Twe usta na ustach mych
Jak złoty rozdźwiękły rym.
Noc spada — gwar miejski scichł...
— Twe usta!

Zadrgnęłaś? Oboje drżym?
Z ócz pierzeł ci rozkoszy śmiech.
Po lecie — mówisz — śnieg zim?

Niestety! — Gruz marny z puch,
Szych — z marzeń, z wulkanów — dym...
O! lecz mieć tylko w dniach złych
Twe usta!

RONDO - MADRYGAL.

W kołyszących się rytmach piosenka
Waha mi się na ustach, kolebie,
Woni wonią rosnącego róż pęka,
Mknie po niebie, o śniona, od ciebie
W kołyszących się rytmach.

Rzekłem sobie: »Pod sercem zagrzebie
 Wonnej pieśni pajęczę włókienka;
 Moja-ś po twej duszyczki pogrzebie!«

Pęka serca kryształna trumienka,
 Więzień pierzcha do ciebie w podniebie,
 Mnie ból w piersi — o, męka! — dodźwięka
 W kołyszących się rytmach.

NEGLI OCCHI PORTA LA MIA DONNA AMORE.

I.

Jam ci nie powiedział, ani ty mnie, Pani,
 A jednak kiedy nasze spotkają się oczy,
 Ja słodycz niezmierną w twych widzę przezroczy,
 Słodycz, jaka zbawieniem byłaby w otchłani.

I wtedy czar mię jakiś owiewa uroczy,
 I szepcę, wszystkie myśli niosąc tobie w dani:
 »Błogosławieni wszyscy smutni i znękani,
 Których takie spojrzenie swą wstęgą otoczy!«

I tak mi cicho w duszy, jak pod wieczór w borze,
 Gdy drzew gąszcz czerwienią zachodowe zorze,
 I tak mi w duszy tęskno, jak kiedy na niebie

Konstelacye rozblysną oczami złotemi,
 A ja dla nich nie mogę rzucić starej ziemi
 I lecieć, lecieć, lecieć!.. Czyżbym kochał ciebie?

II.

Tyś mi nic nie mówiła, ani też ja tobie,
A jednak, gdy się nasze spotkają źrenice,
Jakieś w mych widać grają ognie, błyskawice,
Jak o wiosennej wzruszeń, burz, nawałnic dobie.

Bo naprzód w łez dyamenty oczy twoje zdobię,
Potem w żywsze róż barwy ubicram twe lice,
A potem — sam już nie wiem, jak blaski rozświecę,
Co drgają w oku, w głowie, w całej twej osobie.

I stoisz tak przedemną, drżąca, bez wyrazu,
Naksztalt madonny słodkiej jasnego obrazu,
A twarz twa to w purpurach, to znów jak śnieg biała.

A ja patrzę z zachwytem w ten blask objawienia,
Co dziewicze twe czoło nagle opromienia
Wdziękiem niewysłowionym... Czyżbyś mnie kochała?

ANTONI LANGE

(ur. 1861).

O BŁAGAM JESZCZE!

O, błagam jeszcze! Gdy u stóp twych zgięty
Ja szukam słowa, co mogłoby cały
Żar moich uczuć ująć w dźwięk zaklęty;

Nic żądaj, błagam, abym dla twej chwały
Powtarzał ciągle: Kocham, Kocham Ciebie!
Bo mi te słowa zbyt złodowaciały.

Tysięczne usta w kłamliwej potrzebie
Tak zamroczyły ich blaski pierwotne.
Że dziś ich gwiazdy nie knią już na niebie.

I zdają mi się takie nieistotne
I tak obłudne w próżnym swym znaczeniu,
Że, nim wypowiem te dźwięki przewrotne,

Luba! Ja kochać cię będę w milczeniu.

PIEŚNI O POCALUNKACH.
(SCHERZO).

I.

Każdem marzeniem,
Każdem westchniciem,
I każdą moją tęsknotą —
Myśli wyrazem,
Wspomnień obrazem,
Każdą nadziei pieszczotą;

Każdym oddechem,
Każdym uśmiechem
I każdym kolan ugięciem;
Każdem spojrzeniem —
Słowem a tchnieniem
I każdym ręki dotknięciem;

Wszystkiem, co sniłem,
Wszystkiem, czem żyłem,
Wszystkiem na ziemi i w niebie;
Kochanko moja,
Wybranko moja —
Wszystkiem — jam całował ciebie! —

II.

Luba, jam całował
Jasne twoje oczy,
Wargi twe różane,
Pukle twych warkoczy.
Całowałem śnieżne
Czary twego łona,

Białe twoje ręce,
Białe twe ramiona.

Całowałem ciebie
W skromnej twej świetlicy;
Całowałem w parku
Samotnej ulicy.
Całowałem ciebie
Pośród pól złocistych,
Pośród łąk zielonych,
Śród gajów cienistych.

Całowałem ciebie,
Gdy wschodziło słońce,
Całowałem ciebie
W południa gorące.
O wieczornej zorzy
I śród nocy ciemnej,
Gdy anioły lecą,
Dzwoniąc psalm tajemny.

FRAGMENT.

My się nie możemy kochać, jak gołębie!
Dwie nasze dusze są, jak dwie otchłanie,
Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie
I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie

Czasem je siła nieznaną porywa:
Padamy w cienie jakichś nocy czarnych,
Kędy samotność dumna i straszliwa
Króluje nakształt sił elementarnych.

Czasami płoniem ognistym wybuchem
I pożar pożar iskrami podsycę,
I duch się jeden zlewa z drugim duchem,
Jak chmura z chmurą, z mgławicą mgławica.

Naraz rzucamy te podniebne loty,
Mrok od otchłani zionął ku otchłani;
Znów samotności czujemy tęsknoty
I idziem gorzcy i rozczarowani!

Nie wciąż się równo toczy wielka rzeka,
Opływa lasy i góry i sioła,
I różnie działa jej fala daleka:
Ma w sobie czarta, ma w sobie aniola!

I duchów naszych te głębie otchłanne
Mają swej jaźni wieczne tajemnice:
Mają swe tęcze i zorze poranne,
I swoje wichry — i swe błyskawice.

Czuję te burze, co żalobną tużą
Królują w tajniach duszy twej głębokiej;
Słyszę te wichry, co w sercu twem huczą,
Widzę twe tęcze i widzę twe mroki.

Twój duch jest niby ciemny bor, gdzie sosny
I dęby kwitną pośród iw tysiąca;
Którędy wichry przelata żaloszny
I o zielenie twych drzew się roztrąca.

Jam jest jak równia puszczy rozpalonej,
Której bezpłodne piaski w wir się kłębią,
Po której wichry dmie nieposkromiony,
Chyba nad morską zatrzyma się głębią.

Wichry pustyni i wichry te leśne,
Kiedy się razem zejdą w swym poszumie —
Wzajem oddechy swe karnią bezkreśne
I otchłan otchłan jak siostrę rozumie.

Bo czujesz w świętej owej tajemnicy
Tchnienie świadome samoistnej duszy,
Lot białoskrzydły królewskiej orlicy,
Wicher po leśnej szalejący głuszy.

I miłość nasza zda się nieraz walką,
Dwóch potęg ciemnych, dwóch dusz nieśmiertelnych,
I z których każda pragnie być westalką,
I strzeże wiecznie swych zniczów udzielnych.

Aż oba wichry — i otchłanie obie
W dzień uroczysty, przez pragnienie jedno
Dążąc ku sobie, zlewają się w sobie
I w niebo płyną drogą snu bezwiedną.

Kocham cię za to, że jesteś otchłania,
Kocham cię za to, że jesteś orlicą,
I że się wichry w duszy twej orkanią —
I żeś jest chmurą, i żeś jest mgławicą!

STORNELLE.

I.

Kwiecie różany,
Jak igły ostre kolce masz, a przecie
Zrywam purpurę twą — pomimo rany!

Różany kwiecie,
 Jesteś jak usta dziewicze! Nieznany
 Jad w nich, a jednak pragnę ich, jak dziecię!

II.

O kwiecie lilii,
 Madonna białą twoją suknię plecie,
 Luba ma kornic przed tobą się chyli'
 O lilii kwiecie,
 Gdy się modlicie — ty z nią — w jednej chwili
 Czuję się w jakimś archanielskim świecie

RIFIORITA.

Kwiaty zaschnięte,
 Między kartami mych ksiąg zachowane,
 W was me wspomnienia — moje sny zakłęte!

Myśmy je razem pośród łąk zrywali,
 Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

W was me wspomnienia — moje sny zakłęte —
 Uśmiechy wszystkie — i łzy wyplakane —

Myśmy je razem pośród łąk zrywali
 Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

Uśmiechy wszystkie — i łzy wyplakane
 I pocałowań kwiaty wniebowzięte —

Myśmy je razem pośród łąk zrywali.
 Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

I pocałowań kwiaty wniebowzięte —
I słodkich objęć kwiaty nieskalane!

Myśmy je razem pośród łąk zrywali.
Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

MŁYNARECZKA.

O, gdybyś ty mnie kochała,
Młynareczko złotowłosa!
Chłopcabyś wiernego miała
Niczemby mi deszcz i rosa!
 Kochałbym cię bez panuści.
 Z oczu twoich pił wesele...
 Wiatrak kręci się a kręci,
 Miele zboże, miele, miele!...

Całowałbym twe oczęta
I twój warkocz jasno-złoty,
I żyłabyś uśmiechnięta
Na pieszczoty, nie roboty.
 Hej, czyż garnki lepią święci?
 Ja robotę twą podzielę!...
 Wiatrak kręci się a kręci,
 Miele zboże, miele, miele!...

Sambym przystał do młynarzy,
Sambym nosił wory mąki,
A w nagrodę, jak się zdarzy,
Brałbym słodkie pocałunki!
 Bądź mi w sercu dobrej chęci,
 Młynareczko, mój aniele!...
 Wiatrak kręci się a kręci,
 Miele zboże, miele, miele!...

VITA NOVA.

(FRAGMENT).

Znów ja przed tobą klęczący i korny,
Zhywszy się żalu, goryczy i pychy,
Złamawszy wichry mej duszy niesfornej —
W oczy twe patrzę, niby dziecko cichy.

W oczy twe patrzę w pokorze błagalnej —
O jeden promień błagam twojej łaski;
Niech mi znów błysnie ten czar niewidzialny,
Co wlewał we mnie natchnienia i blaski.

Abyś tam wyżej stanęła nademną,
Im niżej wola złośliwych przeznaczeń
Mnie w jakąś otchłań pogrążyła ciemną:
Dałem ci wszystkie rozkosze przebaczeń.

Wszystko, co bóstwu należy się z prawa,
Łask wywołanie i uśmiech dobroci —
Wszystko ci dałem, bogini łaskawa;
Jak drogi klejnot niech to skroń twą złoci.

A ja — przebaczeń i łask twych niegodny
Duch marnotrawny — na klęczkach dziś stoję —
Rychło-li z twojej źrenicy pogodnej
Wybłyśnie nowe przeznaczenie moje!

KAZIMIERZ LASKOWSKI

(ur. 1861).

DZIEWCZYNO, PÓJDŹ.

Dziewczyno, pójdź! Choć sine mgły,
Choć wicher gra żałośnie,
Póki pierś z piersią ja i ty
Możemy śnić o wiosnie!

Dziewczyno, pójdź! Choć z nagich drzew
Ptak drżący mknie wyrajem,
Póki nam w piersiach dzwoni krew,
Świat cały dla nas majem!

Dziewczyno, pójdź! Choć zwiędły liść
Żaloby nutą szumi,
Póki pierś z piersią mozem iść,
Wesela nie nie stłumi!

Dziewczyno, pójdź! Choć sine mgły,
Choć wicher gra żalosno,
Póki pierś z piersią ja i ty.
Przed nami kwiaty rosą.

Dziewczyno, pójdź! Choć z nagich drzew
Odleciał ptak wyrajem...
Przed nami pieśń, przed nami śpiew,
Przed nami świat łśni majem!

Dziewczyno, pójdź! Choć jesień już
Powiedłym liściem toczy,
Przedemną raj z wiązką róż,
Gdy patrzę w twoje oczy!

Przedemną maj, przedemną raj,
Gdy pierś twa u mej bije!
Dziewczyno, pójdź, rączęta daj,
Daj objąć się za szyję!

Dziewczyno, pójdź! Z twych słodkich warg
Uczynię marzeń krosna...
I będziem snić bez żalu, skarg,
Że znowu świeci wiosna!

MAZUREK

Nie brońże mi się,
Dziewczyno!
Nie wzdragaj się, nie!
Toć powrócę,
Nie porzucę —
Albo nam to źle
Ze sobą,
Albo nam to źle!

Pobierzewa się
Niedługo!
Na zapowiedź dam,
Wódki kupię
I w chałupie



ALFRED WIEBUSZ KOWALSKI WESOLA JAZDA

Próżno patrzę
A poglądam,
Gdzie się słońko skrzy..
Darmo gonię myślą, wzrokiem
Za zorzeńką, za obłokiem, —
Wszędy jeno ty!
Milejsza!
Wszędy jeno ty!

Płynie nocka,
Gwiazdy świecą
Kiej w mych oczach lży!
Pod miesiącek, pod srebrzony
Kładnę serce rozżalony,
A w tem sercu ty!
Kwiatuszk! —
A w tem sercu ty!

Co ci w duszy
Gra jagodo,
Z nową wiosną gra?
Pewnie w piersiach bije młotem,
Dzwoni srebrem, dzwoni złotem..
A w mych jeno lka
Przez ciebie!
A w mych jeno lka!

Idę w pola
W gaj szumiący..
Wietrzyk eelia gna..
Ptak się cieszy, świat raduje..
A ja słucham... nasłuchuję..
Moja nuta lka
Za tobą,
Aż rozlega! lka!

Chociaż utnę
 Po skrzypicy,
 Że aż w strunach drga —
 Na nie! Co ja raźniej smykiem,
 To się od strun zrywa krzykiem,
 Twem imieniem łka
 Do bólu,
 Twem imieniem łka!

O czym ci się
 Śni dziewczyno,
 Z nową wiosną śni?
 Nie chcę, nie śmiem zajrzeć w duszę,
 Ale to ci rzeknąć muszę,
 Że mnie jeno lży.
 Jak rosy,
 A w tych rosach... ty!

WALCZYK.

Dziewczyno
 Kalino,
 Nie zważaj na włos...
 Nie lata
 Go srebrzą,
 Lecz dola i los.

Na mgnienie
 Wspomnienie
 Niech skradnę z twych lic,
 O więcej,
 Dziewczyno,
 Nie proszę ja nie.

Choć życie
W przesycie
Schmurzyło mi brew.
Pierś bije,
Dziewczyno,
A w żyłach wre krew!

Schyl skronie,
Daj dłonie,
Dziewczyno i w szal!
Wypijem
Do mętów,
Co w czarę los lał!

Pójdź śmieie,
Aniele,
Rozkołysz, daj śnić!
Wszak życie
Jest jedno,
Życie trzeba, więc żyć!

Bez lęku
Przy dźwięku
Walczyka, spleć dłoń,
Pierś z piersią,
Dziewczyno,
A potem... choć w ton!

Pójdź, maju,
Nim z raju
Wypędzi nas świt...
Chwil szalu
Niewiele,
A reszta, to... mit!

Dziewczyno,
Kalino,
Nie zważaj na włos..
Nie lata
Go srebrzą,
Lecz dola i los!

STANISŁAW ROSSOWSKI

(ur. 1861).

TA CZWARTA...

Czterech chłopców, a trzy róże...
Jakże je rozdzielić?
Róż zamała; ich – zawiele,
Komuż tedy kwiaty dać?
O serduszko moje, nuże
Radź mi, radź!

Kuzyneczku, grzeczny, miły,
Stoisz pierwszy w rzędzie;
Pierwsza biała twoja będzie
W niewinności zdobna puch..
Losy nam nie przeznaczyły
Tamtych dwóch...

Płomienistą masz ty, panie,
Natarczywy srodze.
Patrz, co żaru w tej niebodze!
Serce twoje — przyznać chciej,
Zyska symbol i uznanie
W róży tej..

Innej znowu barwy pączki
Tobie się należą,
Który ciągle skargą świeżą

Dręczysz mnie tak rad...
Zazdrośniku! weź z mej rączki
Żółty kwiat.

O! i wszystkie... Cóż dam tobie
O, milczący dumnie?
Ty róż także szukasz u mnie?
Nie bój się! nie wyjdiesz źle!
Zamiast róży — wiem, co zrobię —
Weźmij... mnie!

Od tej chwili, mówię szczerze, gdym ja społkał na
[spacerze,
Jak z swą ciocią po trotuarze, niby bóstwo jakieś,
[szła —
Codzieli z sercem rozkrwawionem, ale z czołem pod-
[niesionem,
Pod kamiennym jej balkonem przechodziłem razy dwa...
Regularnie jak zegarek przechodziłem razy dwa —
Straszną była miłość ma!

Więc radośnie snulem plany, jak w dzień bału uko-
[chanej
Mojej będę przedstawiony i nastąpi związek dusz...
Jak jej, niby od niechcenia, zlekka dam do zrozumienia,
Że jej piękny ch ócz spojrzenia ranią mnie jak kolce róż,
Że utkwiły w mojem sercu, jakby wonnych kolce róż,
Że krasniejszą jest od zórz.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień, więc biegam na
[wsze strony,
By czasami się nie znalazł w tualetcie jaki brak.
Wyczyściwszy z wielką biedą blaszki mych guzików
[kredą
I skropiwszy się rezedą, żem jak wonny woniał krzak,
Bo wiem, że rezedy lubią panienczki wonny krzak,
Wkładam mundur — gdybyż frak!

Gdybyż frak! bo wówczas pewny byłbym łaski mej
[królowny,
Ach! bo ubiór ten powiewny ma dla panien dziwny
[czar.
Lecz gdy niema innej rady, wkładam mundur cały
[blady
I zabrawszy dla parady rękawiczek kilka par,

Ruszam, mając w swej kieszeni rękawiczek kilka par,
A w swem sercu — straszny żat.

Ach, pamiętam to, jak wczora! Była już spóźniona
[póra —
Wchodzę... sala przepelniona iskrzy się od światła! stu.
Ledwicom gospodyni rączki cmoknął, czuje, że gorączki
Przebiegają mnie zajączki, bo już widzę: ona tu!
Nogi się pode mną chwieja, bo już widzę: ona tu,
Ach, i w piersiach brak mi lechu.

Któż zmieszanie me okréśli? Nie zdołałem zebrać myśli,
Aż tu ktoś pod rękę chwyta i przedstawia migiem już
Kłaniam się przed nią królową, ona zlekka kiwa głową,
A ja myślę, jakie słowo szepnąć jej o związku dusz,
Bo wszak trzeba coś powiedzieć, by nastąpił związek
A tu zacząć — ani rusz! [dusz...

Szczęściem, skocznej polki dźwięki wybawiły mnie z tej
[męki;
Proszę ją — i wnet po sali w lekkim tańcu ze mną
[mknie.
Zrazu wszystko dobrze było, a na sercu lekko, miło.
A wtem licho mnie skusiło, żeby w lewo zwrócić się
Kiedy w prawo dobrze idzie, poco w lewo zwracać się?
Straszna rzecz spotkała mnie.

Takt zgubiłem, tracę drogę, chcę się zwrócić i nie mogę
I, o zgrozo! na jej nogę następuję — ciężko rzec.
Po tem strasznem wydarzeniu, w ostatecznem osłu-
[pieniu
Zostawiam ją na siedzeniu, a sam znykam aż pod piec.
Cóż innego miałem robić, jak nie znykać aż pod piec,
Choćbym wolał trupem ledz.

Od tej chwili koło pieca stałem prosto niby świeca
I, nie śmiejąc tańczyć więcej, tęskny ku niej stałem
[wzrok.

Gdzie się tylko obracała, czy tańczyła, czy siedziała,
Wzrok mój za nią biegł jak strzała, wypatrywał każdy
[krok,

Z uwielbieniem i rozkoszą wypatrywał każdy krok,
Każdy w tańcu lekki skok.

Ach, jak piękną była ona! Lekka jakby puch zasłona
Okrywała jej ramiona, niby różę srebrny śnieg,
A jej jasnych włosów sploty, nakształ wielkiej chmury
[złotej,

Jak współniczki jej ochoty, mknęły za nią w tanca bieg,
A gdy na mnie wzrok rzucała unoszona w tańca bieg,
Blask jej oczu serce piekł.

Więc czy dziwie się natchy, że gdy nagle śród mło-
[dzieży

Ruch się zrobił, bo już dano do kolacy miły znak,
Ja z pod pieca raptem wstaję i minawszy innych
[zgraję

Rękę swoją jej podaję, cały w ogniu niby rak,
I do stołu ją prowadzę, cały w ogniu niby rak,
Nic wiem skąd i nie wiem jak.

Lecz gdy z nią do stołu śpieszę, moeno w myśli mej
[się cieszę,

Że mnie tak poruszył w porę jakiś dziwnie szczęsny
[traf,

Ona bowiem patrzy wkoło i uśmiecha się wesoło.
Więc i ja podnoszę czoło i jak dumny krocę paw,
Ona idzie jak królowa, ja jak dumny krocę paw
W szczęściu drga mi każdy staw.

I siadamy. Któż jeść może, Boże wielki, w takiej porze,
 Kiedy obok dziewczę hoże, przedmiot skrytych serca
 [bić,

Siedzi sobie najwygodniej. Nie! to byłby rodzaj zbrodni.
 Zakochani przecie głodni nigdy nie powinni być,
 Chyba uczuć; więc nie nie jeni, gdy nie wolno gło-
 [dnym być,
 Nawet wody nie śmiem pić.

Ale miast rozmawiać raznie, puszczam w lot swą
 [wyobraźnię
 I zapadam w rozmarzenia jedną z najstraszniejszych
 [faz.

Zdaje mi się, że daleko płynę z nią srebrzystą rzeką,
 Ktorej fale zwolna cieką, a dokoła szumi las...
 Że rozmawiam z nią cichutko, a dokoła szumi las
 I tak słodko mijają czas.

Ach! i jeszcze mi się zdaje, że za lasem księżyc wstaje,
 Że jej serce mięknie, taje, pod wyznaniem słodkiem
 [mem,
 Że uczucie moje dzieli i płyniemy w dal weseli,
 W księżycowej tonię bieli, oddychając jednym tchem.
 Że mnie ona kocha... Wtem!

Wtem... spostrzegam — słodka chwila - jej usteczek
 [się rozchyła
 Koronowa branka mała, jak szkarłatny pączek róż —
 Z ustek, jak zefiru tchnienie, wylatuje w świat wes-
 [tchnienie,
 A ja wpadam w uniesienie, że nastąpi związek dusz,
 Że rozumie mnie, gdy wzdycha... i nastąpi związek
 [dusz.
 Teraz trzeba mówić już!

Więc oparłszy wzrok mój na niej, zwolna mówię do
 [niej: »Pani!
 Ty westchnęłaś, więc rozumiesz, co się dzieje w du-
 [szy mej,
 Znasz uczucie, co mnie rani, może nawet dzielisz, pani,
 To, co w sercu czuję dla niej. Więc pociechę w serce
 [wlec],
 Odpowiedzieć słówkiem chciej!»

Ona nawpół nieprzytomnie, nagle się obraca do mnie,
 Róże lic jej dziwnie blade, oczy zaszała jakaś mgła.
 O, wyraźnie jest wzruszona, więc z nadzieją w głębi
 [łona
 Czekam, co też powie ona... Wreszcie słyszę, mówi: »aa.
 Pomilczała przez czas jakiś, wreszcie słyszę, mówi: »aa,
 Potem ziewa raz i dwa!

Ziewa! czy mnie oko myli? Wtem odzły wa się po chwili:
 »Pan coś mówił, nie słyszałam, bo mi strasznie spać
 [się chce.
 Jako, ona spać chce, ziewa — gdy ni z serca się
 [wylewa
 Miłość taka, żeby drzewa kawał nawet zatlił się.
 Och, jakże zawiodła mnie!

O, kobiety, coście warte! My stawiamy wam na kartę
 Nasze serca i marzenia, wy ziewacie na to... Nie!
 Raz przez taką ranion strzałę, rękę, przez gimnazjum
 [całe
 Będę w piersi nosił skałę, i już zacząć kochać się,
 Chyba, jak studentem będę... Wtedy mogę kochać się,
 Bo już tak nie złapią mnie.

W NOC LETNIĄ.

I.

Słyszysz, luba, ten szept cichy
Nocną dołą,
Te szemrzące wokół głosy?
Wonnych kwiatów to kielichy,
Otulone w krople rosy,
Gwarzą sennie między sobą.

Chcesz podsłuchać razem ze mną
Kwiatów płotki?
Miłość nasza je zachwyca,
O niej gwarzą nocą ciemną.
— Nie widziałam — bładolica
Mówi lilja — takiej słodkiej.

— Nie pamiętam tak prawdziwej —
Fiołek mały
Szepnął z cicha wśród pacierzy.
— Ani — westchnął goździk tkliwy —
Takiej rzwanej, czystej, świeżej,
Nieśmiertelnik:
- Ni tak stałej.

Obudzona tym szelestem
Z dumy sennej,
Rzekła róża, płonąć cała:
— Choć miłości kwiatem jestem,
Nigdy jeszcze nie widziała
Tak gorącej i płomiennej

II.

Ciepło i ciemność otuliły ziemię.
Żaden blask nie drgnie, gwiazda nie zamruga,
W gałęzi splotach każdy listek drzemie..
Czemu jak wieczność noc ta nie jest długa?

Ciepło i ciemność otuli ziemię.
Najdroższa, tylko dłoń twą czuję w dłoni.
Ciepło to miłość, ciemność — zapomnienie.
Więc zapomnijmy o czasie pogoni,
O tem, że kiedyś słońca jest jaśnienie,
Wiew jakichś wiewrow, jakichś myśli brzemie!

Ciepło i ciemność otuliły ziemię;
Ciepło to miłość, ciemność — zapomnienie.
Najdroższa, tylko dłoń twą czuję w dłoni..

Najdroższa! dusze utopmy w tej toni,
Lecz jej nawet nie zmać fal drgnienie..
Ciepło i ciemność otuliły ziemię,
Ciepło to miłość, ciemność — zapomnienie.

O! jak rozkosznie zrzucić myśli brzemie
I trwać tak razem długo, nieskończenie,
W cieple i mroku, dłoń trzymając w dłoni..

K. M. GORSKI

(1862–1909).

WIOSENNE UKOJENIA.

Wszystkie moje łzy i smutki
Pochłonęły niezabudki.

Z moich pragnień i tęsknoty
Powyrastał jaskier złoty.

Niem szalu znał przed laty,
Przeszło w pełnych róż szkarłaty.

W czyste lilie się zamienia
Zwątpień ból i przebaczenia

Oto wstaje wiatr i zwieje
Marne troski i nadzieje.

I nad serca mego ciszą
Śpiewne już skowronki wiszą.

SONET.

Prozno się ze słów bez życia, krwi, kuszę
Dobyć jej piękność, jak rzeźbiarz z kamienia:
Wykrzesać świeżość lic, połysk ramienia,
Kształt szyi krągłej — i stal dłuta kruszę.

Bo, gdy wyciosam linie, wiem, że muszę
Myśl znaleźć, co je z wewnątrz *opromienia*
I że mi serce każe bez wytchnienia
Śledzić, aż chwycę na marmury duszę.

A ja się w oczu barwie zakochałem,
W ust krwi gorącej, w ramieniu jej białem
I pięknym kształtom niesłem miłość grecką.

Dziś, gdy jej wargę pocałuję krasną,
Chciałbym jej duszę duszą wypić własną.
Tak Psyche przywiódł mi Amor, zdradziecko.

WACŁAW ROLICZ-LIEDER

(1863—1902).

DO FIOŁKOWYCH OCZU.

Wpatrzony w oczy twoje fiołkowe,
Płynę myślami w jakąś dal przestrzenną,
A za mną kędys milkną w oddaleniu,
Krzykliwe tłumy zawiedzionych trosk:
Troski to panny szalone, a człowiek
Dający posłuch im — stokroć szaleńszy.

Bóg mi twe oczy zesłał fiołkowe,
Abym myśl wyrwał w jakąś dal przestrzenną
I, kiedy wieczór mrok smętny rozlewa,
Był bez goryczy, bez żalu i trosk:
Troski to panny szalone, a człowiek
Dający posłuch im — stokroć szaleńszy.

Całuję oczy twoje fiołkowe
I płynę, płynę w jakąś dal przestrzenną
Cichy, spokojny i ufny, wierzący,
Jak gdybym nie znał zasepionych trosk:
Troski to panny szalone, a człowiek
Dający posłuch im — stokroć szaleńszy.

Obym mógł w oczy twoje fiołkowe,
Wpatrzony wiecznie, płynąć w dal przestrzenną

I tak przypadkiem, raz jeden, niechęcy,
Zamrzeć, odbiegłszy od bólów i trosk:
Troski to panny szalone, a człowiek
Dajacy posłuch im — stokroć szaleńszy.

KAZIMIERZ TETMAJER

(ur. 1863).

GDYBYŚ TY BYŁA.

Gdybys ty była szklannem jeziorem,
Patrzyłbym w toń twą przez całe życie;
Gdybyś ty była zielonym borem,
Słuchałbym szumu twego w zachwycie;
Gdybyś ty była pustką bezludną,
Dla ciebie świata zrzekłbym się śmieie;
Gdybyś ty była śmiercią — o cudna! —
Szedłbym do ciebie jak na wesela.

Z LEZ, KTÓRI..

Z lez, które dla mnie mgliły twoje oczy,
Różaniec w mojej uwilem pamięci.
Kiedy mię cisza wieczorna otoczy
I spokój lasów tatrzańskich okoli:
Idąc, jak ludzie od świata odcięci
Ofiarą duszy i Bóstwa miłością,
Pod lasu cieniem i nieba cichością
Różaniec z lez twych przesuwam powoli.

JAK DEMON GŁOS TWÓJ..

Jak Demon głos twój krąży mi nad głową,
 Jak Demon z ognia rozpościera pióra —
 Chmurą mię żaru owija ogniową,
 W bezmiar mię, w zaświat porywa ta chmura...
 Lecę w toń, ginę... Kocham cię! Przyjdź do mnie!
 Ach! Gdyby rzucić te cielesne pęta!..
 Ojczyzna nasza, patrz! nieogarnięta!
 Morza, pustynie rozlane ogromnie...
 Ojczyzna nasza, patrz! te wichry kwiatów,
 Te kłęby tonów, te światła orkany!
 Ojczyzna nasza: ocean wczbrany
 Wszystkimi płomieniami, wszystkimi pięknem światów!
 Pójdź! Niech się wali na druzgi strzaskany
 Krąg ziemi! Niech się w proch rozpada cała!
 Pójdź! Ramionami owinę cię, biała —
 Pójdź ze mną! W niebo, czy w przepaść podziemną:
 Serce przy sercu, w dłoni dłoń: pójdź ze mną!..

KOCHAM CIĘ ZA TO...

Kocham cię za to, że cię kochać muszę,
 Kocham cię za to, że cię wielbić mogę,
 Kocham cię za to, żeś ty mi jedyna
 Piękną kobiecą objawiła duszę,
 Że się przed tobą kolano ugina
 I myśl o tobie każda niesie trwozę
 I niepokoi się tem i pamięta,
 Żeś może dla niej za czysta, za święta...

O, POŁÓŻ, POŁÓŻ MI NA OCZACH DŁONIE...

O połóż, połóż mi na oczach dłonie!
Słyszysz, jak krew mi w każdej tętni żyje?
Czujesz, jak każda kropla krwi mej płonie?
I cóż?! Po ziemskiej tej ohydnej bryle
Przewiewać będzie zawsze wiatr mogilny
I zawsze pełną będzie fez i zgrzytu
W niemych objęciach wielkiego błękitu —
I cóż z porywów i żądz bezsilnej?!
Pospęne widmo... Łata mię już goni
Z potem na czole, z ranami na dłoni,
I każdą chęć ma, każdą żądzę miesza —
Wiem, znam cię! znam cię! tyś cierpiąca rzesza...
Tak, słyszę! czuje! Wiem, gdzie iść się winno,
Wiem, czego żądasz ty od nas na świecie —
Niech mię więc wicher z pola, jak pył zmiecie.
Jeżeli służbę zaniedbał powiną!
Rozumiem wszystko. Jeśli moją drogą
Idąc, nie krzepię, nie bronię nikogo,
Jeśli me słowo ni tarczą, ni chlebem.
Ni krzykiem krzywdy, ni skargi jest echem:
Niech runę w przepaść z tym śmiertelnym grzechem
I niech niepamięć będzie mi pogrzebem!..

MOJA MIŁA...

Moja miła ma cudne usteczka,
Ma usteczka jak wiosenne rano
Moja miła jest cała melodyą
Gdzieś na łąkach i kwiatach śpiewaną...

Na usteczkach mojej milej oczu
Zawisają, jak na polnym kwieci
Moja miła jest stworzona na to,
Aby przez nią śnić o innym świecie...

A KIEDY BĘDZIESZ MOJĄ ŻONĄ.

A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy.
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady.
Pachnąć nam będą winogrody,
I róże śliczne i powoje
Całować będą włosy twoje

Pójdziemy cisi, zamysłeni,
Wśród złotych przynęł i prouieni,
Pójdziemy wolno alejami,
Pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy pięć się srebrną grzędą,
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy

Ubiorę cię w błękit kwiatów
Niezapominek i bławatów,
Ustroję cię w paproć młoda
I świat rozświetle twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
 Wśród złotych przymgłeń i promieni,
 Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
 Kędy drzewi miłość nam otworzy.

KOCHAM CIĘ, ŚWIATŁO..

Kocham cię, światło!.. Na moje źrenice
 Zlewasz się falą: nurzam się w niej, tonę,
 Oczy ku tobie wznoszę rozłęsknione,
 Na twej jasności promienną mgławicę.

Kocham cię, jasna! Patrzę na twe lice,
 Oczu szafiry rzęsą ozłoczone,
 Na krasę twoich ust — patrzę i płonę,
 Tem więcej pragnąc, im więcej się syć..

Kiedy mię światło falą opronienia,
 Zda mi się, czuję twoje uściśnienia,
 A gdy w raniona, ciebie, jasna, chwytam:

Całą mi światła płonie świat ozdoba,
 I sam już nie wiem i sam siebie pytam:
 Czyś ty jest światłem? czy światło jest tobą?

TYLE LAT ZBIEGŁO..

Tyle lat zbiegło, a jam jeszcze do tei
 Nie przywykł myśli, że dla mnie stracona,
 Że nie zostało mi nic, prócz tęsknot.

Jeszcze wyciągam ku niej me ramiona,
Jeszcze jej czekam, jeszcze marzę o niej,
A wiem, że nigdy nie powróci ona...

Obraz jej wszędzie, zawsze za mną goni,
Wiecznem jest niebem mojego marzenia
I wiecznem dnem jest w uczuć moich toni

Czas biegnąc wiele niszczy i odmienia
I wiele grzebie w niepamięci pyle,
Lecz jej nie wydrze z mojego wspomnienia,

Jak jej nie wydarł, choć lat zbiegło tyle...

OLBRZYMI, ŚWIETNY KWIAT...

Olbrymi, świetny kwiat — odurza mię swą wonią,
Oślepia barwą, w sieć chwyta mię swych gałęzi,
Próżno się wyrwać chcę: wszędy mię one gonią,
Gdziekolwiek jestem, sieć oplata mię i więzi.

Lubieżny uścisk jej, jak ramion oplecenie,
Szkarłat ma krasnych ust, Ion śnieżność kielich kwiatu,
Szmer liści, jako szept namiętny i westchnienie,
Podobna jego woń do włosów aromatu.

Czuję, jak serce me odrętwia kwiat olbrymi,
Jak mózg wysusza mój, jak siły wchłania moje,
Wyssana ze mnie krew w kielichach jego dymi,
Lecz próżno z siebie chcę gałęzi stracić zwoje.

CZEMU DZIŚ MÓJ KOCHANEK..

»Czemu dziś mój kochanek ze schylonem czołem
Siedzi tak zadumany? Czemu lice twoje
Od białości tak białe, jak poszewek płótno,
Gdzie tylekroć się wsparły głowy nasze społem,
Gdy byliśmy jako dwa splecione powoje — —
Przychodzę cie popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już księżyc wypłynął na nieba sklepienie,
Cicha nocy muzyka grać już rozpoczyna,
Jakby księżyc był harfą dźwiękami rozrzuconą,
A strunami drgające, srebrzyste promienie;
Jest to błogosławiona kochankom godzina — —
Przychodzę cie popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już cichy mrok nocny mgłą owinał drzewa,
Ćma skrzydłami o szyby okienne trzepoce,
Mknie nietoperz zajęty pogonią okrutną,
Wszystko staje się szare, usypia, omdlewa...
Zgaś świecę — — gdyśmy razem, zbyt krótkie są noce!
Przychodzę cie popieścić — czemu ci tak smutno?«

Kochanko, wczoraj różę przyniosłaś mi świeżą,
Dziś straciła już zapach i kolor — umiera —
Kiedym na ten kwiat patrzył, dziwną wizję miałem —
Zdało mi się, że w grobie zwłoki twoje leżą,
A grób ten się powoli przedemną otwiera
I dźwignęło się wisko trunny nad twem ciałem.

Byłaś podobna sobie, lecz jakże zmieniona!..
Cała woskowej barwy, twe oczy błękitne
Zapadły się w głąb czaszki, zamglone i szkliste;

Rój robakow się wgryzał do twojego łona.
Kłębił się, pożerając biodra aksamitne,
Wkręcał się w twoich włosów jedwabiec złociste.

Gdyś weszła tu, zniknęło okropnie zjawisko,
Lecz pamięć jego w mózg mój wdziera się namiętanie,
Niosąc ze sobą zgrozę, szyderstwo i trwogę —
Czujesz?... Śmierć jest nad nami tak blisko, tak blisko.
Słyszałbym krok jej w każdym sercu twego tętnie,
Zbyt mi straszno i smutno — — prześcić cię nie mogę..

LUBIĘ, KIEDY KOBIETA..

Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu,
Kiedy w lubieżnym zwisa przez ramię przejęciu,
Gdy jej oczy zachodzą mgłą, twarz cała blednie,
I wargi się wilgotne rozchyla bezwiednie.

Lubię, kiedy ją rozkosz i żądza oniemi,
Gdy wpija się w ramiona palcami drżącemi,
Gdy krótkim, urywanym oddycha oddechem,
I oddaje się cała z mdlejącym uśmiechem.

I lubię ten wstyd, co się kobiecie zabrania
Przyznać, że czuje rozkosz, że moc pożądania
Zwalcza ją, a sycenie żądzy oszalenia,
Gdy szuka ust, a lęka się słów i spojżenia.

Lubię to i tę chwilę lubię, gdy koło mnie
Wyczerpana, zmęczona leży nieprzytomnie,
A myśl moja już od niej wybiega skrzydłata
W nieskończone przestrzenie nadziemskiego świata.

KIEDY NA OCZY...

Kiedy na oczy srebrno-szafirowe
Spuści powieki i na wznak upadnie
I leży miękko, sennie i bezwładnie,
Lekko schylając ku ramieniu głowę –

A płomień światła, co nad nami płonie,
Pomaga stroi ją w światła i cienie,
I ledwo znać jej białej piersi tchnienie,
Widnej w przejrzystych koronek osłonie:

Wówczas ma w sobie taki urok boski
I takie dziwne piękności i czary,
Że, zda się, jakiś malował ją stary,
Anioły w duszy noszący mistrz włoski.

ZDAJE MI SIĘ...

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie blizka,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej łono,
Czemu się do jej oczu paląca łza wriska,
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zbliżka,
Czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobacze?..

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapożno przyprowadził ku mnie,
A w pierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

WYKOŁYSAŁEM CIĘ...

Wykołysałem cię wśród fal
Mych snów, jak linbę gdzieś nadwodną,
Śniłem cię cichą i pogodną — —
Ach! jak mi żal, jak żal..

Na zieloności seanych hal,
Gdzie wiatr błękitne nągły rozpina,
Byłaś mi, dziewcze, tak jedyna
Ach! jak mi żal, jak żal..

Wkoło szumiały snurki w dal
Jakiemś modleniem cichem, wiecznem
Byłaś mi tam czemuś tak słonecznem —
Ach! jak mi żal, jak żal..

NIE WIDZĘ, SŁUCHAM CIĘ.

Nie widzę, słucham cię oczyma. biała!
Nagości twojej linie i kolory
W hymn mi się jeden łączą różnowzory,
W muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała..

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,

Jako przelotne świecisz meteory — —
Pieśń twjej piękności promienicje, pała...

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
Z twarzą od świata odwroconą, senną —
Tak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

Niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
Chodzili cisi, senni między ludem —
Oni widzieli cud i żyli cudem...

W TWOJE CUDNE OCZY

W twoje cudne, cudne, cudne oczy
Kiedy patrzy, wstrzymuje się słońce,
I dziwuje im się kwiat na łące
I czar idzie z niebieskich roztoczy
W twoje cudne, cudne, cudne oczy.

W twoje cudne, cudne, cudne oczy
Kiedy patrzę, chciałbym w lżę zakłąty
Po twjej twarzy spłynąć, bogom wziętej,
I z twjej piersi patrzeć się uroczej
W twoje cudne, cudne, cudne oczy.

UST TWYCH.

Ust twych więc usta nie tknęły niczyje?
Nikt nie uściskał twojej drżącej ręki?
Nikt się nie oplół w twoich włosów pęki,
Ani się wessał w twoją białą szyję?

Nikt się nie wsłuchał, jak twe serce bije,
Jak omdlewają słów błękitne dźwięki,
A ciała twego kształt smukły i miękki
Zdrój tylko widział i wodne lilije?

I nigdy dumne to, królewskie ciało
W niczyich ranion uścisku nie drżało?
Pragnienie twoje jest jak blask o wschodzie?

Nigdy w twych oczu słonecznym ogrodzie
Nie trysła rozkosz kwiatami złotymi?
Pójdź! Tyś jest szczęściem najwyższem na ziemi!

JAK PO BEZBRZEŻNYM MODRYM OCEANIE..

Jak po bezbrzeżnym modrym oceanie
Żegluję okręt: tak ja teraz płynę
Po bezgranicznym rozkoszy przestworze.

Dmij, namiętności szalony orkanie!
Z krańca do krańca. wszereż, wzdłuż niech przepłynę
To fal płomiennych niezgłębione morze..

A gdy już siły pruć fale nie stanic,
Niechaj do portu owego dopłynę,
Gdzie się na wieki żegna słońca zorzę.

Nie gorzkim będzie mi to pożegnanie:
Na słodkie wody wspomnień myślą wpłynę,
Na łonie śmierci skroń z uśmiechem złożyć..

ONA GDZIEŚ JEST.

Ona gdzieś jest... ja wiem. . wiem to i tęsknię do niej. .
 Wiem, jaką twarz ma; wiem, jakim się różem płoni,
 Wiem, jaki szafir ócz ciemnymi rzęsy kryje,
 Jaka w nich tkliwość kwi i jaki żar z nich bije.

Wiem, jaka śpiewa w nich słodycz niewysłowiona,
 Jaka w nich ślania się zaduma, drżą pragnienia,
 Jaki wilgotny blask przez oczy te do łona
 Ciągnie i jaka mgła lubieżna je zacienia.

Każdy jej uśmiech znam i każdy ruch, jej słowo
 Każde w mem uchu brzmi muzyką sfer echowa,
 Każdą jej czując myśl, znam kraje jej pamięci,
 Wiem, czego żal jej, wiem, co trwoży ją, co nęci.

Co kocha, także wiem; znam serce jej i duszę
 I kocham całą mych niezmiernych smutków tonię,
 Bezdenią tęsknot mych kocham i czuę to muszę,
 Że nigdy myślą mi nie sięgać nawet po nią.

W POŻARZE SŁOŃCA.

W pożarze słońca, w roz oceanie,
 W płomiennym zmysłów zachwycie:
 Jak gront w dzień jasny, śmiere niespodzianie
 Niech przyjdzie przeciąć me życie.
 A nim twarz moja zblednie jak chusta,
 Nim zimne wstrząsną mię dreszcze:
 Słodka dziewczyno, daj mi twe usta,
 Jeszcze raz, jeszcze, raz jeszcze!...

W TWEGO CIAŁA PRZECUDOWNEJ CZARZE.

W twego ciała przecudownej czarze
Życie kipi, jak złociste wino:
Trzykroć, trzykroć ten będzie szczęśliwy,
Komu dasz się niem upić, dziewczyno.

W twego ciała przecudownej głębi
Oczy toną, jak w jeziora fali
I powrócić na słońce nie mogą
Z ławic pereł i ławic koralu.

SZUKAM CIĘ ZAWSZE.

Szukam cię zawsze, choć wiem, że nie znajdę,
Tęsknię do ciebie, choć wiem, że cię niema,
Idę za tobą, choć wiem, że nie zajdę
Do twego domu, ścigam cię oczyma,
Choć cię nie widzę, choć wiem, że cię niema.

Do żadnej z kobiet, którem widział w życiu,
Tyś niepodobna — widzę cię w mych oczach
Jak gdyby w jakimś przygnionem odbiciu;
Jak kwiat, w strunienia odbity przezroczał,
Jak gwiazdę we mgłach, widzę cię w mych oczach.

I oto teraz, w tę noc księżycową
Cichą i jasną, kiedym rzucił tłumy:
Czuję twe ręce gdzieś nad moją głową,

I pełen jestem o tobie zadumy,
I zwyższą dla mnie jesteś, niż te tłumy.

I z zimnem sercem wśród ludzi przechodzę
Zaledwie patrząc i widząc, pół we śnie
Ciebie jedynie czekam na mej drodze,
I choć się zawsze zawodzę boleśnie,
Szukam cię wszędzie, przeczuwam cię we śnie.

POŻEGNANIE.

Bydź zdrowa! To ostatni raz,
Że mówię komu: bywaj zdrowa
Dawno, ach dawno minął czas...

Ja nie zapomnę serce moje
Niewiele w sobie imion chowa,
Lecz ciebie każdy ciemny las
I każdy ostep dziki, mroczny
I każdy górski szczyt obłoczny
Przywiedzie znów przed oczy moje...

Z uśmiechem nad twem zejściem stoję —
Tak mi przez ręce wszystko leci,
Jak śmigle ryby poprzez sieci
Zostaje pustka próżnych ok...

Bydź zdrowa! Szezeł ostatni głos,
Ostatni ruch, ostatni wzrok,
Co miał do serca mego wejście —
Bydź zdrowa! kładzie twe odejście,
Jak pieczęć, na me życie los.

MIŁOŚCI OWE...

Miłości owe, o których tak mnogo
Słyszałem w życiu — kiedyż one są?
Ja nie pamiętam, nie baczę nikogo,
Przeszedłem może kiedy czyją drogą,
Ale nikt drogą nie przestąpił ma

Jednej kobiety nie zostawiam w drodze —
Są jakieś cienie, czy też były — cóż?
Z dziewiczym sercem żywot mój przechodzę,
Albow je oddał gwiazdom, gór szczytów,
Szumowi lasu, wodzie, schodom zórz .

FRANCISZEK H. NOWICKI

(ur. 1864)

TYŚ MÓJ!.

Tam tłum frakowy czerni się koło niej,
Jak przy płomieniu czarne noce ćmy,
Chór słów palących i pochlebstw ją goni,
Zmysłów pragnienia, uroczę sny.

Jedni u stóp jej gwiazdę złota kładą,
A drudzy ród swój z dziejowej mgły,
Inni pieśń serca niosą jej gromada,
Drżących ust prośby — zapachu skry.

A ona dumna — wzgardliwa dla tłumy,
Szepce do ucha swojego tancerza:
Tyś śpiewak ludu... tyś jeden!.. tyś mój!

A śpiewak milczy... wśród dźwięków i szumu,
Inne wyznacze w ucho go uderza:
Tam dola czerni kracze nań: tyś mój!..

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

(ur. 1864).

SIELANKA

Już słońce na zachód pochyla swą skron
I czołem się nurza w mgieł fali.
Małutka, milutka, ty podaj mi dłoń,
My teraz będziemy ślub brali!

Las-kościół organem zaszumiał przez liś,
Tłum cieniów gromadzi się w dali,
Noc-babka kościelna za chwilę ma przyjść
I gwiazdy na niebie zapali.

Wiatr lasu zakrystyan omiata z drzew pył
I ołtarz ubiera we wieńce,
Już księżyc ksiądz proboszcz, staruszek bez sił
Podąża, by związać nam ręce.

Spogląda na niebo, gdzie biały drży ptak,
I komżę obłoku przywdziewa,
Skowronek-ministrant do ślubu dał znak,
Chorałem ozwały się drzewa.

»Ty kochasz?« wietrzany zapytał się głos.
Wnet echa sąsiadki dokoła
Chwytają odpowiedź... Ha, szczęsny padł los,
Z uznaniem się chyła drzew czoła.

A kwiaty wonieją, a hymnem brzmi las,
Pójdź luba, na święto miłości!
Orkiestra słowików swem pieniem czci nas,
A wkoło się zbiera tłum gości.

Na czele orszaku dąb praszczur, wśród chmur
Drżą gwiazdy, a księżyc dobrodziej
Za zdrowie-by wypił, zagląda więc w bor,
Uśmiecha się, zerka, podchodzi.

Mgły wiotkie rusalki wśród piasow mkną w dal,
Przygrywa muzyka dąbrowy,
Pan młody z swą panią opuścić chce bal,
Do ślubnej podążyc alkowy...

Malutka, miłutka, ty rękę mi daj,
Wspaniałcz to było wesele!
Pałacem zieleni otacza nas maj
I ciepłe nam toż z niebu ściele.

W namiętnych uściskach prześnimy nasz sen,
Nim ranek swym chłodem go spłoszy,
Nim cudna sielanka zamieni się w tren,
A w gorycz kropelka rozkoszy.

Nim życie nas zbudzi do łez
I ciernie przymiesza do kwiatów,
Nim sami powiemy, przebiegłszy znów kres,
Że była z nas para waryatów!

SIADŹMY TU, PANI.

Siadźmy tu, pani! — Dokoła noc cicha,
Pocmat woni płynie z róż kielicha,
Słowik-trubadur w miłosnym zachwycie
Śpiewa to jedno, co dać może życie!
Mama ci powie, że są inne cele,
Proboszcz przypomni, co mówił w kościele,
Stary profesor, zażywszy tabaki,
Przy sposobności utnie morał jaki;
Lecz jeśli wróci wieczorem do siebie,
Otworzy okno i spojrzy po niebie,
Gdy wspomni wszystkie swoje aksjomaty,
Ach! może westchnie, jak ongi przed laty.
I patrząc w księżyc, u schyłku kariery,
Uroni jaką łzę do tabakiery...

Czasem się w duszy wszystko nagle wali,
Cośmy z mazołem długo budowali,
Napróżno rozum w swoje ręce biegły,
Chwytał i ważył każdą niemal cegłę!
Nieraz już ludzkość nad swych dziejów tokiem,
Stała bezradnie z osłupiałem okiem;
Próżno jej »mamy« cele nakreślały,
Profesorowie palili morały,
Bowiem od czasów króla Salomona,
Co roku jakaś filozofia kona,
A ludzkość żyje... Wszyscy szarlatani,
Oprócz słowika... Słuchajmy go, pani!

Noc jak baśń cudna mgławi się przed nami,
Nęci, upaja, czaruje i mani;
W świetle księżycyca jej ręka marząca

Ciepłym powiewem czoła nasze trąca,
Zwolna świat nikt nie w błękitnym obłoku
I jak wspomnienie świeci tylko w oku.
Teraz rozpierzcha wszystko przed oczami,
Świat całkiem zniknął i my całkiem sami!
Gdyby glob ziemski runąć miał w tej chwili,
Mybyśmy tego nie zauważyli!
Jeszcze gdzieś resztką Świata w nas się waha,
Drżeniem napawa, lękliwa a błaha...
Rzućmy tę resztkę! Tylko zakochani
Pojmują życie... Daj mi rękę, pani!

Jest jakieś prawo ryte w ludzkiej twarzy,
Które spojrzenia bezwiednie kojarzy,
Ledwie drgnie w oku płomyk niewidomy,
Już miłość chwyta swe róże i gromy,
Gromy i róże!... Ach, ponoć wśród burzy,
Woń najcudniejszą rozsiewa kwiat róży!

Gdzieś w dali nicbo błyska i pogrzmiewa,
Wiatr wstaje, szumią wierzchołkami drzewa,
Słowik umilka nad uśpionym światem,
Burza zaszumi swoim poematem!
Niech gromy biją, niechaj świat się wali,
Myśmy noc jedną czuli i kochali!

JÓZEF JANKOWSKI

(ur. 1865).

NIE DZIWI SIĘ TEMU, PANI

Nie dziw się temu, pani,
Żem ufał twojej cnocie,
Żeś gwiazdą w mej otchłani,
Snem była w mej tęsknocie.

Żem przez cię cud w kobiecie
I świętość widział z nieba...
Do dyabła! w coś na świecie
Choć chwilę wierzyć trzeba!

TWA PIERS CUDNA...

Twa piers cudna — morza fala,
Najponętniej wirem wzdęta...
Hej, żeglarzu! mijaj zdala!
Bo pociągnie i opęta.

Jam z nieszczęścieni zbratan dawno,
W zradną toń się rzucam śmieło:
Za mą duszę niepoprawną
Mówcie pacierz, przyjaciele!

PO TYŁU LATACH.

Po tylu latach na mej piersi,
Jak kwiat spoczęła czuły,
I lzy z jej oczu opowieścią
Długą się, długą snuły...

I wszystkie, jako sen bolesny,
Wpłynęły w moją duszę
I dzisiaj lżami temi ciebie,
Dziewczyno, karmić muszę.

TY W SWOJE BIAŁE, MAŁE DŁONIE...

Ty w swoje białe, małe dłonie
Weź skolatane serce moje:
Serce, co krwawe przeszło boje,
Serce, co krwią żalości płonie

I przepaść wybierz, gdzie najprawczy
Wzrok głębi nie uświęci;
Tam serce moje przeżegnałszy,
Rzuć w otchłań niepamięci!

JAN LEMAŃSKI

(ur. 1865).

CHCĘ, BY MI TWOJE OCZY

Chcę, by mi twoje oczy jedyne, jarzące,
Zabłyły w życia nocy samotnej, tułaczek;
By mi żywiej płonęły, niż innym, inaczek,
Żeby przy mnie jaśniały, a gasły w rozłace.

Chce być twoją radością i łzami twych płaczk.
Niech mię twoje wołają sny niepokojące,
I roztekniona twoja myśl niech mię oplacze.
Jak dziewannę powoje przy chacie wieśniaczk.

Chcę, by mię twoich włosów osypały zwoje.
Rozplątane i wonne, i były mym licom
Szatrem liści zwieszonych nad szemrzącym zdrojem

W dzień upalny, — i, nieme kochania tęsknicą,
Niech ramiona mię twoje łanliwe ochwycą,
W dzień upalny, gdy kwitną dziewanny, powoje. .

OR - OT
(ur 1867).

LAWECZKA NASZA...

Laweczka nasza skromnie stała
Pod lipą starą,
I białym kwiatem wciąż sypała
Nad cichą parą.
Ach, wtedy pełna czaru była
Miłości czasza,
Gdy się tak cudnie ukwieciła
Laweczka nasza!

I przyszła zima w srebrnym śniegu,
W dyamentach szronu,
I brzmiała z wiatrem w drzew szeregu
Hymnami zgonu.
Ale mnie jednak piekły żarem
Twoje usteczka
I zawsze cudnym lśniła ezarem
Nasza laweczka.

Dziś znowu dawna wraca wiosna
Z zieleńią, z kwiatem,
Upajająca pieśń radosna
Polata światem;
Ale już znikły twoje usta
I wyschła czasza! -

Ach! i tak smutna jest – i pusta
Ławeczka nasza!

TAM, GDZIEŚ DALEKO...

Tam, gdzieś daleko — daleko — daleko,
W onej krainie, gdzieśmy byli razem,
Umarła Miłość pod omszonymi głazem,
Leży bezwładna, umęczona, senna,
Z ciemnych cyprysów tży na kamien cieką,
I żłobią w głazie szczyrby, jak żelazem...

Tam, gdzieś daleko — daleko — daleko,
Gdy za górami kona gwiazda dzienna,
Gdy liście róza rozchyła płomienna,
Jak tży wilgotne rozżulała usta,
Skróś drogę z świata, co się srebrzy, pusta,
Wcielenia marzeń lekliwie się wleką...

Z lazuru patrzy księżyc nieruchomy,
Cyprysy patrzą z bezmowną rozpaczą,
A one idą między skalne złomy,
Gdzie z grobu płyta bieli się kamienna,
I głaz skrzyżułami pieszczą lekko... lekko...
I — nieme - łzami czerwonymi płaczą...

Od morza płynie ciche wiatru wianic,
Od morza fale jednym brznią wyrazem,
Wcielenia marzeń w purpury łachmanie
Gną skroń królewską z pokorą żebraczą,
Tam, gdzieś daleko — daleko — daleko —
W zapamiętaniu... gdzieśmy byli razem...

CIEŃ.

Byłbym za tobą poszedł w świat,
Na wody i na stepy,
Byłbym za tobą poszedł w świat,
Kocłaniem wielkiem ślepy,
I serca mego oddał rdzeń,
Anioła mając z sobą...
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

Pryśnął mi w rękę czaru kwiat:
Na listkach rdza i skazy!
Pryśnął mi w rękę czaru kwiat:
Hej! w puszcze znów z oazy!
We mgłach mój złoty kona dzień,
Owiany łez żalobą...
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

Pragnąłem jedno serce mieć:
Talizman! szkaplerz! — zbroję!
Pragnąłem jedno serce mieć:
Jedyne — ale moje!
Och! zmień twe oczy! zmrzuź lub zmień!
I nie kuś warg ozdoba!
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

Już się rozdarła złota sieć
I więźnia nie zatrzyma!
Już się rozdarła złota sieć,
A za nią — celu niema!

I śnić o tobie, pełny drzeń,
Wieczorną, cichą doba..
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

POŻEGNANIE.

Och, opleć mnie dłonią, och, opleć białą
I główkę swą złotą na piersi mi złóż!
Już stało się, dziewczę, co się stać miało
Ostatni... ostatni nasz walc to już!

Jak dziwne, jak chmurne muzyki tony!
Ból wieje z nich taki, technie taka pleśń,
Jakgdyby jęczały pogrzebne dzwony,
Jakgdyby płakała nadgrobna pieśń.

Zda mi się, że slysze jęk jakiś głuchy,
Że pęka pierś czyjaś, zbryzgana krwią,
Zda mi się, że wokół tańczują duchy,
Posępne, milczące, owiane mgłą.

Jak w świetcie szerokim smutno i ciemno.
W mej piersi rozdartej smutno jest tak...
Och, nie szarp mi serca skargą daremną,
Wszak szczęście, dziewczyno, przelotny ptak.

Ta chmurna muzyka mógz mój uśmierca,
Zatruwa mnie jadem mogilnych technieć,
Podstępnie się wkrada do mego serca
I spycha mnie... spycha mnie... spycha mnie w cień.

I spycha mnie w otchłan, w przepaść nieznana,
Tej głębi, tej pustki lęka się wzrok!
Czy wszędzie tu słońce? Czy wszędzie rano?
Czy wieczny w tym grobie panuje mrok?

Na chwilę powiało świeższe znów tchnienie,
Na chwilę duch mroku uwolnił mnie,
I czuję żalose piersi twej drżenie
I widzę splakane źrenice twe.

Och, opleć mnie dłonią, och, opleć białą,
I główkę swą złotą na pierś mi złóż!
Już stało się, dziewczę, co się stać miało
Ostatni... ostatni nasz wale to już!...

WACŁAW WOLSKI

(ur. 1867).

ŚNIJ, DROGA...

..A niechaj ci się we śnie kraj marzeń rozzłoci
Tęczowych, brylantowych, gdyby szronu kwiaty...
I niech ujrzą twe oczy czarownych widm świąty,
Gdyby lśniące sezamy pod kwiatem paproci...

Morze pereł, szafirów, złociste makaty,
Grody z kości słoniowej... A oczu błysk koci
Ćmy Szyloków nie zdołały przejrzeć tych kroci,
Ani zważyć bez błędu brylantów karaty...

Śnij baśń złotą, legendy tęczowe... Śnij, droga..
Niech przeczyste twe technienie ulata do Boga,
Unoszone na skrzydłach śnieżystych, anielich...

I niech spali mi serce płomienna pożoga,
I niech w uścisk lodowy mnie chwyci śmierć sroga,
Zanim do dna wychyłę nieszczęsny ten kielich.

RONDO MIŁOSNE.

Nad starym, włoskim pochylona murcem,
W ciszy laurów tych, nie mówiąc nic,

Wtula złociste chryzantemy lic
W róż płomieniącą magiczną purpurę...
Niby tajemna, grecka, złota Psyche,
W geście tym składa mi wyznanie ciche,
Nad starym, włoskim pochyłona murem..

Nad starym, włoskim pochyłona murem
Z egipt, co pleśnią, jak emalia, lśnią,
Patrzy przed siebie czarnych oczu mgłą,
Jak urzeczona tym boskim lazurem,
Pełna florenckich fioraj gentileczy,
Jakiejs tajemnej zadumy kobiecej,
Nad starym, włoskim pochyłona murem...

Nad starym, włoskim pochyłona murem,
Co się rozpada zwolna w czarny gruz,
Cicho zastygła w najcudniejszej z póż,
Której złocistym jestem trubadurem.
Na tle lazuru śni na ukochana
W róż słodkiej woni, jak Wenus Tycyana,
Nad starym, włoskim pochyłona murem..

STANISŁAW WYSPIANSKI

(1869—1907).

JAK POMNĘ...

Jak pomnę, stała na stopniu wiodącym do ciebie
Dużej altanki, wolnej od słońca promieni,
Bo chociaż była obszerną przestrzenią,
To jednak cała usłana zielenią
Krzewu — co uporczywie pięć się nie przesławał
Po ścianie i po słupach przez co cień jej dawał;
Liściem i gałązkami zamknąłby ją całą,
Gdyby nie obcinany był wciąż rączką dbałą
Ogrodniczki — tu właśnie była ona sama.
Stała tak w drzwiach altanki ujęta jak w ramię
Zielenią wkoło — na tle tej zieleni
Ciemnej,
Zdała się główka jej blaskiem promieni
Odbijać dziwnie jasno — jakby do jej czoła
Dodano ową świetlną przepaskę anioła.
O, bo anielską duszę miała — ku kochaniu
Sklaniała wszystkich zaraz po jej poznaniu. —
Prawie nie uważała na mnie — wciąż patrzyła
Przed siebie nie wiem zaś, co by znaczyła
Boleść ta w jej twarzy zamglone
Jej łagodne oczy — ozdobione
Zaledwie widziałemi łzami
Zdały się jak szafiry oprawne perłami,
Że trzeba było tylko — choć jedno wzruszenie

Wiecej — jednego ruchu powiek, żeby to cierpienie,
Co w głębi duszy tkwiło przytłumione,
Wybuchło naraz w rzewny płacz zmienione,
Taką widziałem wtenczas smutną. Wina zwoje
Jakoby pochylały się nad nią płaczące
I dla jej żalu współczucie niosące
Lzę otrzeć chciały z oka, lub ubrać jej głowę,
Ze żywych liści kwieciami zdobiąc włosy płowe.
Sądziłem, jakby przez swe igranie swawolne
Dokoła twarzy może były zdolne
Spłoszyć smutek z jej lica — z czoła myśl posepna,
Aby się stała bardziej szczerą i przystępną...
I nagle wietrzyk, co zrazu spokojnie
Długie, splecione chwiał gałązki krzewu
W tańt szumu drzew i ptaszka miłych śpiewu:
Zerwał się silniej — liściem niepamiętny
Musnął po twarzy ją nadto natrętny
Dotknął ust a czytana mnie kartę przewrócił.
Nie zgadłem czy dlatego, że ją śmiały zbudził
Z marzeń jej drogich — czy może wspomnieniem
Dawnem rozranił serce: — dosyc, że westchnieniem
Pierś się podniosła jedna łezka się stoczyła
Po licu bladym...

A że pozwoliła

I stóp mi swoich siedzieć — więc, patrząc w jej oczy
Marzyłem, przeglądając się jakby w przezroczy,
W jej duszy czystej — — właśnie rozłożoną
Książkę czytałem: — Iza na odwróconą
Spadła mi kartę. — Poznałem, że była
Zasmucona — że boleść swą przedemną kryła.
Ona spostrzegła — zmieszała się — biała
Jej twarz rumieńcem zapłonęła cała.
Przeczuła, że jej boleść stała mi się jawna
Usta zdrząły prośbą — i z białych niedawno

Poczęły mienić barwę róży i koralu.
Zdało się, że patrzyła wzrokiem pełnym żalu
Za czemś, co stało się pomimo woli —
Prosiła: nie wspominaj o tem, co mnie boli.
Potem odeszła prędko — ja nie rozumiałem
Z tego wiele — zdziwiony — dalej skoro czytać chcia-
łem —
Rzecz dziwna — w miejscu, gdzie karta zroszona
Lza, przeczytałem: miłość zawiedziona...



BOGUSŁAW ADAMOWICZ

(ur. 1870).

UKOLYSANA

Powiew poranku po nocy marzenia
Coraz to tęskniej i pieści i chłodzi,
Coraz to cudniej zdrój szczęścia się spienia
Coraz to słodziej, i słodziej, i słodziej...

Coraz to rzewniej czar do snu ją kloni,
Coraz to mgliściej jej oko się mruży...
Coraz to tkliwiej drży uścisk jej dłoni -
Coraz to dłużej, i dłużej, i dłużej...

Coraz to bliżej - jej główka zmęczona,
Coraz to śmielej na pierś mą się tuli,
Coraz to ufniej garnie się w ramiona.
Coraz to czulej, i czulej, i czulej.

Coraz to rzewniej, i tęskniej, i senniej,
Coraz to wolniej serduszko jej dyszy...
Coraz pogodniej, spokojniej, promienniej,
Coraz to ciszej, i ciszej, i ciszej...

ZNIJDŹ - ŻE TY KU MNIE...

Znijdź-że ty ku mnie, gdy chmurno dokota i ciemno,
Droga, jedyna!
Przybądź z nadzieją, gdy troską lajemną, daremna
Ból mię ugina.

Zlej się, jak balsam, łagodna, kojąca, gojąca
Sercu katusze,
Czarem muzyki, pieszczotą promieni miesiąca
Spłyn' na mą duszę.

Zagość w mem życiu, gdy kłęski przez otchłań je wiodą,
Szczęścia promieniem —
Ciepłem ożywcem i rajem i złotą pogodą —
I ukojeniem!

ZDZISŁAW DĘBICKI

(ur. 1870).

STORCZYKI.

Chore storczyki kwitną, w dusznej mrać cieplarni,
A gdzieś daleko – chodzi wiatr po parnej łące...
Piersią ku mojej piersi się przygarnij
I dłoń mi białą potóż na czoło gorące...

Chore storczyki kwitną – wdycham ich trujące,
Ich dziwne, jako bielek mocne aromaty...
O dni rozkosznych szarów! O rozkwitające
W połodze pocałunków słodkie warg szkarłat!...

Chore storczyki kwitną, zionąc woń zmysłową,
A czarny motyl śmierci na ich kwiatach siada...
Na łąkę mego życia, łąkę szmaragdową
Padł cień od chmury złej i bezmoc mną owłada...

Piersią ku mojej piersi cicho się przygarnij –
Oto się przeznaczenia cicha wola ziszcza:
Chore storczyki więdną, w dusznej mrać cieplarni.
A smutna miłość nasza patrzy na swę zgłiszcząca...

TAK PACHNĄ KWIATY...

Tak pachną kwiaty w noc majową,
Tak pachną, jak przed laty,

Gdy z rozmarzoną szedłem głową
W dalekie światy -- --

Tak samo wszystko dookoła,
Tak pachną kwiaty z łąk...
Ach, tylko dwoje innych rąk
Dotyka mego czoła...

A tamte były, jak płomienie,
A te, jak białe są powoje
Te drugie były »przeznaczenie«.
Te pierwsze były »moje...«

Te pierwsze były... Ach, przed laty...
Może to tylko mi się śni...

Tak pachną kwiaty,
Tak księżyc lśni...

NA DROGI MOJE..

Na drogi moje,
Po których szedłem samotny,
Spojrzały oczy twoje
I upadł blask stokrotny
Na drogi moje...

Na serce moje,
Kiedy targało się w męce,
Słodkie i dobre swoje
Tyś położyła ręce —
Na serce moje...

Na usta moje,
Które miłości bluźniły —
Tyś położyła swoje,
By odtąd szczęście piły
Z nich usta moje..

POMIĘDZY NAMI.

Pomiędzy nami jest tęsknota
Niewymówionych nigdy słów,
Pomiędzy nami przędza złota
Snów.

Ale nie powiem sercu: mów,
Chociaż mi duszę żalność mota,
Bo wiem, że kiedyś i bez słów
Milcząca ramion twych pieczęta
Wskaże mi jasne szczęścia wrota
Znów...

PODAJ MI USTA.

Podaj mi usta!.. Chcę dziś wysssać z ciebie
Wszystko, co miłość twoja dać mi może...
Zanim świt nowe pozapala zorze,
Zanim się słońce pokaże na niebie,
Pragnę się upić twojem wonnem ciałem...
Ach, jakże długo ja ciebie szukałem!..

Podaj mi usta.. Dokoła noc głucha,
My tylko dwoje na łożu rozkoszy

Nie spimy jeszcze.. Płomień, co wybucha
 W naszych ekstazach — sen stąd cichy płoszy..
 Podaj mi usta!.. Chcę się twojem ciałem
 Upić... Tak długo, długo cię szukałem...

TEŚKNOTA.

W ton morza cudnie szafirową
 Rzucam to tęskne, ciche słowo:
 Przyjdź!
 Bo chociaż jesteś mi daleka,
 Dusza cię moja tutaj czeka
 Co dzień, co noc, co chwila

Gdy wiatr w altanie mej rozchyła
 Powiewne winorośli splety,
 W żalości spazmie i tęsknoty,
 Na szafirowe patrzac morze
 Skrós gęstą zieleni liści wina,
 Do ciebie wołam, o jedyna,
 Głos w puste słąc przestworze:
 Przyjdź!
 W miłości czekam i w pokorze..

LUCYAN RYDEL

(ur. 1870).

WARKOCZE.

U mojej Jadwisi
Warkocz jeden — drugi,
A jasny, a długi
Za główką wisi
I ciężą głowisi
Te dwie złote strugi.

A gdy je rozplecie,
To się tych warkoczy
Złoto szczere toczy:
Istny cud na świecie!
— A wy aż giniecie,
Moje chciwe oczy.

RUSAŁKA.

Gdy zostaniemy sami
I patrzę na Jadwisie,
To myślę tak czasami,
Że baśń mi dawna śni się —

Że to z Rusalek jedna,
Nadludzki dziw urody,

Co do mnie wyszła ze dna
Zaklętej leśnej wody.

Rzuciła potajemnie
Odludne uroczysko
I rozkochana we mnie,
Usiadła przy mnie blisko.

Rzuciła dziwow kraje,
Gdzie rosną złote drzewa
I dzwonią całe gaje,
Gdy liśćmi wiatr powiewa

Rzuciła cudów światy
Za ludzką miłość moją,
Gdzie śpiewające kwiaty
W łączowyni blasku stoją...

Gadają ludzie starzy,
Że padnie trupem śmiatek.
Który się pojrzcé waży
W czarowny wzrok Rusałek.

Niech zaraz śmiercią zasnę,
Na miejscu niech zostanę,
Lecz patrzć chcę w twe jasne
Oczęta rusalezane

WIATRY ZWIAŁY.

Wiatry zwiały
Ten kwiat biały
Z pachnącej jabłoni,



We mgle bladej
Stoją sady
I słowik nie dzwoni.

Później, wcześniej,
Sen się prześni
I kochać przestane...
Pod powieką
Lzy mnie pieką,
Lzy niewypłakane!

ANI TY MOJA.

Ani ty moja, anim ja twój:
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić,
Pryśnie marzenia pajęczna nić,
I snów tęczowych prześni się rój,
Ja w swoją drogę, ty w swoją idź,
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić.
Ani ty moja, anim ja twój!

PROŚBA.

Gdy mi się wszystko w koło mroczy,
Gdy się powszednim trudem znużę --
Wtedy mi patrzeć daj w swe oczy,
W oczy swe czarne, ciche, duże...

Kiedy się ugnę w twardej męce
I gdy w bezsilnym smutku stoję --
Ty mi na czole połóż ręce,
Ręce swe miękkie, słodkie, moje!

CHOĆ NIE MAM PÓL....

Choć nie mam pól, choć nie mam łąk,
Ni lasu całych włók —
Mam nieba strop i świata krag
Aż gdzieś po tęczy łuk.

Mam złoto gwiazd, purpurę zórz
I perły mlecznych dróg,
Smaragdy niw, szaliry mórz,
Opale mglistych smug.

Mam każdy pąk rozkwitłych drzew
I róż pachnący dech,
I lasów szum i ptaków śpiew
I tysiąc brzmień i ech.

Lecz wszystko dam: ten cały świat
I pieśni srebrny źródł
I wszystkie czas młodości lat
Za pocałunek twój!

KAZIMIERA ZAWISTOWSKA

(1870—1902).

Z MARZEŃ MOICH.

I

Kochałam cię i czasem bojowe
Zbroje ci kładłam czasem harfę w dłonie —
Czasem twe czoło tuliłam w koronie —
Czasem trefiłam pazia włosy płowe!

Gdzież ty poszedłeś, o mój książę senny?
Na sarkofagu twojego marmurze
Skamieniał anioł cichy i promienny
I w twarz ci rzuca blade grobów róże,
Bo w tym kamiennym aniele żałości
Dawno umarła moja dusza gości

II.

Ciszy, ach ciszy! Daj mi twoje dłonie,
Błękitne światłem, ochłodzone rosą —
Jak kwiatem niemą opleć moje skronie —
Niech mi sen, spokój, i chłód nocy niosą.

Ciszy, ach ciszy! Włosów falą złotą
Przed moim wzrokiem skryj ust twych pożary...
Bądź dziś posągom podobna martwością,
Bądź dziś urokiem niedotkniętej czary.

III.

O, przyjdź ty do mnie bom dziwnie samotna,
Noc się nademną rozekłała słotna
I dziwnie jestem w tej nocy samotna...

Strugami deszczu mży mgielna szaruga,
Noc pełna cieni, wystygła i długa.

Przedzgonnych psalmów snuje hymn pokutny,
Łka w strunach deszczu w rytm niezmiernie smutny,
W mgłach odrętwiałych łka swój hymn pokutny.

I jak widm śmierci leci mi nad głową
Ta noc rozgrana ulewą deszczową...

O, przyjdź ty do mnie – przyjdź w tę ciszę mroczną.
A oczy moje przy tobie odpoczną,
Oczy, zasnuje mgieł oponą mroczną.

I wleczę w jasne oczu twoich głębie,
Jako za światłem tęskniące gotębic.

I spiję niebo z gwiazd złotymi ćwieki!...
I przymknę pjęne rozkoszą powieki,

Wypiwszy niebo z gwiazd złotymi ćwieki.

IV.

Daj mi sny twoje, daj ten sen skrzydlaty
O mnie prześniony ja chcę duszę własną
W jego zwierciadle ujrzeć cichą, jasną,
Rozkołysaną jak mgły srebrnej kwiaty.

Wprowadź mnie jeszcze w kryształne zaświaty,
A tam, twą dłonią poruszone smutnie,
Niech się rozdzwięczą wszystkie ścięte lutnie
W ów akord nagle zerwany przed laty..

Wówczas mnie ujrzysz raz jeszcze wyśniona,
Raz jeszcze wszystkie, pogasłe w ukryciu,
Perły mej duszy tęczowo zapłona.

I jedną cudną dam ci chwilę w życiu,
Chwilę jedyną — bo potem w noc ciemną
Pójdę, byś nigdy nie spotkał się ze mną...

EPITAFIUM.

Cieniem byłeś ty dla mnie, bladym, wiałym cieniem,
Jak kwiat w wodzie odbity, tracąc woń, kolory,
Żywego tylko kwiatu ma nikłe pozory —
Tak w twych oczach ócz innych szukałam wspomnie-
niem.

O minionym śnie byłeś dla mnie tylko śnieniem,
I przy tobie me myśli, błędne meteory,
Tęczą wspomnień barwiły ów kwiat różnowzory,
Ów kwiat żywy wciąż we mnie — któregoś ty cieniem.

I czasem żal mi Ciebie, bo ci jestem dłużną.
Żary duszy twojej padły na opokę twardą.
I czasem żal mi Ciebie, żeś nie poszedł z wzgardą.

Żeś nie poszedł odemnie ty, karmion jałmużną!..
Tylko został gdzieś w głębi twojej pokornej duszy,
Jak ślad bicza, pręg krwawy od krwawszej ci katuszy.

DUSZE.
HERODYADA.

Czy wiesz, co rozkosz? Czy cię nie poruszy
Szept białych kwiatów w takie nore parne?
Pójdź!.. ja ci włosy me rozplotę czarne,
Węzem pożądań wejść do twej duszy!

Płomiennym szepciem odemknę twe uszy,
Podam ci usta drżące i ofiarne,
I ust tych ogniem ciało twe ogarnę,
Aż pieszczot moich fala cię ogłuszy!..

Pójdź!.. ja rozkoszą śmieję tobie Jehowę..
Zapomnisz, twarzą padłszy na me łono,
Pijąc źrenice me błyskawicowe..

Lecz pójdź!.. bo czasem w oczach mi czerwono,
I z piekielnymi zmagam się widmami,
I wiem, że dłonie krew mi twoja splami.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI (SELIM)

(ur. 1871).

VORREI MORIRE NELLA STAGION DELL' ANNO...

Ach, umrzeć chcę,
 Ach, umrzeć w takiej porze,
Gdy kwiatów woń
 Upaja swą pieczęcią,
Kołysze się
 Wśród pól zielone zboże,
Na srebrną toń
 Z lazurów kapie złoto ..
Ach, umrzeć chcę,
 W kwiecistym spocząć grobie,
Lub – kochać cię
 I żyć – i żyć przy tobie!

Ach, umrzeć chcę,
 W słoneczny ranek wiosny,
Gdy pośród bzów
 Słowicze słyhać łkania,
Gdy duch się rwie
 W upojeń świat miłosny,
Stęskniony znów,
 Spragniony znów kochania..
Ach, umrzeć chcę,
 W kwiecistym spocząć grobie,
Lub – kochać cię
 I żyć – i żyć przy tobie!

Ach, umrzeć chcę
 Na pełnej kwiatów łące,
 Gdzie strumień gra
 Melodyę nieskończoną...
 Jak gwiazdy dwie
 Twe oczy kochające...
 Z nich perła-łza
 Niech spadnie na me łono..
 Ach, umrzeć chcę,
 W kwiecistym spocząć grobie,
 Lub – kochać cię
 I żyć i żyć przy tobie!

Ach, umrzeć chcę,
 Gdy pachną wiosny kwiaty,
 Jak pielgrzym iść
 W ich woni w kraj daleki...
 Niech usta me
 Przysłonią róż szkarłaty,
 Akacyi kiść
 Niech spadnie na powieki!..
 Ach, umrzeć chcę,
 W kwiecistym spocząć grobie,
 Lub kochać cię
 I żyć – i żyć przy tobie!

PRZED ROZSTANIEM.

Więc przed rozstaniem niech jeszcze, mój skarbie,
 Po raz ostatni z ust twych wyszę miód!
 Nim duszę bólem i troską pogarbię,
 Niech jej da chwilę szczęścia miłość - cud!

Zapomnij, że już jutro odejść muszę.
Że nas rozdzieli hezmiar gór i wód...
Niech znów miłością zakwitną nam dusze,
Niech — raz ostatni — jak bywało wprzód —
Znów się do siebie rozchyła miłośnie,
Jak róż kielichy, rozkochane w wiosnie

Wiodkaś mnie z sobą, jak anioł skrzydlaty
Przez góry, morza, pod Cheopsa grób,
Jak brylant cudny na kraju mej szaty,
Jak kierownicza gwiazda moich stóp
Dla ciebie w greckich ogrodach zrywałem
Pomarańcz słodki, cytryn złoty łup,
A wśród zieleni marmur tonem białem
Błyskał, jak światła miesięcznego słup
I gdzieś — daleko — w mgłę ginęły sinej
Fale, odbite od skał Salaminy.

Było nam dobrze razem dni, tygodnie
W objęciach morza i w uściskach gór
Czoła nam wiatry osmalily wschodnie,
Dusze błękitnych fal rozspiewał chor.
Ach, jeszcze — zda się — w uszach gra mi fala,
W oczach korynckich kolumn stoi sznur,
Jeszcze się w słońcu rumiencem zapala
Nike, najniodsza z peryklowych cór...
Wyżej — Partenon wzrok smutny, lecz dumny.
Na potrzaskane swe rzuca kolumny.

Jeszcze się do nas uśmiecha zdaleka
Sfinks, u piramid stóp dzierzący straż,
Jeszcze w girlandzie palm — potężna rzeka,
Skąpana w słońcu, wzrok zachwyca nasz...
Już od obrazów tych czarownych muszę

Na północ zwrócić pełną smutku twarz.
 Zakrwawić serce i rozedrzeć duszę
 Tym bólem, który i ty w oczach masz...
 Ach, w drogich oczach, które życia pyły
 Na mym gościńcu, jak gwiazdy, złościły...

GDYBYM BYŁ TWÓJ

Gdybym był twój, gdybyś ty była moja,
 Ten wizyi rój, co w oczach ducha stoja,
 Ten szereg mar, co tak o życie proszą,
 W istnienia czar powcielełbym z rozkoszą
 I rojem snów, zaklętych w kształty żywe,
 Zacząłbym znów dni moje, dni szczęśliwe,
 Gdybym był twój, gdybyś ty była moja.

Gdybym był twój, gdybyś ty moja była,
 Potężny zdroj, nowego życia siła —
 Sam nie wiem skąd, trysnąłby z głębin ducha,
 Jak lawy prąd, co z dna wulkanu ducha,
 I blaski zórz wśród mrocznych sięjąc cieni,
 Na wieki już szlibyśmy połączeni,
 Gdybym był twój, gdybyś ty moja była...

Ach, z tobą wraz, gdy miliard gwiazd migocze.
 Iść w marzeń las w cudowne letnie noce...
 Księżycu blask twe bujne, wonne splety
 Przybrałby w kask błyszczący srebrno-złoty..
 Tak cudny świat, tak lęskno strumień gwarzy,
 A każdy kwiat u szczęścia śni ołtarzy...
 Jam z tobą wraz, a miliard gwiazd migocze!..

A w złoty dzień z twych objęć iść do boju,
Gdzie mrok i cień, tam stać, tam walczyć w znoju
O prawdy moc, o szczęście, o swobodę...
Niech ginie noc, niech żyją duchy młode,
Wawrzynu liść niech wieńczy mężne czoła!
Ach, z tobą iść, gdzie głos milionów woła,
W słoneczny dzień z twych objęć iść do boju!

.

Lecz jam nie twój i ty nie jesteś moja!
Gdy przyjdzie bój, nie będziesz mi ostoja,
Mych krwawych ran twój uścisk nie uleczy...
Przez burzę guan, wśród włóczy i wśród mieczy,
Nim przyjdzie grób, mieć muszę inną drogę,
Do twoich stóp nie mogę przyjść, nie mogę,
Bo jam nie twój i ty nie jesteś moja!

Ach, jam nie twój i ty nie jesteś moja,
Ożywczy zdrój — twe usta — mnie nie poją.
Nie nam, nie nam miesięczna lśni poświata.
Od moich bram ptak szczęścia znów odłata
Z szelestem piór, co wnet umilkną w dali.
Wśród wiecznych chmur duch skarży się i żali:
»Ach, jam nie twój i ty — nie jesteś moja!«

GUSTAW DANIŁOWSKI

(ur. 1871).

GDZIE ONA?

Pol mi zielone błyszczą malachity,
Koralem maków tkane, srebrem rosy,
I, niby namiot z błękitów rozbity,
Tak nad tą ziemią zawisły niebiosy.
W błękitach słońca lśni tarcza złociona,
A jednak smutno. Jej nicma, gdzie ona?

Wieczór się zbliża; na smukłe topole
Z krzykiem zleciały kawki dla narady:
Bocian już usnął w swem gniczdzie na kole;
Wypłynął księżyc i patrzy się blady,
Czy prędko słońce na zachodzie skona,
A mnie tak smutno. Jej nicma, gdzie ona?

Takie tu piękne, ukraińskie noce,
Gdy wiążą kraj ten swojej ciszy pętem:
Niebo drobnymi gwiazdami migoce,
Potem zablęśnie mnogieli gwiazd dyamentem.
I stoi noc ta, gwiazdą zażawiona...
A mnie tak smutno... Jej niema, gdzie ona?

Gdzie ona? ciche pytają kurhany,
Co się po polach rozsiadły szeregiem.
Gdzie ona? szepcą mi gwiazd karawany;

Brzozy tak płaczą ponad stawu brzegiem...
Gdzie ona? krzyk ten rwie się z mego łona..
I tak mi smutno... Jej niema, gdzie ona?

DROGĄ MI JESTEŚ..

Drogą mi jesteś, gdy piersią namiętną
Czuję pierś twoją falami drgan żywo,
Przy wrzącem sercu - łkań twojego tętno,
Przy mych — twych włosów pachnące przędziwo!
Lecz stokroć droższaś, gdy po krwawym szale
Pełen najtkliwszej prawie że boleści,
Patrzę na oczu twych łzawc opale,
Na dłoń twą błędną, co mnie jedna pieści!
Bo wówczas, kiedy ogień zmysłów gasną,
Cuci się dusza ma, w niebo ucieka
I tam się — mroczna — łączy z twoją jasną,
Tracąc kobietę, zyskuję człowieka,
I tem zmazuję ów grzech słodkiej winy,
W którym duch upadł pod ciężarem gliny.

ADAM ŁADA

(ur. 1871).

POWROTNY TON.

Z krwi naszej dawno przebrzmiałej symfonii
– Jak wtedy słońce świeciło inaczej! —
Został ton jeden zblakany, tułaczy:
Motyw powrotny naszych żądz agonii

Słyszę go nieraz wskroś północnej głuszy,
Gdy mi na piersiach wspomnień wampir siada,
— Jakże upiorna twarz księżycą blada!
Rozpacznie płacze ugor mojej duszy.

Rozpaczna skarga bije w strop gwiazdzisty,
W kosmicznych pyłów cichy bezmiar płynie...
Słuchaj, co Anioł nasz mi szeptem czysty:

Kiedys w dalekiej dopełnień godzinie,
Do tego tonu, kiedy świat przemienie,
Bóg hymn dusz naszych nawiąże wieczysty!..

WŁADYSŁAW NAWROCKI

(ur. 1872).

RONDA.

I.

Czarą wina bądź mi, Marysićko,
Równie słodka, gdy się pić poczyna,
Kiedy żaru bucha z niej lawina —
Jak i wówczas, gdy już widać denko...
Przygarnianą zawsze chciwą ręką,
Czarą wina.

Kiedy żal i ból krew w żyłach ścina,
Gdy jesienny smąga deszcz w okienko.
Bądź mi tą, co godzi z życia męką,
Czarą wina.

A gdy wreszcie ziemska we mnie glina
Przepaloną stanie się i cienką,
Nim śmierć dłonią mnie przytuli miękka,
Bądź ostatnią jeszcze, o jedyna.
Czarą wina!

II.

Krwi twojej tętno w licach mi się płoni,
I widzę Ciebie, jak w tę noc pamiętną
Z rozwianym włosiem i źrenicą mętną,

IV.

Twoje włosy, gdy opadną falą
Ciemno-złotą jak pszeniczne kłosa,
Tchnącą aromatem, jak pokosa
Uśmiechniętą rozesłane hała
Olśniewają wzrok, krew w żyłach palą
Twoje włosy.

Wonne, miękkie, jako leśne wrzosa
— Gdy mi pierś zakrwawisz źrenie stała —
Zda się, że się rosą łez kryształą
Twoje włosy

Gdy wzrok topię w oczu twych niebiosy,
A duch marzeń ulatuje dałą —
Mego szczęścia zdają się być szala,
Mej przyszłości zdają się kryć losy
Twoje włosy.

MOJE TY KWIECIE PAPROCI!

Palony słoneczną spieką,
Z tumanów miejskiej kurzawy,
Ku tobie wzrok tęskny, łzawy,
Wyteżam w przestrzeń daleką:
I widzę modre źrenice,
Zasnute jakby łez rosą,
I główkę twą ciemnowłosa,
I blade, smutne twe lice...
I idziesz — jak pieśni echo —
W wiosennych kwiatów sukience,
I ku mnie wyciągasz ręce,

Drogie twe ręce – z pociechą...
I kładziesz białe twe dłonie
Na serce zżarte pożogą..
I ciszę przynosisz błogą...
I chłodzisz palące skronie;
Błaskiem, co czoło twe złoci,
Odknione oczy – aż boła.

.....
Moja niedolo i dolo!
Moje ty kwiecie paproci!

Palony słoneczną spieką,
Z tumanów miejskiej kurzawy,
Wyteżam k'tobie wzrok łzawy,
Błądzącej nad wielką rzeką.
A serce miota się trwoga...
A przestrzeń dokola pusta
Ni oczy moje, ni usta
Dotrzeć do ciebie nie mogą...
I duch mój, rojąc sny złote,
Ku tobie skrzydła rozpina
Chciałby u stóp twych, jedyna,
Wypłakać swoją tęsknotę!
I puka z pieśnią co rano,
Do twego, luba, okienka,
Póki mu twoja sukienka
Nie błysnie zorzą różaną
I póki w promieni kroci
Ócz blaski go nie okoła..

.....
Moja niedolo i dolo!
Moje ty kwiecie paproci!

MAJ.

I.

O naszym szczęściu niech ptaszę śpiewa...
O naszym szczęściu niech szumią drzewa...
O naszym szczęściu, w leśnej ustroni,
Niech strumyk cichą piosenkę dzwoni...

W różane ranki, w srebrne wieczory,
Na jasne pola, na ciemne bory,
Niech o niem słodkie roznosi wieści
Wietrzyk, co z każdym kwiatem się pieści..

Szum drzew, głos wiatru, śpiewy ptaszące
Niech się w poety ozwą piosence
Szeptem pieszczoty, nutą mamiętą,
Jak szmer całusów i jak krwi tętno...

O naszym szczęściu niech dzwoni echo..
W rozpaczy wiarą, w smutku pociechą,
Nadzieją w bólu, wytchnieniem w trudzie —
— Ale niech o niem nie mówią ludzie!

II.

Pragnący mojej zguby,
Znów los mi wchodzi w drogę
I słyszę głos jej luby —
I widzieć jej nie mogę.

Tylko mi obojętnie
Pytać się wolno o nią,

Choć żar wrze w każdym tętnie...
Choć lica krwią się plonią.

Słodycz jej ust od wezora
Na ustach czuje jeszcze —
Nadchodzi pieczęć pora.
Lecz dziś jej nie popieszczę.

Krew mnie opływa falą
I jestem szalu blizki,
Tak mnie wczorajsze pałą
Całusy i uściski.

III.

Z myślą o tobie, w noc jasną,
Goniłem wzrokiem po niebie..
Patrzałem, jak gwiazdy gasną
I patrząc, drżałem o ciebie.

A gdy tak gasły powoli
Jedna za drugą w błękicie
O naszej myślałem doli,
Złączonej na całe życie.

Zalane białej mgły smuga,
Coraz mdleją świecąc — z kolei
Gasły tak jedna za drugą...
Gasły bez żadnej nadziei.

W mdlejące wpatrzony blaski,
Wierzyłem jednak niekłamanie,
Że nad gwiazdami tam — łaski
Dość jest dla ciebie i dla mnie.

IV.

A więc mnie pytasz znów,
Źrenice chyłąc modro-złote,
Z jakich ci dzisiaj słów
Miłości naszej piosnkę splote?

Jedyna, kiedy wiem,
Że nie émi szczęścia zwałpień płama —
Z róż wonią, z wiatru tchem
Piosnka przychodzi do mnie sama

Oto się snuje już!
Patrz! długo czekać nie potrzeba,
Gdy z głębi naszych dusz
Jasny wyziera błękit nieba.

W uścisku-m spoczął twym
I już gotowa piosnka cała:
Usta się spłotły w rym.,
Pierś rytmem się rozkołysała.

LUDWIK SZCZEPAŃSKI

(ur. 1872).

PIĘKNA.

W miesięcznej bieli jedwab przezroczy
Ustrój swe ciało!
I zachwyć moje stęsknione oczy
Piękności chwałą!

O, marmurowa, w zorzy skąpana,
Smukła i biała!
Cudna całuję twoje kolana,
Serce me pała!

Ośniony patrzę, patrzę w twe blaski,
Wznoszę ramiona:
O, różo złota o, pełna łaski,
Bądź uwielbiona!

Pieśni się moje ku tobie wnoszą
W szczęsnym zachwycie.
Zdasz mi się cała, cała rozkoszą
W zwycięstwa świecie.

I każda kropla twojej młodej krwi
Swobodnie płynie!
O, jakżeś piękna! Noc wznosi ci
Rozkoszy srebrną świątynię!

TADEUSZ MICIŃSKI

(ur. 1873).

KAIN.

Wyszła mi z boru – w złocie warkoczy,
Z twarzą indyjskiej Bogarodzicy –
W błękitnych iskrach – w srebrnej przezroczy
Nadksiężycowej wieszczka świątnicy...
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy
Ach, i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

Jak wulkan krwawy w łonie Arymana,
Jak Samum, gdy się wichrami rozuzda –
Tak we mnie otchłan – gwiazdami przetkana,
Leciąca w państwo słoneczne Ormuzda.
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy
Ach, i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

Nie wzbraniał mi jej smok, żelazna wieża,
Zdradny labirynt, ni królewskie ramię –
Miłość zwycięży wszystko – wszystko złamie –
Ale nie miłość drugą do pasterza.

Więc śmierć przyzwałem – i śmierć odtąd żyje
I wszechświat cały grobowcem przywarła –
– – – – czuję mdły powiew – – –
– – – – w oczerclach gnije – – –
Z tęsknoty – u nóg mych – umarła.

Na pustej trzcynie rozpiąłem jej włos —
 Nad śniącą rzeką schyliły się drzewa
 Wiatr cicho płacze ptak mogiłny śpiewa —
 To los mój — los!..
 Głębiny tajne pruć
 Milczenia głuche nacić
 Jako stracona łódź
 Od brzegu się odtrącić —
 Mieć gwiazdy gwiazdy rzucić —
 I tylko piosnkę nucić
 To los mój — los!..

BĄDŹ ZDROWA!

Bądź zdrowa! [jak dziwnie brzmi dzwoa!
 Bądź zdrowa! [lecą liście z drzewa...]
 Bądź zdrowa! [miłość jest jak zgon...]
 Bądź zdrowa! [wiatr złowrogi śpiewa...]
 — Już nigdy!
 Rwie serce twój płacz!
 Wydarł się z piersi niespodzianie,
 — Żegnaj cię — trzeba — i Ty Boże racz —
 — Litości!... — —
 W konie!... Chryste Panie.

PALMY.

Widzę w twych oczach ciemne morza tonie
 I szafir nieba, co się w nich przegląda —
 Rozkosz otchłani, która śmiercią zionie —
 Ciszę bezmiarów — których się pożąda.



JACEK MALCZEWSKI ŚMIEC ELLEN

Lub mi się zdaje, że to leśne głuźce
W podzwrotnikowym słońcu gorejące -
A w głębi zimne; strojne w pióropusze
Tęczowych kwiatów, a od lian gniające.

Tak się w mej duszy mienia Twoje oczy,
Że nic trwałego w nich prócz tajemnicy.
I próżno pytam, czy mnie do świątyni
Ten sfinks prowadzi, czy pustych roztoczy,
Gdzie palmy wędzną na słonecznym skwarze
I tak do rajów podobne - miraż.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

(ur. 1873).

TRZY ŁODZIE.

Trzy białe łodzie płyną
Umarłych wód głębiną
Gdzieś w nieprzejrzanej mgle.

Z nich pierwsza pod namiotem
Z purpury — wiosłem złotem
Z fali krzesze skrę po skrę.

A druga zwolna suutuo,
Siwych skrzydeł biel pokutną
Po szklistem wlecze tie.

A trzecią fala mostła
Bez żagla i bez wiosła
Na wir, co w nrokach wre.

W tej pierwszej miłość moja,
W tej drugiej zemsta moja,
W tej trzeciej serce me.

LIST.

Niczego tobie dusza nie pamięta.
W sny się zasnęła, zbłąkała w pustkowiu,
Pod niebem głuchem, jak tarcza z ołowiu,
We własną mękę jak w płomień zamknięta.

Już jej tęsknota nigdy nie opęta
Mieć ciebie jasną na złotem wezglowiu,
W skrach gwiazdnych drżąca — jak fala w sitowiu,
Gdy zalsni we śnie wichrem ogarnięta.

A cierpię, że się bez ciebie nie może
Rozpętać dusza, jak ogień skrzydlaty,
Każdej swej myśli przelśnić w cud i w zorzę —

Cierpię i pytam patrząc nieprzytomnie
Na ciemne morze idące w zaświaty,
Czy łódź nadpływa — i czy płynię po mnie?

CZARNE TUJE.

Owiły czarne tuje
Znużoną głowę moją:
Twój cień się przy mnie sauje
Jak blask wśród sinej mgły.

Na sennych oczach czuje
Bolesne ust twych płomień;
W me serce niewidome
Spływają twoje łzy.

Twe myśli niepokoją,
Anielstwo twe się żali —
W powietrznej, szklanej fali
Źrenice twoje skrzą — —

Tęsknota duszę truje,
Sny jasne jej nie koją:
Owiłyż czarne tuje
Znużoną głowę mą!

JERZY ŻUŁAWSKI

(ur. 1874).

PRZEZ CMENTARZ

O, dziewczyno, czy pamiętasz -
pamiętasz?
Noc majową, cichy cmentarz,
ten cmentarz?
Stare krzyże, bzy pachnące,
pachnące -
I te gwiazdy w górze lśniące,
tak lśniące?

Jam cię pytał, czy mnie kochasz - -
czy kochasz?
Pojrzę na cię, - a ty szłochasz! -
ty szłochasz?..
Powiedz, czemu lzy ci płyną,
lzy płyną,
Czy ja winien? ja - dziewczyno?
dziewczyno!

»O! ty winien! Ja cię kocham,
tak kocham...
I ze szczęścia teraz szłocham,
ach, szłocham!«
Jam całował twoje oczy,
twoje oczy, -

Czoło, usta, splót warkoczy,
warkoczy..

Dzisiaj idę znów przez cmentarz,
przez cmentarz;
W myślach pytam, czy pamiętasz...
pamiętasz?
Myślę, dumam, lży mi cieką,
lży cieką;
Jam samotny, ty daleko,
daleko!

POŻEGNANIE.

Bądź zdrowa, luba moja! Gdy słońce jesienne
Chmur zawojem oplączę swe czoło promienne,
Gór gdy szczyty zbieleją na poblądnem niebie,
Wichry znącą jezioro —: powrócę do ciebie!

Bywaj mi zdrowa! Cóż to? Lza świeci w twym oku?
Nie płacz! otrzyj ją, droga! Niedługie rozstanie!
Wkrótce będziem znów razem, znów przy twoim boku
Siądę szczęsnv jak dzisiaj... jasne śnić kochanie!

Podaj usta, tak! jeszcze! Namiętny, gorący
Pocałunek na drogę niech pali me wargi;
A gdy ciężar tęsknoty osiedzie gniołący

Piersi moje i z duszy się wyrwie jęk skargi,
Wtedy ogień ust twoich przypomni mi ciebie
Przymknę oczy i znowu będę śnić... o niebie...

TY MNIE WINISZ...

Ty mnie winisz, dziewczyno? Myśmy wespół winni,
Albo raczej zarówno niewinni oboje!
Wina-li to jest naszą, żeśmy byli inni,
Niżli te tu codzienne, szare ludzi roje?

Zali naszą to winą, że nam serca wrzały
Żądzą szczęścia? miłości? Los nam zbliżył dusze,
Jak dwie gwiazdy pędzące w niebo lotem strzały;
Trącą się i rozbiegną w ciemności, w dal i głuszę...

Płakać? — cieszymy się raczej! Myśmy niebu skradli
Rozkosz jego najwyższą, myśmy w jednej chwili
Wicki szczęścia tak błogo, choć szybko przczyli!

Cierpim? — wszakże anieli z niebios niegdys spadli
Za to, że się ważyli piąć do szczęścia szczytu;
My tam byli! — więc żyjmy wspomnieniu zachwytu!

ŚPISZ JUŻ.

Śpisz już... Jeszcze przed chwilą pragnąca, namietna
W mym uścisku się wilaś i usta z płomienia
Twarz mi piekłaś — i czułem twego ciała drżenia
I w obłędzie rozkoszy krwią bijące tętna...

Śpisz już... Jeszcze mnie palą pocałunkow piętna,
Czuję uścisk ciepłego, miękkiego ramienia,
Widzę falę twych piersi — ale myśl się zmienia,
Żądza gaśnie, zaduma wstaje cicha, smętna...

Białe członki twe w świetle księżycowem miękną;
Zapominam, żem rozkosz czerpał z nich zwierzęcą,
Myślę tylko, jak białą jesteś i jak piękną...

I żal mi, że oboje nie jesteśmy czyści,
Że nie możesz tak przy mnie z ufnością dziecięcą
Spać wśród lilii na łożu z jaśminowych liści... -

NIE WIERZ!

Nie wierz mi, dziewczę, choćby i przysięga
Z ust mych do ciebie poszła prosić wiary!
Nie wierz! — jam różne wychyłał puławy,
A wciąż po nowe jeszcze dłoń ma sięga.

I skodycz wina, miłości potęga,
Słomiane w piersiach mych wzniceją żary...
Gasną tak prędko! Z wypróżnionej czary
Gorycz się potem i przesył wylęga.

Nie wierz mi, proszę!... Twe usta tak świeże
I tak dziewczęce — ust twych dla mnie szkodał
Jabym je skalał... Tyś tak jeszcze młoda,

A ja w anielskie miłości nie wierzę!
Chciałbym całować, ale wyznam szczerze:
Jutro zapomnę tej, co ust dziś poda!

CZUJESZ?

Czujesz? — szalone w krwi mej biją młoty
I mam na ustach pożar! Daj! tak białe



СЪДЪРЖАНИЕТО

Piersi twe... Podaj! Usta oszalałe
Chcą cię i giną od krwawej tęsknoty!

Podaj mi wargi! Słonecznej ochoty
Napój z nich chłoneń boski! Swoją chwałę
Spełniam puharem ust twych! Życie całe
Piję w tej chwili, jak wina sok złoty!

Dziś wszystkie słońca swoje jasne dasz mi! —
A cóż, że jutro bunt się w tobie wzmoże
I — mściwa — stargasz tę złotą obrozę,

Którą cię dzisiaj moja boskość jarzmi?
Dziś musisz nosić mego szalu pęta,
Ty dziewczko dumna, dziewczko nieugięta!

CAŁUJ JESZCZE!

Całuj jeszcze! szalone, wściekłe usta twoje!
Tak z nich upić się można, jako z czary wina!
A cóż, że kłamią? — owszem, i ja kłamię także.
Ani ja cię nie kocham, ani ty mnie. Głupstwo!
Znany dobrze swe kłamstwo, swe kłamstwo kochamy,
Tę grę zwinną nad ogni pożerznych otchłania,
I te usta szalone, usta nasze krwawe,
W płomień jeden stopione, z rozkoszy omdlałe,
I na rozkosz krwią żywą znowu wzbierające!
Chociażby wszystko było kłamstwem — coż mi oto,
Kiedy prawdą jest rozkosz twoich ust, dziewczyno!
Kłam i całuj! Gorące! wściekłe usta twoje!

MARYAN ZBROWSKI

(ur. 1872).

SERCE.

I.

Żyjesz więc, serce? .. Czemże były twe przysięgi,
Że nie przeżyjesz? - Nie drżysz. — Imion nie wymienię...
Wszystko umarło... A ty?.. Świątyni sklepienie...
Pająk zasnuł... Jak głucho!... A ty?.. Szczyt potęgi?!

Jakże ty żyjesz?... Milczysz?... Więc cię zaczerwienie
Tem »jak«, i rzucę nagie w torturowe kręgi,
I wydrę tajemnicę twoją... Mów!... Wspomnienie
Z trumny ruszę... Pamiątek wydobędę księgi!..

Drżysz... Przymuszę!... I skonlisz, jak pies... jak pies...
[Chryście!

Więc nie zostało w tobie nawet cienia dumy,
Nawet chęci udania? Nie?... Ty, płomieniste,

Ty niegdyś żadne walki, szydzące z rozbicia?
Niegdyś... Wszystko ulata, jak sen, wiatru szumy...
I tylko trwa bezwstydnie przyziemny pień życia...

II.

I znów przed tobą serce moje kładę,
Jak muszlę pełną radosnego głosu,

Spojrzyj! Złowieszczy ptak mojego losu
Gniazdo w niej utkał — ust weselnych zdradę.

Jeśli nan ręce położysz, jak blade
Na rzecz pamiętną dwie gałązki wrzosu,
Jeśli posłuchasz, to może z chaosu
Szmerów — szmer jeden urośnie w kaskadę

Smutku i żalu. Może ci się wciśnię
W duszę — i zmarszczkę wyrzeźbi na czole.
Znak zamyślenia. Może na ust wiśnię

Popiół posypie. Może plamę cienia
Położy na twych dróg obłądnem kole:
— Będzie to w muszli dźwięk twego imienia!

MAMERT WIKSZEWSKI

(1872—1908).

POWRÓT.

Tęsknotą bżów i szalem róż
Wionęła noc majowa.
Szeptalem jej o wiosnie dusz
Zaczarowane słowa.

I na modlitwy mojej szmer,
Na tajnych słów zakłęcie
Porwało nas do gwiezdnych sfer
Miłosne wniebowzięcie.

Jak biały ptak po niebie wzduż,
Jedną się istność niosła.
Dwa skrzydła — były naszych dusz
Promienne, eiche wiosła.

Żeglował ptak po niebie wzwyż,
Gdzie gwiazd się kończy droga,
Gdzie w głuchym śnie wieczystych cisz
Już niema nic — prócz Boga.

I leciał ptak do bożych bram,
Gdzie wieczność klucze chowa —
By dwojga dusz wyspiewał tam
Zaczarowane słowa.

LEON RYGIER

(ur. 1875).

NIE WOLNO MI O TOBIE ŚNIĆ

I.

Nie wolno mi o tobie śnić
I kochać cię, dziewczyno,
Kto inny będzie z ust twych pić
Najśłodsze pieśczoł wino!

Tęczowa marzeń moich nie
Zerwała się, dziewczyno,
I trzeba mi uczucia kryć
Czy miną, czy nie miną...

Spokojnie w drogę swoją idź
I kwiaty rwij, dziewczyno;
Bez twoich oczu muszę żyć,
Choć z moich łzy popłyną.

Nie możesz ty mi szczęściem być
I pieśnią mą jedyną;
Nie wolno mi o tobie śnić
I kochać cię, dziewczyno...

II.

Na rozstanie, pożegnanie
Piosnkę rzucam znów...

I stłumione serca łkanie,
 Sny, co ziścić się nie mogą --
 Kwiat, co zakwitł nade drogą -
 Niosę ci tu na rozstanie
 W garstce śpiewnych słów...

Hej, dziewczyno.. sny przemijają,
 Wyschnie szczęścia zdroj...
 Ale piosnki w dal popłyną
 I poniosą z sobą światu
 Blask słoneczny, zapach kwiatu --
 I ten uśmiech twój, dziewczyno,
 I ten uśmiech twój...

Na rozstanie, pożegnanie
 Piosnkę rzucam znów...

III.

O, cichy, jasny, słoneczny dzień --
 Czemu tak szybko na czasu fali
 Zniknął w oddali
 I skrył się w cień -
 Ten cichy, jasny, słoneczny dzień...

Nieśmiałych marzeń błękitny kwiat
 Wędnącą główkę ku ziemi chyli --
 Minionej chwili
 Nie wróci świat...
 Nieśmiałych marzeń wędnie już kwiat...

I serce, pełne bolesnych drzeń,
 Na szarość życia próżno się żali...
 Zniknął w oddali
 I skrył się w cień --
 Ten cichy, jasny, słoneczny dzień...

NIE MÓW..

I.

Kochałem cię... Nie, nie mów, że te święte słowa
Bezczeszczą moje usta, gorączką spalone...
Ja wiem, powiedzieć »kocham« dziś nie mogą one
Lecz kochałem... I byłaś ty mi, jak królowa...

Tak... W prochu u stóp twoich leżała ma głowa;
Z pokorą, czcią i dumą patrzałem w twą stronę...
A jeśli dziś nie kocham, jeno żądzą płonę
Tyś winna — że ci obcą była duszy mowa...

Prawda, miałaś hart, ale i chłód miałaś stała,
Bałaś się, że cię dłoń ma, zgiąć nie mogąc, — skraszy
I ostrzem klingi w pierś ma godziłaś z oddali.

A jam czekał daremnie, wierząc, że cię wzruszy
Korne moje milczenie...

Dziś mię żądza pali:
Pragnę twojego ciała, bom nie znalazł duszy.

II.

Nęcą mnie twoich oczu rozdęte źrenice,
Nęcą mnie twoje usta, wrzącą krwią nabrzmiąle,
Nęcą mnie twoje piersi okrągłe i białe —
I ten uśmiech, co wieczną chowa tajemnicę...

Gdy na sobie przelotne twe spojrzenie schwyć,
Co choć pragnie fałszywie jasne jest i śmiałe
Zapominam, że gardzę — i zmysły omdlałe
Szepcą: »pójdź!... niech się twoją pięknoscią nasycę!...«

EDWARD SŁOŃSKI

(ur. 1875).

NIE PŁOŃ SIĘ...

Nie płoń się, nie wstydź! Jutro nas rozdzieli
I nie spojrzymy sobie więcej w oczy.
Życie nas swoją szarością otoczy,
Starość siwizną nam skronie pobieli,

Uczucia przejdą — a każde spopieli
Swoją ślad na sercu... Więc śnijmy uroczy
Sen, wykapani w tych błasków roztoczy,
Na tych ziół miodnych i tych mchów pościeli!

Dziś nasze święto... Jutro gardła nasze
Swem zinnem cielskiem wąż żalu opasze
I wyssie wszystką naszą krew z pod serca.

I przyjdzie starość, w ciche odwieczrze,
Jak dziad kościelny, szepcząca pacierze
Bezzębna starość, co wszystko uśmierca.

GRZECIŁ.

I.

Dziś przyszłaś do mnie w nocy,
Zbudziłaś trwożny sen,

Rzuciłaś mi na oczy
Swych włosów płowy len.

Na piersi mej rozkwitłaś,
Jak róży wonny pąk,
Purpurą ust gorących,
Opłotem białych rąk.

W szeptanych twoich słowach
Drżał płacz i dzwonił śmiech...
Przyniosłaś mi dziś w nocy
Swoją pierwszy słodki grzech.

II

W dziewiczym twojem łonie
Krwia młoda tętnił szat
I ból rozkoszy pierwszej
Niemocą słodką mdlał.

Słyszałem szept twój cichy,
Bezsilny płacz i śmiech:
— Mój miły, jaki słodki
Mój wspólny z tobą grzech

Mój miły, jak mnie pali
Płomienie twoich rąk!
Słowiki w sadach jęczą,
Jaśminy pachną wkrąg.

III.

W dziewiczej twej samotni
Śród czterech białych ścian,

Pacierza święte słowa
Szły z grzeszną myślą w tan

W panińskim alkierzyku
Z matczynych dobrych rad,
Rozkwitał purpurowy
Pierwszego grzechu kwiat.

Strach jakiś słodkim dreszczem
Po ciele twojem biegł,
Rozkoszą i tęsknotą
Nalewał cię po brzecz.

Więc, jak nalana czara,
Lśniąc złotym płynem wkrag,
Czekałaś ust spragnionych
I chciwych ciebie rąk.

IV.

Myślałaś o mnie długo
Z zapartym w piersi tchem,
Wołałaś każdą myślą
I każdym swoim snem.

I do mnie, czując w sobie
Wezbraną życia moc,
Przeżyłaś swe ramiona,
Jak lwica w parną noc..

Aż wreszcie po księżycu
W brylantach z mgły i ros
Przybiegłaś do mnie drżąca
I zawołałaś w głos:

— Wołałeś mnie, więc przyszedłam,
Przybiegłam do Twoich rąk!
Słowiki w sadach jęczą,
Jaśminy pachną wkrąg! —

V.

Z białego alkierzyka,
Jak z klatki, uciekł ptak —
Łóżeczko niezasłane,
W łóżeczku kogoś brak.

Na małej otomance,
We śniętej w mroczny kat,
Matczyne dobre rady
Usiadły wszystkie w rząd.

Usiadły w rząd i płaczą,
I krzyczą: — Co za srom!
Na oścież drzwi otwarte,
Skroś nocy pusty dom! —

Za drzwiami otwartemi
Noc śpiewnych pełna cel,
Przez drzwi otwarte wchodzi
Do alkierzyka grzecht.

I mówi dobrym radom:
— Nie zakamujcie rąk!
Słowiki w sadach jęczą,
Jaśminy pachną wkrąg!

WINCENTY KORAB BRZOSOWSKI

(ur. 1874).

DOMUS AUREA.

Kocham! Goreję! — Milez ty! tak mowa jest pusta!
Serce grzmi, łono dyszy w głębiach nawałnicą!
Ach! przymruż lśniące ognie oczu, tygrysyco!
Ach! daj mi kąsać żywe kwiaty, twoje usta!
Niechaj twą kibić ścisnę ramion mych obręczą,
A mleczne bryzgi moich gwiazd, z twą krwawą tęczą
Cheiwie skłębione, w łona twojego przestworza
Rzucą drgającą wieczność!

Ciała, jak dwie fale
Leżą, mdlejące, lśniące, w słonecznym upale:
O hej! na złotych brzegach życia Fale Morza!

WĘGLEM SMUTKU I ZGRYZOTY.

I.

Odejdź ode mnie! Smutną jest biel ciała,
A dreszcze pieszczot są długą agonią --
Dusza już moja w objęciach konała,

A jeszcze nad nią łzy oczy me ronią,
A jeszcze serce me krwawi okrutnie!...
Tak, dreszcze pieszczot są długą agonią...

Słoneczna przeszłość moja zgasła smutnie,
 Świątynię myśli ciemność zamieszkała,
 U stóp twych świętą poharbiłem lutoię!

Odejdź ode mnie! Smutną jest biel ciała...

II.

A więc na zawsze żegnasz mię? To dobrze.
 Pokój niech będzie z tobą, piękna pani.
 Czy z tobą rozstać się boleśnie rani?
 Z żyjących jestem: wszystko zniosę chrobrze.

Oto jest pierścień, odbierz. Kamień złoty.
 Jak lustro w ramie srebrzystej majaczy;
 Oto są listy, mówiące inaczej
 Niżli twe usta... Stylistyczne zwroty.

Nie szydę, pani. Wierzyłem niezłomnie
 W wszystkie twe słowa: »Kochaj mnie wieczyście!
 Wiosna! Na drzewach, patrz, pachnące liście!
 Wiatr szumi! Słońce świeci! O, pójdź do mnie!«

Lecz nim odejdiesz, pozwól, w twoje oczy
 Raz jeszcze spojrzę. Ich czarem spowity,
 Mówiłem zawsze: »Żywe chryzolity,
 Lśniące w głębinach miłosnej roztoczy...«

Lecz nim odejdiesz, pozwól, niech popieszczę
 Twoje przesłodkie, rytmiczne kolana,
 Niechaj zmysłowe zaśpiewam hosana!
 Na twojem łonie, gdzie jest blask i dreszcze!

I myśleć, że tam jakieś bezimiennie
 Wtargną do twojej piękności świątyni,

I pośród tłumy, tej ducha pustyni,
Zgasną na twojem czole moje wieńce!...

O, zegnaj, zegnaj! Odsunę wrzeczadze,
Otworzę wrota serca, gdzie, wśród mgławic
Szumnej purpury, lśnią pęki błyskawic
I w harfę życia dzwonią moje żądze!

Odcjdz! Ostrożnie! Zapalę płomienic,
Bo ciemność nocy głęboko się szerzy —
A ty, w dół idąc ze szczytów mej wieży,
Potknąć się możesz i runąć w bezdenie...

III.

Czy blisko będziesz przy mnie, czy daleko,
Nie zmieni w radość to smutku mych dni:
W oczach twych, bladą przymkniętych powieką,
Już położyłem umarłe swe sny.

Już pożegnałem się z twojemi usty,
A z rąk twych powiał już rozłączeń znak:
Cóż stąd, że serce, czując wszechświat pusty,
Drgnęło kurczowo, jak zraniony ptak?

Ty wiesz, kto jestem; ja — poznałem ciebie;
Oto przed nami łachman zdjętych mask:
Gardła ściśnięte są, jak na pogrzebie...
Oh! jaka próżnia! ja! i nędzny blask!

Gwiazdy padają, martwe, w głąb chaosu,
Widzę miłości zwłoki pełne plam -
I łkają płaczki — żalobnice losu,
Żeś tak samotna ty, że ja — tak sam!...

STANISŁAW KORAB BRZOZOWSKI
(1876—1901).

DO . . .

Rzekłaś mi: »Spojrzyj na blask słońca złoty,
Co śle na ziemię ożywcze promienie —
Patrz! jak rozpędza pomroki i cienie
I światła rzuca mieniące klejnoty!«

Rzekłaś mi: »Spojrzyj na drzew gęste sploty,
Co wydzielają balsamiczne tchnienie —
Patrz! lekko lecą, jak z duszy westchnienie,
Ptaszki, kierując ku niebu swe loty!«

Tys tak mówiła, zachwytem przejęta,
Patrząc, jak wiosna, królowna zaklęta,
W blaskach słonecznych wykapaną, kroczy.

Jam jej nie widział, — boś ty, uśmiechnięta,
Stała przede mną, jakby cud uroczy:
Na ciebie tylko patrzyły me oczy.

O DZIEWCZĘ!

O dziewczę! gołąb dziś na twem ramieniu
Usiadł, z twoją szyją ląbedzią się pieści,

I, tonąc cały w cudnym zachwyceniu,
Miłości pierwszą jutrzenkę ci wieści.

Choć gołąb grucha, nie rozumiesz mowy,
Kryjącej w sobie miłość i tęsknotę;
A on się lęka namiętnemi słowy
Budzić w twym sercu pragnienia spiekotę..

Odleci cicho, kryjąc w sobie ciernie,
A może nigdy nie ujrzysz go więcej..
Lecz gdy minione dzieje wspomnisz wiernie,
Poznasz, że nikt cię nie kochał goręcej!

M. SROKOWSKI

(1876—1910).

ZAPOMNIENIE.

Smutno. Choć żar ust twoich moje usta spali,
Choć upojeń ostatnich złamię tajemnicę,
Choć nowym czarem grzechu oczy twe nasycę,
A twój anioł, ten biały, zapłaczę w oddali,

Choć rozkosz już przeważy na dusz naszych szali,
A cnota w drżące dłonie zbladłe skryje lice, —
Choć szal nam rzuci w serca olśnienie błyskawicę,
Cóż stąd — gdy mi zdolność do szczęścia zabrali...

Posłuchaj, raz noc była — raz dawno, przed laty —
Do mej biednej samotni wszedł geniusz — zwątpienie
I złą pieśnią połamał duszy mojej kwiaty —

Grzebałem białe róże — sny — lilie — marzenie
I szczęścia niedorzeczne, niłode, jasne światy
Przed rozumem rozpaczy, pierzchyły w zapomnienie.

WŁADYSŁAW ZALEWSKI

(ur. 1877).

W PŁOMIENIACH KRWI.

KOCHANKA

Kochany! Jam niewinna! Jam biała! Ust krwawe
Rubiny mam i piersi soczyste jagody,
I żar ciała! Przyjdź rychło na miłosne gody,
Oblubieńcze mój luby! W me włosy złotawe
Owiń się i oszalej! Bo dziś pragnę cała
Bvć rozkoszą! Jam filia we krwi szalu biała!...

Jam dziś luna pożogi — jako żagiew płonę!
Więc pójdź ku piersiom moim, ku ustom, ku łonu!
Nasyć głód mój — nim przyjdzie chwalebny dzień skonu,
Nim spopielejem w słodkim ogniu bo już chłonę
Melodyę wszystkich szalów, co mnie w piekło kuszą...
Ja czekam z ciałem wonnem, z rozspiewaną duszą!

Kochany! Noce długie w bezsenności trawię!
Przychodź, bo łono moje pieczotami hojne,
We sny się mota i krwią smaga mnie na jawie!...
Ukoj mękę, bogaczu szczodry! Patrz! Toczone
Biodra pręzę, przecuciem rozkoszy upojne - -

Oto twój szept płonący, oblubieńcze, chłonę!...

KOCHANEK

Ucisz wołanie pragnień, które sercem głuszę!
We snach moich jam ciebie widział lilie białą,
Czemu się w tobie zagnęła morze rozłukało
I szumi krwią, szalone?! Na Boga! Nam dusze
Gorzały w snach, jak znicze! Nam wonieją przecie
Ogrójce marzeń! O śnij, że cię tulę, dziecko,

Jak dawniej! Bądź mi siostrą — nie oblubienicą!
Nie zdzieraj szat! Rozkoszne skryj ciała ponęty!
Nie! Całować nie będę piersi odsłoniętej!
Precz idę — z nieumilkłą melodyi tęsknicą
Ku snom błękitnym! Nie kuś tak strasznie, widonie!
Bądź siostrą! Zgaś to żaru szalejące płomień!...

Kochana! Jam twych darów królewskich niegodny!
Bo nie dla mnie żar ciała — ani wonne łoże,
Ani róże ust twoich pachnące, ni miodny

Upojny szalów trunek! Moje sny młodzieńcze
W prochu, w pyłe! Nie gorą, nie płoną, jak zorze!
Więc deptaj mnie, syna mroku i przeklinaj — klęczę!...

BOLESŁAW LEŚMIAN

(ur. 1878).

ZIELONA GODZINA.

FRAGMENT.

Dzieweczyno, nim się w mojej odbijesz źrenicy.
Musisz przebrnąć splecione zieloności zwoje,
Co oddawna mych oczu zaproszyły głąb.

Leśno tam i cieniście, jak w owej krynicy,
Gdzie drzew wierzchy tkwią na dnie.
Nie patrz w oczy moje,
Bo twą postać przesłoni pierwszy z brzegu dąb!..

Długo one — te oczy — zblakane wśród jarów
Zbierały kwiaty żywe i śmiertelne zioła,
Zważając na motyli dookoły tan.

Dzisiaj głąb ich - to lesny a wiszący parów...
I nie wiem, czy śmierć kiedyś udźwignąć podola
Ducha — jagód purpurą przeciążony dzban!

Nieraz one - te oczy — wpatrzone gwiazdździe
W słońce, światłem rozprysłe po dębowych sękach,
Czuły, jak w nich dojrzewa i paproc i wrzos...

Więc im dano na miłość poglądać przez liście,
Nikłym cieniem na moich pełgające rękach,
Co za chwilę, dziewczyno, rozplotą twój włos.

Że też temi oczyma, gdzie las ma schronisko,
Zdołałem postrzedz ciebie — w twej chacie za rzeką
Gdy się wokół i dalej rozplonienił czas!

Lecz, choćbyś do mej piersi przywarła się blisko,
Zawsze będę cię widział cudownie daleką —
Przez ukryty w mych oczach, nieznany ci las!

SCHADZKA.

Czy nie słyszysz, jak obłok porusza się senny?
Jak noc ciszą pogłębia dnia ciekawy strumień?
A w alejach szeleści niepokój płomienny
Księżycowych powikłań i nieporozumień...

Spiesz się, dziewczę, spragnione pieścizoty bezkreśnej!
Śmierć i miłość zna tryumf umówionych godzin!...
Twój kochanek cię czeka od dnia swych narodzin,
Wierny tobie współtrwogą, tęsknotą — rówieśny!

Niech twe lico dla niego zakwitnie różowiej,
Niech osłabną ramiona, białych piersi stróże!
Burzą włosów upojnych marzenia mu owiej,
By miał w życiu tę jedną, niewrogą mu burzę!

Lecz nie nie mów o sobie — czemu tak nieznana?
Skąd przybywasz i dokąd odejdziesz za chwilę?
I dlaczego twe nogi tak we krwi i w pyłe,
Że całować je mało od nocy do rana?

Ani jego nie pytaj, dlaczego spotkanie
Tak opóźnił? Dlaczego oczynna nie śledzi
Twych oczu? I czy kocha? Bo wszelkie pytanie
Jest wrogiem mimowolnym własnej odpowiedzi!...

Milcz i całuj! – Milczeniem pieszczota się krzepi
I niezgorsze wescle tkwi w dobrej żalobie!
Wszak nie można się kochać żarliwiej i ślepiej,
Jak tak właśnie: nie wzajem nie wiedząc o sobie.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

(ur. 1878).

PIOSENKA.

Niech żyje śmiech, niech żyje szal,
Niech ginie świat, niech wszyscy giną!
Byłem się bawił, byłem się śmiał,
Byłem cię zawsze u boku miał,
Dziewczyno!

Dość łez, dość westchnień, dosyć skarg,
Bo darmo i bez celu płyną —
Zaudził mię życia hezny targ
I chcę się upić krwią twych warg,
Dziewczyno!

Niechaj tam fala życia wre,
Niechaj się łądzie jasne wino,
Ja wolę pierś twoją, usta twoje
I jedną i wyci całusów skro,
Dziewczyno!

CAJALI.

Kochanka moja, Cajali biała,
O oczach czarnych, jak noc południowa,

O włosach złotych, jak łan w blaskach słońca,
Smętna jak lilia, jak płomień gorąca,
Gwiazd księżycych w duszy pani i królowa,
Kochanka moja, Uajali biała,
Stała przy mnie, cicho się zaśmiała,
Potem na czole położyła dłoń
I rzekła głosem, w którym słońce płonie:
— »Weź mnie... na wieki oddając się tobie,
Wieniec z róż jasnych czoko ci ozdobię,
Pieszczotą myśli do snu ukolyszę
I poprowadzę w dal, w błękitną ciszę.
A tam swe usta w usta tweje wplotę,
Pierś w pierś i w owym uścisku złączeni
Będziemy śniłi, aż nas rozplonieni
Krew, aż się w ognie przemienimy złoteo.
Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją
I kiedy w starym, przedwiekowym borze
Na drzewach ptactwo budzi się z uspienia,
Kiedy łódź-słońce, na błękitów morze
Płynąc, zorzami drogę rozplonienia.
Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją,
Na kwiatkach jeszcze srebrzyła się rosa,
W powietrzu jeszcze stały mgły perłowe.
Na niebie jeszcze noc hebano-włosa
Snuła warkoczem wstęgi purpurowe.
Kochanka moja, Uajali biała,
Stała przy mnie, cicho się zaśmiała,
A jej śmiech niebo otworzył nade mną,
Ciche, przesłodkie harf anielskich granie
Opłotło srebrną wstęgą moją duszę,
Poczułem szczęścia jasne zmartwychwstanie
I w serce taka weszła mi ochota,
Że rozśpiewało się jak harfa złota.
Stała przy mnie, cicho się zaśmiała,

A mnie się zdało, że już wyszedł z ciała
I że na kwiatkach gdzieś pod niebios progiem
Leżę i gwarzę cichą pieśnią z Bogiem.
Że jestem blaskiem lilii, wonią róży
I pocałunków anielskich słodyczą,
Że jestem cichą piosenką słowicza,
Świeżą jak łąka po wiosennej burzy.
Nie! To sen chyba! Uajali... Ona!
Wizya słoneczna ateńskich rzeźbiarzy,
Pieścić mnie pragnie i tulić do łona,
U stóp mych na głos o miłości marzy..
Nie, to sen chyba!.. Uajali biała,
Do której długom modlił się daremnie,
Szeptce, kochania owiana tęsknotą:
— »Niech mnie twe dłonie pożarem oplota,
Niech usta twoje krew wypiją ze mnie«.

LEOPOLD STAFF

(ur. 1878).

PARAFRAZA.

Czy ma dziewczyna
Wspomina.
Żem ją nauczył miłości?

Chodzi po ogrodzie
O wieczornym chłodzie,
Z uśmiechem radości,
Jak gdyby w dzień spotkania.

— Czemu, dziewczyno ma pusta,
Tak czerwone masz usta?
»Do całowania«.

Czy ma dziewczyna
Przeklina,
Żem ją nauczył miłości?

Chodzi po ogrodzie
O wieczornym chłodzie,
W posępnej żalości,
Jak gdyby w dzień rozstania.

— Czemu, dziewczyno, jak chusta
Takie blade masz usta?
»Od całowania«.

NIGDY!

»Nigdy!« To słowo na swojego domu
Wyryłem progu. Na drzwiach drugie: »Dość!«
Ostatni raz dziś bez wstydu i sromu
Serce wspomnieniu-m rzucił, jak psu kość.
Cokolwiekby mi w przyszłości przyniosło
Złe przeznaczenie, co dumie kark zgina.
W dłoni swej wolę mam, jak twarde wiosło...
Hej! na żelazie malowana trzcina!..

By lico twoje, poblądłe pogarda,
Jak głaz w jezioro, w pamięć mi nie wpało:
Dłonią swą zimną surową i twardą
Thukę na zawsze wspomnienia zwierciadło,
I obojętność, która nie wspomina,
Samotne moje ogrody zamieszka,
I jedna tylko, — nie! — żadna w świat ścieżka...
Hej! na żelazie malowana trzcina!..

Wieniec na głowę, w rękę wina kielich,
Aby... zapomnieć, co... już zapomniane...
Rąk twoich słodycz i pieściwą biel ich
I usta twoje niegdyś całowane...
Lecz nie pamiętać ich w śnie, ni w obłędzie!
Śmiać się, weselić wśród róż z kruzą wina!
Lecz cóż, gdy ciebie, ciebie tam nie będzie...
Hej! na żelazie malowana trzcina!..

JAKŻE MOŻECIE KWIATY...

Jakże możecie, kwiaty, być tak cudne,
Jako jej oczy i usta! Obludne
Kwiaty, o kwiaty!
Róże czerwone i modre bławaty,
Jakże możecie mieć mnie tak kłannie,
Kiedy jej oczy i usta nie dla mnie,
Gdy długą, długą oddzielone drogą
Żyją dwa serca, które
Ach, jednym być nie mogą!
Kwiaty, o kwiaty!

Jakże możecie świecić tak spokojnie,
Po modrem niebie rozsypane rojnie,
Gwiazdy, o gwiazdy!
Jakby rozłąki i gorzkie odjazdy
Dusz nie krwawiły! Jak możecie ciszą
Wydzwaniać wieczność, gdy was serca słyszą,
Które myśl »nigdy« spętała, jak matnia
I kiedy każda chwila
Jest pierwsza i ostatnia!
Gwiazdy, o gwiazdy!

A GDY UJRZYMY SIĘ ZNOWU.

Kiedyś po długich latach ujrzemy się znowu.
Łódź moja będzie w przystań wracała z połowu
Perłę, po które rozkaz twój na burz szaleństwo
Wyprawił mnie. Żądałaś, by niebezpieczeństwo
Było próbą miłości mej, a twej okupem.

W zachód różowy łódź ma wracać będzie z łupem,
Gdy na wód senność zaczną od skał padać cienie,
A morze będzie ciche, jak moje znużenie.
Wiosło złożę i zwinę żagiel, jak tęsknotę
U progu ukojenia. Fale miękkie, złote
Nieś mnie będą spokojnie, jak blade godziny,
Na których szczęście płynie w spomnienia krainy.
Na brzegu czekać będziesz. A gdy dotknę ziemi,
Milczenie będzie naszym powitaniem. Niemi
Popatrzymy na skarbów morzu wzięty przepych
Zgasłem spojrzeniem oczu od bujnych lez ślepych.
Pójdziem, a ty nie spytasz o moje przygody,
Gdy na twego domu wchodzić będziem schody.
Aż kiedy w twym ogrodzie pod ciemnymi drzewy
Usiądziem, chłodząc skronie letnimi powiewy,
Choć nie wyrzeknę słowa brzmiącego wyrzutem.
Uczujesz nagłe w sercu boleśnie uktutem
Żal obłądny, szalony lęk, jak zawrót głowy;
Żeś pierwszy lot mych tęsknot na mozół jałowy
Skazała, na tych marnych nam skarbów szukania.
I przeklniesz dzień, gdym słuchał twego rozkazanania,
Choć nie zgadniesz, że jutro opuszczę twe progi:
Bom, błędząc, nad cię błędne swe pokochał drogi...

NA RUINIE.

Woda wiedziała więcej o nas, niż my sami:
Że to ostatnia nasza schadzka pod drzewami
Wysokimi nad rzeką, która w wolnym biegu
Fal odbijała nasze postacie na brzegu,
Siedzace w ostatniego słońca bladym błysku,
Na chwastami obrosłym świątyni zwalisku.

W głębokiem bezprzecuciu słuchaliśmy w ciszy
Szumu drzew, w którym dusza zadumana słyszy,
Za czem tęskni, jak w chmurach płynących wysoko
Wszystkich kształtów dopatry się marzące oko.
Lecz woda знаła przyszłość, jawiąc nam rozlewne
Odbicia nasze, zmienne i chwili nie pewne,
Zwierciedląc usta nasze w swej ciemnej głębinie,
Złączone w pocałunku pierwszym na ruinie.

KORONA.

W rubin stopić swą duszę i serdeczny ból,
W szmaragd nadzieje swoje i lasów zielenie,
W topaz swą młodość złotą i zboże wszech pól,
W szafir morze i słodkich twych oczu wspomnienie.

I w żarze, którym serca tętną mego płomienie,
Z złota, jakiego nie śni dla swych miódów ul,
Bez wytchnienia kuć dla cię, dzień i noc, szalenie,
Koronę, jakiej nie znał żaden ziemi król.

I zaprzysiągłszy ci się na życie i grób,
To świata wszechbogactwo rzucić ci do stóp
I bezgraniczne szczęście swe płakać w łez zdroju:

Potem, pośród zamętu rozkoszy i mąk,
Oszałc od pierwszego dotknięcia twych rąk
I lecieć, umrzeć za cię w jakimś strasznym boju!

TWE ZŁOTE WŁOSY.

Włosy twe, jak płomienna błyskawicy grzywa,
 Jak surm mosiężnych świetna, weselna muzyka,
 Jak uroczyste święto bogatego żniwa,
 Jak w południe lipcowe spieka słońca dzika.

Włosy twe: bursztyn – jedwab, ogień i oliwa,
 Jesienny niebyszały przepych października.
 W zasobnych, miodnych ulach praca pszczół szczęśliwa,
 Złote szaleństwo wina dla ust biesiadnika.

Włosy twe: rozżagwiona rozkoszy pochodnia,
 Kojące jako morze, kuszące jak zbrodnia...
 Jak w lesie o zachodzie, zahładzić w ich złocie!

I po wirze upojen, pieszczot zawierusze,
 Zagrzebać w nich swe usta i upowieć duszę
 Dumną, jak sen zwycięzcy w zdobytym nautocie!

DOBRANOC.

Dobranoc! Śnij,
 Że w las zielony wiosną
 W słoneczne idziesz rano,
 Gdzie pośród drzew
 Mchy i paprocie rosną,
 Muskając twe kolano.

Słoneczny blask,
 Przesiany przez brzozy włosy,
 Jak płatki złotej róży,

Pada na biel
Twych rąk, a perły rosy
U twoich lśnią podnóży.

W gałęziach ptak,
Co z drzew szeleszy strąca,
Ruszywszy je skrzydłami.
Rzuca swój śpiew
Pod błękit w złoto słońca,
By spadał ros krop'ami.

Zielony głaz,
W mchów drzemiąc aksamicie,
Skusi cię spocząć w cieniu,
A zdrój, co gdzieś
W gęstwinie szumrze skrycie,
Przypomni-ć o pragnieniu.

I kiedy wkrąg,
Za źródłem patrząc blizkiem,
Sperlone ujrzysz zdroje,
Obudzisz się
Objęta mym uściskiem
I znajdziesz usta moje.

USTA TWE BLADE...

Usta twe blade,
Usta twe chłodne.
Wargi swe kładę
Na twe uwodne
I już me serce blade i chłodne.

Lecz usta twoje
Od mych odżyły:
Jak wiśni dwoje
Krwią się splonily,
Gdy serce moje krzepnie bez siły.

DALEKAŚ MI...

Dalekaś mi, daleka,
Jak radość szczęścia cicha...
Serce me czeka,
Usycha...

Lecz blizkaś ty mi, blizka,
Jak żalność niezgłębiona...
Serce się ściska
I kona...

MAJAK.

Co to było!... Okropna noc!... Siedzimy niemi
Na łóżku obok siebie, jak bladzi morderce...
Niechaj oprzytomnieje... Jak mi bije serce!
Mów!... Gdziem był!... Nie dotykaj usty rozpustnemi!

Myśl tli: nocą obdarli mnie, gdym szedł pustoszą,
Włóczykije pijane, lotry i opryszki...
Wszetecznicze szły za mną, nocne towarzyszki...
Obdarli... Drogie strzępy mego płaszcza noszą...

—
Chodzą za mną... Morderca popatrzał mi w oczy,
Rzekł mi: »Bracie!« i krwawy nóż w rękę mi wsunął..
Czyśmy zabili kogo?... Tam trup w mroku runął,
To wichr łopoce... spojrzysz... krew rąk mi nie broczy...

A jednak coś strasznego stało się... Patrz... świta...
Jakby głaz głucha głowa... Strach czyha u węgła...
Ach, nic! — To jeno szalu noc majak wyległa...
Ach, nic! — To była jedna noc z tobą przeżyta...

JÓZEF JEDLICZ

(ur. 1879).

PIEŚŃ POŻEGNANIA.

-- Już mi przyjdzie porzucić
Te chłodne mroki sadu;
Twe objęcia królewskie
I usta z winogradu,
I oczęta niebieskie -- --
Już mi przyjdzie porzucić,
Aby nigdy nie wrócić...

Pójdę na święte boje,
Na zgony i na męki,
Na bezmiar pracy krwawej
I niewysłowne lęki --
Na śmiertelne zabawy..
Pójdę na święte boje,
Na wieczne niepokoje.

Więc hartuj serce w piersi,
Bez żalu odejdz w mroki --
Spójrz z dumą w pomiot karli..
Tam -- wśród głuszy głębokiej
Przyjmą ciebie Umarli -- --
Więc hartuj serce w piersi,
Choć opuszczą najszczerzi..

Gwiezdna cisza nad nami,
Gwiazdom duszę twą zwierzę —
Wśród mroków kurhanami
Pójdziem — świtem i mgłami —
Tam, z wielkimi duchami
Na wieczyste przymierze — —
Twą duszę gwiazdom zwierzę.

Dziękuj Bogu, kochana,
W zachwytniej klęknij skrusze:
Za swe szczęście ulonne,
Za tę wielką swą duszę
I cierpienie ogromne —
Dziękuj Bogu, kochana,
Iżeś była wybrana!...

JAN PIETRZYCKI

(ur. 1880).

UPOJENIE.

Drżą kwiatów srebrne okiście
Na wietrze...
W miesięcznym blasku wciąż bledsze
Drżą liście...

Wiatr na rozgrancj drzew lirze
Pieśni gędzie —
Budząc w jeziora szafirze
Łabędzie...

Upojny powiew rozchwiewa
Traw plusze —
Dusza się moja przelewa
W twą duszę!

TADEUSZ NALEPIŃSKI

(ur. 1881).

O, WIERZ MI DROGA...

O wierz mi droga, że w te białe noce,
Gdyś ty przed ogniem krwi swej miała lęk,
Mój dach był czysty w gwiazdzistej powłoce —
Byłem jak dźwięk...
W owe białe, białe nasze noce...

O wierz mi piękna, że w te chwile złudne
Rozkoszy, czarów, zwiastujących szal,
Patrzyłem tylko w twoje oczy cudne —
A duch mój bkał...
W owe chwile tęskne, chwile złudne...

O wierz mi dziś, gdy wiem, żeś mnie kochała,
Chciałbym się rozwiać płaczem morskich fal,
Nie przeto, że być moją mogłaś cała,
Nie to mój żal,
Ale żeś ty — ty — ty mnie kochała...

NIE WIEM, KIM JESTEŚ...

Nie wiem, kim jesteś, piękna i przejasna,
Ty, co mi yłaś os'atnią,

Lecz dusza twoja i ta moja własna
Krwiałą połączyły się bratnia...

Nie wiem, co niosłaś mi w ciche wieczory,
Kiedym całował twe oczy,
Bo duch mój w wizjach skłębiony i chory
Rozpiął cię w mglistej roztoczy...

I nie wiem, czy przez litość dziwną, świętą,
Dałaś mi usta swe czyste,
Czyżes też miała chwilę wnicbowziętą.
A piersi żarem ogniste?..

Nie wiem... lecz gdy cię w myślach przywołuję
I śnię o twoim uśmiechu,
Widzę cię śnieżną, ty moja, i czuję,
Żeśmy kochali bez grzechu...

BRONISŁAWA OSTROWSKA
(ur. 1881).

W KSIĘŻYCU.

Miłości mojej widziadlane sady
Okwiatem wspomnień pruszą w serce moje:
O, łez splakanych rozszemrane zdroje
Wśród niezabudek cienistej lewady!
O, snów prześnionych błękitne spokoje.

Nad cichą falą w sadzie wspomnień stoję
I jak szaleniec łowię srebrne ślady,
Które tu niegdyś posiał księżyc błady
Miłości mojej...

Czas mi! Ptak szary odbity z gromady
Wrócę na nowe tulaictwa i znoje..
Czas mi! Gwiazd błędnych niehieskie wyroje
Brzeczą jak bożych strzał promienne grady,
Bijąc w zetlałą księżycową zbroję
Miłości mojej..

• LZY

Patrz, kropelka srebrna, Janku,
Na tym czarnym bratku drży...

Myślisz, że to łąy poranku?
Nie... to, Janku, moje łąy.

Weź ten kwiatek! Co cię łąka?
Twarz ci blednie? Głos twój drży?
Weź ten kwiatek! Drży ci ręka...
Patrz... strząsałeś z bratka łąy.

KRÓLEWICZ MAJ.

Otwórz, dziewczę, ktoś cię woła:
To królewicz maj!
Pęki blasków ma u czoła
I porannych mgieł zawoje.
Otwórz, dziewczę, okno twoje —
To królewicz maj!

Patrz, gałęzią czeremchową
Puka w okna twe
I kochania cudne słowo
Śle z jutrzenką do twej chaty..
Zbudź się, dziewczę — maj skrzydlaty
Puka w okno twe!

Czy nie słyszysz me, dziewczyno?
Czy nie czujesz nic?
Pocałunków szmery płynę,
Jak piosenka wiosny pusta...
Czy ci we śnie nie drżą usta?
Czy nie czujesz nic?

Czy ci w piersi żar nie wstaje,
Nie przerywa snu?

Upojeniem szumią gaje,
Upojeniem ziemia płonie...
Czy ci krew bijąca w skronie
Nie przerywa snu?

Zbudź się, cicha i pragnąca,
Niech nie czeka maj!
Z pocałunkiem złotym słońca,
Z pieśnią bujną, niby wino,
Niech nie czeka maj, dziewczyno —
Niech nie czeka maj!

ZYGMUNT RÓŻYCKI

(ur. 1882).

SERCE.

Smutne serce, gdy powiesz tylko jedno słowo:
Ja znowu cierpieć!.. Kocham!.. Ja znoszę katusze!..
Wtedy cie strącę w otchłań milcząca, grobową
I w pył najnikczemniejszy przepych twój pokruszę!

Milczeć ci każę! konać!.. Niech krwią purpurową
Napłyną twe zakątki, tajniki i głusze!
Co?... Pragniesz znowu kochać?... ubóstwiać nanowo?...
Nigdy!.. Gdy mi się oprzesz to cię siłą zmuszę!

Bezwstydnie, smutne serce... akordy najłzawsze
Wydobyć dzisiaj pragniesz z głębin skrytych w tobie,
By niemą wzbudzić litość na tym marnym globie!

Wprzód cię zemnę! Przeklnę na wieki, na zawsze!..
Bo zniszczyć-bym mi tego nie mógł, że ty, moje serce,
Tracisz swe świetne blaski w podłej poniewierce!

GDYBY MI ŻYCIE.

Gdyby mi życie było nie męką
Ale rozlewnią,

Cichą piosenką,
Tobym ci moja jasna królewno
Dał tę piosenkę.

Gdyby mi życie było nie jękiem,
Lecz blaskiem słońca
I kwiecia pękiem.
Tobym pod twoje stopy bez końca
Sypał tym kwiatem.

Lecz niema blasków na mojem niebie,
Ból żre mi duszę,
Więc tylko ciebie
Ostatnim jękiem pożegnać muszę,
Odejść od ciebie.

KAZIMIERZ WROCYŃSKI

(ur. 1883).

PRELUDYUM.

Wszystko przyrzeknę tylko nie patrz dłużej
Temi szaremi, smutnemi oczyma.
Ja — nie utrzymam wzrokiem tej łzy dużej,
Którą twa miłość drżącą rzesą trzyma.
O! — bo strząśnięta z ocz przez beznadzieję
Ta łza mi duszę rozpaczą zaleje.

.....
Wszystko przyrzeknę — tylko spójrz radośnie
Przez srebrne tonie łez, jak przez mgły słońko,
Niech ci na ustach kwiat uśmiechu wzrośnie —
Potem czar oczu przysłoń rzes koronką —
Tak stój przedemną chwilę zapłoniona —
A potem — kiedy spłyniesz mi w ramiona

Wszystko przyrzeknę — —

OCZEKIWANIE.

Południa szarą, upalną godziną
Czekam na ciebie.

Zzółkłe rzek pasy tak powoli płyną
Wirów podwodnych dławią ich obręcze —

Już ledwie dźwigam południa godziną
Pragnień naręcze —

W słońca promieniach jak w szuwarach brodzę, —
Syczą — wężowe, wiją się — zdeptane,
Pasy rzek w słońca iskrzącej połodze
Płoną — miedziane.

Fata morgana sinieją po niebie —
Czekam na ciebie.

Tam — za rzekami — pośród pustyń, w skwarach
Prastarych świątyń zwisają ruiny
Na karytyd skamieniałych barach.

Czekam, — a może we wrota pylonów
Jak w gong, nadbiegłszy z zapustynnych dali,
Głową uderzy najkrwawszy z cyklonów

Uderzył?! — brzmi gong — świątynia się wali!
..... Idziesz?!

SAVITRI.

(ur. 1883).

UST TWOICH MŁODYCH.

Ust twoich młodych kielich rubinowy
Niech mnie ominie,
Niech się nie stopi myśl — kryształ lodowy
W pianistem winie.
Jam łan bezpłodny: złotego ci snopu
Nie rzucę w darze.
Jam skuta rzeka: łatwo runąć z gór w parowy
Groźnej lawinie...
Ust twoich młodych kielich rubinowy
Niech mnie ominie.

MA MIŁOŚĆ BEZBRZEŻNA...

Ma miłość bezbrzeżna, bezbrzeżna, jak morze,
I szumi, i rwie się, i rwie, jak ocean,
I gubi się w dalach, w nieznanym przestworze,
I szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

I dziwne tajnice skrywają jej wnętrza:
Koniec barwnych, korań i pereł skarbnice...
Ma miłość, jak morze: w szal fali się spiętrza,
I cichnie... Na wodach igrają ognice.

I świeci się morze — mięczaków miryady
Lśnią światłem bajecznem, niebiesko-zielonem,
A w głębi się roją potwory i gady,
A otchłań jej grozi zniszczeniem i skonem!

Ma miłość, jak morze, jak morze- tęsknica,
Jak wieczny nieukój, jak wieczny ocean,
Którego dna nigdy nie sięgnie kotwica...
I szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

(ur. 1884).

A PRZETO CIĘ POŻĄDAM.

A przeto cię pożądam. Słuchaj, co ci prawie
W ciszy, by słów mych własne nie słyszało serce:
A przeto cię pożądam i rękoma zdławie,
Do ust twych przylgnę usta, w pierś wzrokiem się
|wwiercę.

Nie przeklinaj mi duszy, hom w anielskie straże
Wypędził z siebie duszę, precz na nocć dżdżyste...
Ciało całe mam w ogniu i całe mam w żarze
I rzucę je na piersi twoje, jak śnieg czyste

Węże mnie nauczyły mocy swoich splotów,
Błysku oczu miłosna mnie uczyła lwica:
Nie broń mi się, bo krew ma gra w dyszącym gniewie,
|wicz,

Serce me jak pies wyje echem setki grzmotów...
Płoń! niech płomień w pierś twoją spełźnie z mego
|lica,
Z moich oczu bierz żagwie, z moich ust zarzewie.

ZDRADA.

Piękna niech będzie twej miłości zdrada,
Jeśli mnie zdradzisz. Niechaj twój kochanek
Nie będzie w masce, gdy pod dom się skrada,
Niech bluszczów nie rwie w podróży na ganek.

Tak czyni złodziej lub w komedyi lichej
Kochanek, w splezłym płaszczu Almagora,
Tak u Boccaccia wędrowały mnichy,
Lecz miłość płaszczem twarzy nie zakrywa.

Niech przyjdzie do mnie i w oczy mi bryznie
Krwia nienawiści. Ty z obliczem błędem
Przygotuj kielich z winem, lecz w truciznie
I usta wonnym sobie namaść jadem.

Niech naprzeciwko stanie mojej twarzy,
I niech mi w oczy patrzy długo bardzo;
Ty ze sztyletem skrycie stań na straży,
I patrz, czy sobą oczy nasze wzgardzą.

Tragiczna będzie scena.. Wśród łez zdroja
Odcję krwawiąc, żem postradał temat,
Bowiem zbyt krótko trwała miłość twoja,
A jaui dopiero... rozpoczął poemat.

POŻEGNANIE.

Odchodzisz?... och! zaczekaj
Chociażby chwilę jedną,

Aż lzy wycisnę z oczu
I lica mi pobledną...

Już smętny być zaczynam
I rozpacz we mnie wzbiera.
Och, chwilę! Jeszcze ustęp
Przeczytaj mi z »Wertera«.

A jutro z cudnym listem
Mój paż odarty, bosy,
Odniesie ci do zamku
Twe wstążki, klucz i włosy...

ZYGMUNT ZENON IDZIKOWSKI
(1884—1911).

LIST.

W twoim sadzie — kędy nikt nie chodzi
I różowe kwitną tulipany —
List kochany
Upadł z wiatru łodzi —

A w tym liście szeptem ust znaczone,
Żeś ty moją panią ukochaną,
Że mi dano
W tobie szczęście pono — —

I słów jeszcze zamknięto kilkoro:
Gdzie różowe kwitną tulipany
Do altany
Przyjdź miesięczną porą —

Będę mówić ci pod srebrną zorzą,
Jak słowiki miłośnie rozjękły,
Jako zjękły
O ciebie się trwożę —

Potem zbiegnę do rzecznej przystani:
Łódź uniesie mnie na oceany!
Tulipany
Krwia zakwitną pani — —

W twoim sadzie — kędy nikt nie chodzi,
Może zbłąka się gołąb wędrowny:
List cudowny
Padnie z wiatru łodzi — —

WITOLD BUNIKIEWICZ

(ur. 1884).

BALLADA.

...I porwał nas taniec, muzyka i szal,
Przy sercu płonącym jam dziewczkę swą miał.
Płynąłem po strojnej sali...
I czułem jej drżenie i kibić i biust
I ogień, co płonie z rozwartych jej ust
I rozkosz, co w oczach się pali...
O dalej... o dalej.. o dalej...

Aż wreszcie wyrzekłem do dziewczki mej tak:
»Hej, moja jedyna daj przecież mi znak,
Żem jeden z twych kornych wasali«.
I różę mi dała z bieluchnych swych rąk.
I tańcem pomknęła i naprzód i w krąg,
Z uśmiechem ust świeżych koralii,
O dalej... o dalej... o dalej...

I odtąd na sercu mam wiecznie ten dar
I pancierz żelazny, co w ciało się wżarł,
Na ostre pociski ze stali.
Hej, dziewczko jedyna, gdzie turnicj i bój,
Gdzie bitwa i hałas, rycerzy gdzie rój,
Tam topór mój z dźwiękiem się wali,
O dalej... o dalej... o dalej...

Gdzie stąpię, tam pada mój brzeszczot i trup,
Hej, dziewczko jedyna, hej, dziewczko tak zrób,
By w wieki mi ciebie oddali.
Mam skarby, na skale kamienny mam gród,
Huf strzeże pancerny żelaznych mych wrót,
A w sercu mem ogień się pali...

O dalej... o dalej... o dalej...

Do ślubu ci zwiozę przepyszny zbiór szat,
Sto beczek zapalę, niech płonie wskrós świat.
Niech ogniem się wkoło rozpali.
Hajduków rozesłę na niwy i bór,
Na ucztę weselną stuletni zmrze tur
I stado lękliwych rogali...

O dalej... o dalej... o dalej...

I w niebie szukałem szczęśliwych mych wróżb
I niebo wyrzekło: najcięższa to z służb,
Swe dole na losów kłaść szali...
O, dajże mi serce i pierścień mi daj,
A potem, muzyko, do ślubu nam graj,
W weselnej się roźdzwoń sali!

O dalej... o dalej... o dalej...

Do drogi! a w konie i służba tu wraz,
Bo dziewczka już moja, do ślubu więc czas,
I nacóż będziemy czekali?
Daleka to jazda, z dróg bije nas kurz,
Ócz szkoda, jedyna, więc oczy twe zmuż,
Do świętej jedziemy Walhali.

O dalej... o dalej... o dalej...

Jesteśmy... jak płonie kościelnych żar świec,
Kłęczymy, u nog bym ja twoich chciał ledz...

Słysz... w chórze pieśń świętą zagrali.
Ślubuję ci miłość... na wieczy gra dzwon,
Ślubuję ci miłość... na wieki, na skon,
Jak dziwnie się, dziwnie dzwon żali...
O dalej... o dalej... o dalej...

Dzień jeden, a potem niech zmoży nas sen,
Noc jedna a potem na wieki iść – hen,
Gdzie zimna nas bryła przywali.
Noc cicha się ściśle, miłosna drży woń,
O, daj mi raz jeszcze, o, daj mi raz dłoń...
Hej, taniec nas jeden ocali!...
O dalej... o dalej... o dalej...

REMIGIUSZ KWIATKOWSKI

(ur. 1884).

W ALTANIE.

Zamierzch zachodu... Cisza... W altanie bluszczowej
Siedzisz, w zadumie tonąc, samotna, marząca...
Wpełzają szare smugi... Gasnący blask słońca,
Drżąc, ozłocił purpurą owal twojej głowy...

Wyjdź z altany! Chodź ze mną!... W alicy lipowej
Już marzy się upojnie słodka, czarująca
Baśń nocy... Zmierzch roztopi poświata miesiąca...
Wichr wionie... Drzewa ciche rozpoczną rozmowy...

Nikt nas tam nie zobaczy!... Biała mgła się skłębi,
Na krzewach błyszczą perły brylantowej rosy...
Słyszysz?... Głuche westchnienie płynie z parku głębi...

Ach, jak zawrotnie pachną wonne twoje włosy!...
Pozwól, królowo moja, rozplotę ci kosy...
Całuj, nikt nas nie widzi, próżny lęk gołębi!...

PRELUDYUM.

Widzę siebie, jak znowu zastłuchany w ciszę
Stoję przy oknie, w nocne wpatrując się ciemnie,

I czekam, aż twoje granie tęskność zbudzi we mnie
I słodką baśnią szczęścia serce rozkołysze...

A chociaż dziś nie dla mnie rzucisz na klawisze
Swe białe ręce, ongi pieszczono tajemnie,
Przez chwilę marzyć będę, że znów pieśń twą słyszę,
Choć wiem, że łzą przesłonię oczy swe i ściemnię...

Noc dziś taka upojna!.. Spowite mgłą siną
Gwiazdy, jak haftem, mleczną wyłociły drogę,
Tam wśród nich mi błysnęło twoje lice, dziewczyno

I znowu mi zagrało łkające pianino
Tak smutno... Chcę zapomnieć!.. Nie mam sił, nie mogę...
Twoje ostatnie akordy, nie zmiłkając, płyną...

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI

(ur. 1885).

NIE DAM CI NIC..

Nie dam ci nic, choć szczerzłoty
Mam skarbiec — szatą ksi wspaniałą...
Kiedyś rzuciłem w świat klejnoty —
Życie je z śmiechem podeptało
I dalej szło w wir bałamutny...
Zostałem wtedy sam, sam — smutny..

Nie dam ci nic, choć kwiatów dużo
W ogrodzie moim tętnie tęsknotą...
Raz bawił się zerwaną różą
Ktoś... Potem rzucił kwiat moj w błoto
I odszedł.. A ja, pan rozrzutny,
Zostałem wtedy sam, sam — smutny...

Nie dam ci nic, bo dać się boję...
Ty sama bierz, bierz skarby moje!

ZAPOMNIALAŚ..

Zapomniałaś ty o mnie... Czyż warto
Myśl swą długo przykuwać płochliwą! —
Przecie życie nie jedną jest kartą

I nie jedno jest wspomnień ogniwo —
Trzeba wypić czar z każdej złud chwili,
Bo najśrodszy z żywotów — motyli...

Zapomniałaś ty o mnie... I za to
Mam do ciebie żal jakiś ukryty,
Żeś jest wszystkich snów moich ztratą,
Żeś ty skryła przedemną błękity,
Że przez ciebie dziś myśl ma żalobna...
Choć... choć...

Jakaś ty do mnie podobna.

JERZY JANKOWSKI

(ur. 1886).

POGRZEB DUSZY

DAJNA¹⁾

Długo tej nocy czekał pies,
Nad ranem jał wyć.
Co się tu stało? – Nie,
Skonała Dusza moja,
Odeszła biała męczennica
Na Anafielas,
Miała na głowie wianek
Z ruty, białej i tymianka...
Gdy pies po niej przestał wyć,
Zacząłem wyć... ja sam.

Rozedrzyjcie płaczki suknię zgrzebną,
Poczynajcie nucić pieśń pogrzebną:
 Dam dam dali dam
 Dam dam dali dam

W męce konała Dusza,
Legła na hebanowem łożu,
Naga, szczupła, blada..
Zakamatała długie ręce
I spieczonemi wargi rzecze:

¹⁾ Miłosna pieśń litewska.

»Dajcie mi wina... czerwonego, jak krew!
 Alkantu... w którym gorycz i słodkość
 To jedno! — złocisty roztruhan
 Dajcie mi w ręce... niech spełnię!...«

Przestań-że Duszo chorzeć.
 Śpij, zaśnij, lulaj do wieczora:
 Po wieczorze uśmiechnie się ranek,
 Zwiędnie we włosach tymianek.

- Dziwno mi jest! — mówiła:
 Pomnisz wieczornych jezior pluski,
 Zachodu słońca pas szkarłatny,
 Śpiewanie wodnic-mgieł?
 Zali pamiętasz Duszo?

Kurczy się Dusza w boleściach,
 Wije się w agonii,
 Te oczy czerwone, by kwiat pelargonji,
 Patrzyły ślepe, ogromne,
 Już nieprzytomne, straszne...
 I zgasły trzy świece gromne...

— »TEŚKNIĘ« — mówiła..

Masz czarę, pij,
 To alkant, życia plyn,
 Gorycz i słodkość miesza się w nim
 W szaleństwa pianę, pij!

A Dusza patrzy choremi oczyma
 W bezdnie bezkresów, nie chce pić..

— »IĘSKNIĘ«.

Więc idz, w zaświaty idź
 Sama. Ja ostanę tu;
 Zaśpiewa kur po tobie,
 Zawyje pies i ja zapłaczę...

Przyszli grabarze z szarej ulicy,
 Ciężko stukając butami, —
 Trumnę przynieśli z ołowiu.
 Po ciebie, Duszo! żegnaj się z bólem i ze mną!

— »Życę chcę - szceptała -
 Wcześniejście przyszli
 Z długiej i szarej ulicy;
 Jeszcze nie wita mnie
 Dzień pożegnania...
 Życę chcę!!

— Zapóźno, Duszo, zapóźno...

I zabrali mi Duszę ma biedną,
 I złożyli do trumny z ołowiu —
 Już wieko grobowe zapadło —
 Dam dam dali dam
 Dali dali dam.

Rozedrzyjcie, płaczki, suknię zgrzebną,
 Poczynajcie nucić pieśń pogrzebną,
 Niech flecista zawodzi i łka.

Gdzieżeś odeszła, gdzieżeś odleciała?
 Golebico moja...
 Przecz zostawiłaś mnie samego?
 Łabędzico moja...

O ręce, pocóż was wyciągam,
Pocóż?
O serce, do kogóż cię przvtulę,
Do kogo?

Nie do ciebie, pusty kącie,
Nie dożwas, sosny siostrzyce,
Do ciebie, zimny głazie grobowcowy,
Do ciebie...

Dam dam dali dam
Dam dam dali dam.

LILIANA.

PRZEBACZ – ZAPOMNIJ...

Przebacz, zapomnij, jeśli gorycz tryśnie.
I żalem przyćmi moje smutne oczy,
Ja wiem, że nocą słońce nie rozbłysnie,
I wiem, co zgasło — światła nie roztoczy...
Tylko tak szaro, tak mi wokół ciemno,
Nie kochać trudno, zapomnieć – daremno..

Gdy kiedyś w ciszy samotny dźwięk struny,
Dźwięk rzewnej harfy rozdzwoni jak płaczem,
Nie pytaj po kim płaczę, ani za czym –
Ani szyderstwa nie rzucaj do truny..
Tyś miłość kłamał.. Piorun serce targał..
Przebacz — zapomnij... to ostatnia skarga..

NIERAZ.

Nieraz, gdy pocałunkiem przesłonisz mi oczy,
Jakaś rozlewna fala szczęścia we mnie błyska –
I zbliżka się do ciebie tułę, więcej zbliżka,
Aż mnie szłał nroczy...

Nieraz, gdy się ust dotkniesz płomiennym oddechem,
Chciałabym się, jak ogień, w krąg ciebie owinać –
W zapamiętań otchłani zatonać, zaginać,
Drżąc pragnień echem...

Nieraz, gdy śnię w przesłódkich omdlewań godzinie
Nieuchwytnym całunkiem łono pieścisz skrycie...
Chciałabym tej krwi twojej, która we mnie płynie,
Krwii tej dać życie...

SPIS RZECZY.

(CHRONOLOGICZNY).

	Str.
I. SŁOWO WSTĘPNE Jana Lorentowicza	III
II. HYMNY DO MIŁOŚCI:	
Do MIŁOŚCI. Jana Koehlanowskiego . . .	15
HYMN DO MIŁOŚCI. Kazimierza Tetmajera	16
III. PIEŚNI LUDOWE:	
U MEJ MATEI RODZONY..	23
LEĆ GŁOSIE PO ROSIE	21
AZEBY JA MIAŁA	25
POD ZIELONYM DĘBEM	26
JEDZIE, JEDZIE NADOBNY JASIENIEK	28
Z TEJ TA STRONY JEZIORA	29
PRZYSZĘDI, JASIO DO KASIUNI	31
W ZIELONYM GAIKU	33
PADA ROSA — PADA ROSA	35
Z TAMTEJ STRONY MLYNA	35
ZŁĘKŁA SIĘ MATKI	37
NIE CHODZIĆ TO BYŁO	39
SIADŹMY SOBIE STASIU	41

IV. ANTOLOGIA POLSKIEJ POEZJI MIŁOSNEJ.

JAN KOCHANOWSKI (1530 - 1584).	
	Str.
SŁODKIE WIĘZY MIŁOŚCI	15
PIEŚŃ ŚWIĘTOJAŃSKA O SOBÓTCE	45
PROSI KOCHANKI, ABY MU DRZWI OTWORZYŁA	47
PRÓŻNA TWA CHŁUBA	49
(Z FRASZEK):	
NA NIESŁOWNĄ	50
DO ANNY	50
O MIŁOŚCI	51
MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI (1555 - 1581).	
DO KASI	52
DANIEL NABOROWSKI (ur. 1573).	
O NECIE	53
JÓZEF BARTŁOMIJ ZIMOROWICZ (1597 - 1682).	
KOMU KWIATECZKI...	55
JERZY SZLICHITYŃ (wiek XVII).	
PIEŚŃ (Dworską się żywić nie myślę)	56
PIEŚŃ (O cożeś się pani małko)	57
SZYMON ZIMOROWICZ (1604—1629).	
(ROKOLANKI-:	
CIGERINA	59
ALEKSY	61
ANDRZEJ MORSZTYN (1613 - 1693).	
DO ZOSIE	63
O SWĘJ PANNIE	63
NA KWIATKI	64
PIESZCZOŁY	64

	Str.
CUDA MIŁOŚCI	65
DO MOTYLA	65
NA UŚMIECH	66
NIEPEWNOŚĆ	66
WACŁAW POTOCKI (ur. około 1622, um. 1696).	
ABRYS MIŁOŚCI	68
MIŁOŚĆ MIŁOŚĆ RODZI	69
KAWALER DO DAMY, PTAKI POSYŁAMĄC	69
HIERONIM WESPAZYAN KOCHOWSKI (ur. około 1630, um. 1699).	
ZNIKOMA UCIECHA SNU LUBEGO	70
ZIELONI	71
JAN GAWIŃSKI (um. około 1700).	
(DWORZANKI):	
DO HANNY	74
O WALECZNYM KUPIDYNIĘ	74
VILANESCA	74
STANISŁAW TREMBECKI (1730—1812).	
KUPIDO (Anakreontyk)	76
DO KOSOWSKIEJ W TAŃCU	76
FRANCISZEK KARPIŃSKI (1711—1825).	
PRZYPOMNIENIE DAWNEJ MIŁOŚCI	79
MAZUREK	80
LAURA I FIŁON (Fragment)	81
JÓZEF SZYMANOWSKI (1748—1801).	
ANCSIA	85
FRANCISZEK DYONIZY KNIAŻNIN (1750—1807).	
O AMARYLLI	87
KROSIENKA	87

	Str.
FRANCISZEK ZABŁOCKI (1754—1821)	
PIEŚŃ PASTERKA	89
ANAKREONTYK	90
KAJETAN WĘGIERSKI (1755 -1787).	
NICE	92
DO ROZYNY	94
JULIAN URSYN NIEMCEWICZ (1758—1841).	
PIEŚŃ	96
LUDWIK KROPIŃSKI (1767—1844).	
PIEŚŃ	98
ANDRZEJ BRODZIŃSKI (1786—1812).	
POŻEGNANIE Z KOCHANKĄ	99
KAZIMIERZ BRODZIŃSKI (1791—1835).	
PASTERKA	101
PASTERZ DO ZOSI	102
ANTONI MALCZEWSKI (1793—1826).	
MARYA (Fragment)	103
IGNACY CHODŹKO (1794—1861).	
MALINY	106
TOMASZ ZAN (1796- 1855).	
TRYOLET	109
ADAM MICKIEWICZ (1798- 1855).	
WIDZENIE SIĘ W GAJU	110
DZIEŃ DOBRY	110
DOBRAŃOC	111
DO M...	112

	Str.
ROZMOWA	113
DO D... D...	114
SEN	114
DO... (NA ALPACJI W SPLÜGEN)	115
FRAGMENT Z »DZIADÓW«	116
STEFAN WITWICKI (1800—1817).	
CZARY	121
JÓZEF BOHDAN ZALESKI (1802—1886).	
OCZAROWANY	126
CO JA WIDZIAŁ DZISIA!	127
ANTONI EDWARD ODYNYIEC (1804—1885)	
DZIEWCZĘ I GOŁĄB	130
MAURZYCY GOSLAWSKI (1805—1834).	
DUMKA PODOLSKA	132
STEFAN GARCZYŃSKI (1806—1833).	
PIERWSZE SŁOWO	134
JULIUSZ SŁOWACKI (1809—1849).	
LEDWO SŁOŃCE NA WSCHODZIE...	135
ROZŁĄCZENIE	135
STOKRÓTKI	137
PRZEKLEŃSTWO	138
W SZWAJCARYI (Fragment)	139
KRYSZYNA (»Król Duch«, Rapsod III, frag.)	141
ANIELA (»Beniowski«, Pieśń I, fragment)	112
KŁĘBAMI DYMU NIECHAJ SJĘ OTOCZĘ (»Beniowski«, Pieśń IV, fragment)	148
KONSTANTY GASZYŃSKI (1809—1866).	
TĘSKNY	151
SIELANKA MŁODOŚCI	152

GUSTAW ZIELIŃSKI (1809—1881).	St.
NIE MOGĘ BYĆ TWOJĄ	161
ZYGMUNT KRASIŃSKI (1812—1859).	
WZYWAM CIĘ...	163
JEŚLI MI KIEDY...	163
JA CIĘ NIF ŻEGNAM...	164
DWIE PIOSENKI	165
ZAWSZE I WSZĘDZIE	166
J. I. KRASZEWSKI (1812—1887).	
CZY POWRÓCI?	168
EDMUND WASILEWSKI (1811—1846).	
DO H...	170
ROZPACZ	171
HENRYK JABŁOŃSKI (1818—1869).	
DUMKA	173
GABRYELA (ŻMICHOWSKA) (1819—1876).	
IMPROWIZACYA	175
ZAKŁĘCIE	180
RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI (1819—1879).	
OSTATNI ROMEO	182
JAWNO-GRZESZNICA	183
SEWEBYŃ FILLEBORN (1814—1850).	
POGOŃ	185
ANTONI SOWA (EDWARD ŻELIGOWSKI) (1820—1861)	
COŚ I KTOŚ	188
ACH, POZWÓL	188

SPIS RZECZY (CHRONOLOGICZNY)	465
	Str.
KAROL BRZOZOWSKI (1821—1901).	
PRZEKLEŃSTWO	190
WZIĘŁAŚ MI ROZUM	191
WACŁAW SZYMANOWSKI (1821—1886).	
ROMEO	192
TEOFIL LENARTOWICZ (1822—1893).	
ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM	195
ZROZPACZONA	196
WŁADYSŁAW SYROKOMŁA (1822—1862).	
KORALE (Dumka kozacka)	199
KORNEI UJEJSKI (1823—1897).	
ZAKOCHANA	201
LAZARA	203
PANNA MŁODA	206
WŁODZIMIERZ WOLSKI (1825—1882).	
W IMIENNIKU K.	209
JA WIDZĘ CIĘ	200
CYPRYAN NORWID (1825—1883).	
TRZY STROFKI	211
LEONARD SOWIŃSKI (1831—1887).	
WYZNANIE	212
Z DYTIRAMBU PIERWSZEJ MIŁOŚCI	213
MIECZYSLAW ROMANOWSKI (1834—1863).	
POD UROKIEM	215
ODETCHNAŁEM	216
DAREMNIE	217

	Str.
WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI (1831—1902).	
EVOE	219
NA GŁĘBINACH	220
MICHAŁ BAŁUĆKI (1837—1901).	
NIE W PORĘ	222
ADAM ASNYK (1838—1897).	
CHŁOPCA MEGO MI ZABRAŁI	224
MIĘDZY NAMI NIC NIL BYŁO	225
TY CZEKAJ MNIE	226
POSYŁAM KWIATY	226
BŁAWATEK	227
LEGENDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI	228
MIRON (ALEKSANDER MICHAUX) (1811—1895).	
PIEŚŃ MAJOWA	233
MARYA KONOPNICKA (1846—1910).	
JAKŻE CIĘ MAM BRAC	235
NIE SWATAŁA MI CIĘ	236
PRELUDYUM	237
JEŻELI KOCHASZ	238
IDŹ, IDŹ W POKOJU	240
WŁODZIMIERZ WYSOCKI (1846—1894).	
ZAPATRZONY	241
WŁADYSŁAW ORDON (SZANSER) (ur. 1817).	
ZŁOŚNICA	242
WIKTOR GOMULICKI (ur. 1850).	
PRZYJDŹ	244
PIOSENKA	246
CZEMU?	247

	Str.
KAZIMIERZ GLIŃSKI (ur. 1850).	
U WRZECIONA (fragment)	219
BOLESŁAW CZERWIŃSKI (1851—1888).	
STARE DZIEJE	253
MARYAN GAWAŁEWICZ (1852—1910).	
PIOSENKA	256
SIE KOCHA!	257
STANISŁAW GRUDZIŃSKI (1852—1884).	
POŻEGNANIE	259
NAJWNY	260
JÓZEF STANISŁAW WIERZBIŃSKI (ur. 1853).	
O JAKŻE CHCIAŁBYM	262
CZESŁAW JANKOWSKI (ur. 1857).	
PAŻ KRÓLOWEJ	263
WIOSNY ZADUSZNY DZIEŃ	265
PORTRET	266
Z ARABESK	267
EDMUND BOGDANOWICZ (1859—1911).	
BYŁ ZWYCZAJ ONGI	268
ADAM M-SKI (MAŃKOWSKA) (ur. ok. 1850—1911).	
WZIĄLEM CI WSZYSTKO	270
USTA	271
JÓZEF WEYSSENHÖFF (ur. 1860).	
DZIEŚ JAKI BĘDZIE?	273
SEN	271

	Str.
JAN KASPROWICZ (ur. 1860).	
NIERAZ SIĘ PYTAM	275
PRZYPOMNIENIE	276
CZEM JESTEŚ DLA MNIE	277
GDY MNIE OGARNIA ZMROK	278
NIE WIEM, GDZIE JESTEŚ	278
O PORANKU	279
MIRIAM (ZENON PRZESMYCKI) (ur. 1861).	
POD STOPY TWOJE...	284
LILIJNĄ JENO BIEL...	284
TWE USTA	285
RONDO-MADRYGAL	285
NEGLI OCCHI PORTA LA MIA DONNA AMORE	286
ANTONI LANGE (ur. 1861).	
O, BŁAGAM JESZCZE!	288
PIEŚNI O POGAŁUNKACH	289
FRAGMENT	290
STORNELLE	292
RIFIORITA	293
MŁYNARZECZKA	294
VITA NOVA	295
KAZIMIERZ ŁASKOWSKI (ur. 1861).	
DZIEWCZYNO, PÓJDŹ	296
MAZUREK	297
O CZEM CI SIĘ ŚNI...	298
WALCZYK	300
STANISŁAW ROSSOWSKI (ur. 1861).	
TA CZWARTA	303

	Str
AKSEL (IGNACY BALIŃSKI) (ur. 1862).	
PIERWSZA MIŁOŚĆ (opowiad. gimnazysty)	305
W NOC LETNIĄ	311
K. M. GÓRSKI (1862—1909).	
WIOSENNE UKOJENIA	313
SONET	313
WACŁAW ROLICZ-LIEDER (1863—1902).	
DO FIOŁKOWYCH OCZU	315
KAZIMIERZ TETMAJER (ur. 1863).	
GDYBYŚ TY BYŁA	317
Z LEZ, KTÓRE...	317
JAK DEMON GŁOS TWÓJ..	318
KOCHAM CIĘ ZA TO...	318
O, POŁÓŻ, POŁÓŻ MI NA OCZACH DŁONIE...	319
MOJA MIŁA...	319
A KIEDY BĘDIESZ MOJĄ ŻONĄ	320
KOCHAM CIĘ, ŚWIATŁO...	321
TYLE LAT ZBIEGŁO...	321
OLBRZYMI, ŚWIETNY KWIAT...	322
CZEMU DZIŚ MÓJ KOCHANEK...	323
LUBIE, KIEDY KOBIEŃA...	324
KIEDY NA OCZY...	325
ZDAJE MI SIĘ ..	325
WYKOLYSAŁEM CIĘ...	326
NIE WIDZĘ, SŁUCHAM CIĘ...	326
W TWOJE CUDNE OCZY!..	327
CST TWYCH	327
JAK PO BEZBRZEŻNYM MODRYM OCEANIE	328
ONA GDZIEŚ JEST...	329
W POŻARZE SŁOŃCA	329
W TWEGO CIAŁA PRZECUDOWNEJ CZARZE	330

	Str.
SZUKAM CIĘ ZAWSZE	330
POŻEGNANIE	331
MIŁOŚCI OWE...	332
FRANCISZEK H. NOWICKI (ur. 1864).	
TYŚ MÓJ!	333
ANDRZEJ NIEMOJEWSKI (ur. 1864).	
SIELANKA	334
SIĄDŹMY TU, PAMI	336
JÓZEF JANKOWSKI (ur. 1865).	
NIE DZIWI SIĘ TEMU. PANI...	338
TWA PIERŚ CUDNA...	338
PO TYLU LATACH	339
TY W SWOJE BIAŁE, MAŁE DŁONIE...	339
JAN LEMAŃSKI (ur. 1865).	
CHCĘ, BY MI TWOJE OCZY	340
OR-OT (ARTUR OPPMANN) (ur. 1867).	
LAWECZKA NASZA.	341
TAM, GDZIEŚ DALEKO	342
CIEŃ	343
POŻEGNANIE	344
WACŁAW WOLSKI (ur. 1867).	
ŚNIJ DROGA...	345
RONDO MIŁOSNE	346
STANISŁAW WYSPIAŃSKI (1869—1907).	
JAK POMNĘ	348
BOGUSŁAW ADAMOWICZ (ur. 1870).	
UKOLYSANA	351
ZNIJDŹ-ŹE TY KU MNIE	352

	Str.
ZDZISŁAW DĘBICKI (ur. 1870).	
STORCZYKI	353
TAK PACHNĄ KWIATY	353
NA DROGI MOJ...	354
POMIĘDZY NAMI	355
PODAJ MI USTA...	355
TEŚKNOTA	356
LUCYAN RYDEŁ (ur. 1870).	
WARKOCZE	357
RUSALKA	357
WIATRY ZWIAŁY	358
ANI TY MOJA	359
PROŚBA	359
CHOĆ NIE MAM PÓL...	360
KAZIMIERA ZAWISTOWSKA (1870—1902).	
Z MARZEŃ MOICH	361
EPITAFIUM	363
DUSZE (HERODYADA)	364
WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI (SELIM) (ur. 1871).	
VORREI MORIRE	365
PRZED ROZSTANIEM	366
GDYBYM BYŁ TWÓJ	368
GUSTAW DANIŁOWSKI (ur. 1871).	
GDZIE ONA?	370
DROGĄ MI JESTEŚ...	371
ADAM ŁADA (ur. 1871).	
POWROTNY TON	372
WŁADYSŁAW NAWROCKI (ur. 1872).	
RONDA	373

	Str.
MOJE TY KWIECIE PAPROCI .	375
MAJ	377
LUDWIK SZCZEPANSKI (ur. 1872)	
PIĘKNA	380
TADEUSZ MICIŃSKI (ur. 1873).	
KAIN	381
BĄDŹ ZDROWA	382
PALMY	382
STANISŁAW WYRZYKOWSKI (ur. 1873).	
TRZY ŁODZIE	384
LIST	385
CZARNE TUJE	385
JERZY ŻUŁAWSKI (ur. 1874)	
PRZEZ GMENTARZ	387
POŻEGNANIE	388
IY MNIE WINISZ	389
ŚPISZ JUŻ	389
NIE WIERZ!	390
CZUJESZ?	390
CALUJ JESZCZE!	391
MARYAN ZBROWSKI (ur. 1872).	
SERGE	392
MAMERT WIKSZEŃSKI (1872—1902).	
POWRÓT	394
LEON RYGIER (ur. 1875).	
NIE WOLNO MI O TOBIE ŚNIĆ	395
NIE MÓW	397

	Str.
EDWARD SŁOŃSKI (ur. 1875).	
NIE PŁOŃ SIĘ...	399
GRZECH	399
WINCENTY KORAB BRZOZOWSKI (ur. 1874).	
DOMUS AUREA	403
WĘGLEM SMUTKU I ZGRYZOTY	403
STANISŁAW KORAB BRZOZOWSKI (1876—1901).	
DO ***	406
O DZIEWCZĘ!	406
MIECZYŚLAW SROKOWSKI (1876—1910).	
ZAPOMNIENIE	408
WŁADYSŁAW ZAŁEWSKI (ur. 1877).	
W PŁOMIENIACH KRWI	409
BOLESŁAW LEŚMIAN (ur. 1878).	
ZIELONA GODZINA (fragment)	411
SCHADZKA	412
WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI (ur. 1878).	
PIOSENKA	414
CAJALI	414
LEOPOLD STAFF (ur. 1878).	
PARAFRAZA	417
NIGDY	418
JAKŻE WOŻECIE KWIATY	419
A GDY UJRZYMY SIĘ ZNOWU...	419
NA RUINIE	420
KORONA	421
TWE ZŁOTE WŁOSY	422
DOBRANOC	422

	Str.
USTA TWE BLADE...	423
DALEKAŚ MI...	424
MAJAK	424
JÓZEF JEDLICZ (ur. 1879).	
PIEŚĆ POŻEGNANIA	426
JAN PIETRZYCKI (ur. 1880).	
UPOJENIE	428
TADEUSZ NALEPIŃSKI (ur. 1881).	
O, WIERZ MI DROGA...	429
NIE WIEM, KIM JESTEŚ...	429
BRONISŁAWA OSTROWSKA (ur. 1881).	
W KSIĘŻYCU	431
ŁZY	431
KRÓLEWICZ MAJ	432
ZYGMUNT RÓŻYCKI (ur. 1882).	
SERCE	434
GDYBY MI ŻYCIE	434
KAZIMIERZ WROCZYŃSKI (ur. 1883).	
PRELUDYUM	436
OCZEKIWANIE	436
SAVITRI (ur. 1883).	
UST TWOICH MŁODYCH	438
MA MIŁOŚĆ BEZBRZEŻNA	438
KORNEL MAKUSZYŃSKI (ur. 1884).	
A PRZETO CIĘ POŻĄDAM	440
ZDRADA	441
POŻEGNANIE	441

	Str.
ZYGMUNT ZENON IDZIKOWSKI (1884—1911).	
LIST	443
WITOLD BUNIKIEWICZ (ur. 1884).	
BALLADA	145
REMIGIUSZ KWIATKOWSKI (ur. 1884).	
W ALTANIE	448
PRELUDYUM	448
ZYGMUNT MICHAŁOWSKI (ur. 1885).	
NIE DAM CI NIC	450
ZAPOMNIAŁAŚ	450
JERZY JANKOWSKI (ur. 1885).	
POGRZEB DUSZY (Dajna)	432
LILIANA	
PRZEBACZ — ZAPOMNIJ	456
NIEHAZ	456

SKOROWIDZ AUTORÓW.

	Str.
1. ADAMOWICZ BOGUSŁAW	351 352
2. ASNYK ADAM	224 232
3. AXEL	305—312
BALIŃSKI IGNACY — patrz AXEL	
4. BALUCKI MICHAL	222 223
5. BOGDANOWICZ EDMUND (BOŻYDAR)	268—269
6. BERWIŃSKI RYSZARD WINCENTY	182—184
7. BRODZIŃSKI ANDRZEJ	99—100
8. BRODZIŃSKI KAZIMIERZ	101 102
9. BRZozowski KAROL	190—191
10. BRZozowski STANISŁAW KORAB	106—407
11. BRZozowski WINCENTY KORAB	103—405
12. BUKOWIŃSKI WŁADYSŁAW	365—369
13. BUNIKIEWICZ WITOLD	445—447
14. CHODŹKO IGNACY	106—108
CYBULSKI ADAM patrz: LADA ADAM.	
15. CZERWIEŃSKI BOLESŁAW	253—255
16. DANIŁOWSKI GUSTAW	370 371
17. DĘBICKI ZDZISŁAW	353—356
18. FILLBORN SEWERYN	185 187
19. GABRYELA	175—181
20. GARCZYŃSKI STEFAN	134
21. GASZYŃSKI KONSTANTY	151 — 160
22. GAWALEWICZ MARYAN	256—258
23. GAWIŃSKI JAN	74—75

	Str.
24. GLIŃSKI KAZIMIERZ .	249—252
25. GOMULICKI WIKTOR	244—248
26. GÓRSKI K. M.	313 314
27. GOSLAWSKI MAURZYCY .	132—133
28. GRUDZIŃSKI STANISŁAW . .	259—261
29. IDZIKOWSKI ZYGMUNT ZENON	443 444
30. JABŁOŃSKI HENBYK	173—174
31. JANKOWSKI CZESŁAW	203—207
32. JANKOWSKI JERZY	452 455
33. JANKOWSKI JÓZEF	338—339
34. JEDLICZ JÓZEF	426—427
35. KARPIŃSKI FRANCISZEK .	79—84
36. KASPROWICZ JAN	275—283
37. KNIAZIŃN FRANCISZEK DYONIZY	87—88
38. KOCHANOWSKI JAN	15, 15—51
39. KOCHOWSKI HIERONIM WESPAZYAN	70—73
KONDRATOWICZ LUDWIK—patrz: SYROKOMLA.	
40. KONOPNICKA MARYA	235—240
41. KRASINSKI ZYGMUNT	163—177
42. KRASZEWSKI JÓZEF IGNACY	168—169
43. KROPIŃSKI LUDWIK	98
44. KWIATKOWSKI REMIGIUSZ	448—449
45. LANGE ANTONI	288—295
46. LASKOWSKI KAZIMIERZ	296—302
47. LEMAŃSKI JAN	340
48. LENARTOWICZ TEOFIL	195—198
49. LEŚMIAN BOLESŁAW	411—413
50. LIJEDER WACŁAW ROLICZ .	315—316
51. LILIANA	456—457
52. ŁADA ADAM	372
53. MAKUSZYŃSKI KORNEL	110—112
54. MALCZEWSKI ANTONI	103—105
MAŃKOWSKA — patrz: ADAM M-SKI.	
55. MICHAŁOWSKI ZYGMUNT	450—451

	Str.
MICHAUX A. patrz: MIRON.	
56. MICKIEWICZ ADAM	110—123
57. MICIŃSKI TADEUSZ	381—383
58. MIRIAM	284—287
59. MIRON	233—234
60. MORSZTYN ANDRZEJ	63—67
61. M-SKI ADAM	270—272
62. NABOROWSKI DANIEL	53
63. NALEPIŃSKI TADEUSZ	429—430
64. NAWROCKI WŁADYSŁAW	373—379
65. NIEMCEWICZ JULIAN URSYN	96—97
66. NIEMOJEWSKI ANDRZEJ	334—337
67. NORWID CYPRYAN	211
68. NOWICKI FRANCISZEK	333
69. ODYŃCIEC ANTONI EDWARD	130—131
OPPMANN ARTUR — patrz: OR-OT.	
70. ORDON WŁADYSŁAW	242—243
71. OR-OT	341—345
72. OSTROWSKA BRONISŁAWA	431—433
73. PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ	414—416
74. PIETRZYCKI JAN	428
75. POTOCKI WACŁAW	68—69
PRZESMYCKI ZENON — patrz: MIRIAM	
76. ROMANOWSKI MIECZYSLAW	215—218
77. ROSSOWSKI STANISŁAW	303—304
78. RÓŻYCKI ZYGMUNT	431—435
79. RYDEL LUCYAN	357—360
80. RYGIER LEON	395—398
81. SAVITRI	438—439
82. SŁOWACKI JULIUSZ	135—150
83. SOWA ANTONI	188—189
84. SOWIŃSKI LEONARD	212—214
85. SROKOWSKI MIECZYSLAW	108
86. STAFF LEOPOLD	417—425

	Str.
87. SYROKOMLA WŁADYSŁAW	199—200
88. SZARZYŃSKI MIKOŁAJ SĘP	52
SZANSER WŁADYSŁAW — patrz: ORDON.	
89. SZLICHTYNG JERZY	56—58
90. SZYMANOWSKI JÓZEF	85—86
91. SZYMANOWSKI WAŁAW	192 191
92. TETMAJER KAZIMIERZ	16, 317—332
93. TREMBECKI STANISŁAW	71 78
94. UJEJSKI KORNEL	201—208
95. WASILEWSKI EDMUND	170 172
96. WEYSSENHOFF JÓZEF	273—274
97. WĘGIERSKI KAJETAN	92—95
98. WIĘRZBICKI JÓZEF STANISŁAW	262
99. WITWICKI STEFAN	124—125
100. WOLSKI WAŁAW	346 317
101. WOLSKI WŁODZIMIERZ	209—210
102. WROCYŃSKI KAZIMIERZ	436—437
103. WYRZYKOWSKI STANISŁAW	384 384
104. WYSOCKI WŁODZIMIERZ	241
105. WYSPIAŃSKI STANISŁAW	348—350
106. ZABŁOCKI FRANCISZEK	89—91
107. ZAGÓRSKI WŁODZIMIERZ	219 221
108. ZALESKI JÓZEF BOHDAN	126—129
109. ZALEWSKI WŁADYSŁAW	106—110
110. ZAN TOMASZ	109
111. ZAWISTOWSKA KAZIMIERA	361 361
112. ZBROWSKI MARYAN	392—393
113. ZIELIŃSKI GESTAW	161—162
114. ZIMOROWICZ JÓZEF BARTŁOMIEJ	55
115. ZIMOROWICZ SZYMON	59—62
ŻELIGOWSKI EDWARD patrz: SOWA ANTONI.	
ŻMICHOWSKA GABRYELA — patrz: GABRYELA.	
116. ŻULAWSKI JERZY	387—391

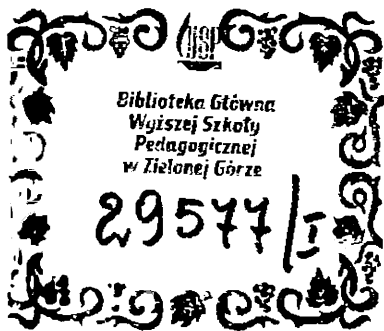
SPIS RYCIN.

1. Artur Grottger: POŻEGNANIE.
2. Jan Matejko: ZYGMUNT I BARBARA.
3. Władysław Czachórski: ROZMOWA.
4. Wojciech Kossak: ULAN I KOWALOWA.
5. Henryk Piątkowski: TADEUSZ I ZOSIA.
6. Józef Brandt: ZALOTY.
7. Witold Pruszkowski: SIELANKA.
8. Franciszek Żmurko: SIELANKA.
9. Alfred Wierusz-Kowalski: WESOLA JAZDA.
10. Henryk Siemiradzki: IDYLLA.
11. Jacek Malczewski: ŚMIERĆ ELLENAL.
12. Cyprian Godebski: SATYR I NIMFA.

Biblioteka Główna WSP w Zielonej Górze
nr inw.: ks 1 29577



I 29577/1



Biblioteka Główna
Wyższej Szkoły
Pedagogicznej
w Zielonej Górze

29577/I